

GAIL JONES

Sorry,

przepraszam

przełożyła Agnieszka Andrzejewska

Tytuł oryginału: *Sorry*

ISBN 978-83-7495-716-8

Warszawskie Wydawnictwo Literackie MUZA SA

Warszawa 2010



Dla Veroniki Brady

CZEŚĆ PIERWSZA

ANTYGONUS: (...) zeszłej nocy widziałem twą matkę:
ten sen odróżnić się nie dał od jawy.
Podeszła do mnie, chyląc skroń to w jedną,
To w drugą stronę. Nie widziałem nigdy
Pani tak pięknej i tak pełnej smutku.

W. Szekspir, *Zimowa opowieść*
(Akt III Scena III, przeł. S. Barańczak)

1

Pssst. Szept - najcichszy nośnik oddechu.

Tę historię można opowiedzieć tylko szeptem.

Gdy świadomość czegoś jest nieznośna, pojawia się wstyd, smutek, milczenie. Gardło mam zniekształcone od wszystkiego tego, co w sobie kryję. Moje serce to cierpki, niedojrzały owoc. Myślę, że to wina kagańca czasu, który zdeformował mi usta, odebrał głos, zniechęcił do mówienia. Najpierw był tylko ten jeden obraz: jej sukienka, w tym szczególnym odcieniu błękitu hortensji, zbryzgana purpurą krwi mego ojca. Gdy Mary podniosła się z podłogi, wydawała się odrealniona, a jednak tak wyrazista i och! wręcz pobudzona tą krwią. Pamiętam, że przywarłam do niej kurczowo, że byłyśmy czujne i świadome. Uwagę miałyśmy tak napiętą, jakby w domu znajdował się wąż.

- Nie mów im - szepnęła. Tylko tyle: *Nie mów im*.

Wpatrywała się w moją twarz, plamkę rozmytą w ciemności. Potem obie płakałyśmy; jej łzy mnie obmyły. A gdy dla pocieszenia wzięłyśmy się pod rękę, połączone sekretnym porozumieniem i milczącą lojalnością, splamione ciało mego ojca złączyło nas jak siostry. Na zewnątrz, przed drzwiami, drapał i skomlał nasz pies, domagając się wpuszczenia. Mary i ja nie zwracałyśmy na niego uwagi. W tamtej chwili skala i powaga sytuacji były wyłącznie ludzkie.

*

Jak pozbierać, w spokoju i z godnością, wszystko, co się rozsypało? Jak ożywić zmarłych, jakby byli mimo wszystko ludźmi, nie symbolami czy zadaniami, z którymi muszę się zmierzyć, nie chwiejnymi marionetkowymi wycinankami dopasowanymi do moich celów?

Gdy się urodziłam, dwa lata po ślubie rodziców, mama miała lat trzydzieści osiem, ojciec trzydzieści sześć. Żadne z nich nie spodziewało się, że będą jeszcze mieli dziecko; przeciwnie, oboje byli przyzwyczajeni do samotności i zdążyli przywyknąć do odosobnienia, na które ich związek nie okazał się lekarstwem. Ja byłam pomyłką, nieco kłopotliwą

przeszkodą, i znałam stan melancholii od najwcześniejszych lat. Oboje traktowali mnie jak starą maleńką, co było do przewidzenia, wprowadzili reżim zachowania, upierali się przy karach i obowiązkach, przemawiali do mnie surowym, pedagogicznym tonem. Żadne nie uważało za konieczne wyrażać uczucia ani potwierdzać gestami łączących nas więzi. W efekcie byłam dzieckiem niepewnym siebie, błagającym o uwagę, zabiegającym o ich aprobatę, ale też upartym i stanowczym, bo wiedziałam, że to ich zniecierpliwi i zirytuje. W tej walce ponosiliśmy same straty. Gdyby nie aborygeńskie kobiety, które mnie wychowały, nigdy bym nie wiedziała, jak to jest leżeć przy piersi, dotykać czyjejś skóry, czuć pulsowanie tętna u nasady szyi, słuchać, w intymnej i słodkiej bliskości, jak oddech wypełnia i opuszcza śpiące ciało.

Urodziłam się w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym. Część mojego dzieciństwa przypadła na czas wojny. Mój ojciec służył w młodości jako kapitan podczas pierwszej wojny światowej. Głęboko w plecach utkwiły mu fragmenty szrapnela, dlatego utykał. Nie mógł się pogodzić ze zwolnieniem z wojska - do kalectwa dołączył wstyd - a gdy nadeszła kolejna wojna, poczuł się podwójnie upokorzony, bo odmówiono mu powołania. Zrobił się uparty i złośliwy, ale także zdeterminowany, by udowodnić swoją męskość. Gdy nadszedł rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy, miał już znużone spojrzenie człowieka rozczarowanego życiem. Moją matkę poślubił, jak sądzę, w ramach jakiejś ukrytej, wręcz niemożliwej do opisanie rekompensaty. To na pewno nie była miłość; miłość jest widoczna, miłość to namacalna czułość. A u niego była to asekuracja przed stratą, rodzaj transakcji.

Gdy rodzice się poznali, ojciec był na ostatnim roku antropologii w Cambridge, matka pracowała - wówczas jeszcze tak to nazywano - jako dama do towarzystwa. Mój ojciec, Nicholas Keene, miał dość dużo pieniędzy; jego ojciec był właścicielem czterech sklepów z galanterią męską w Londynie, których prowadzenie powierzył synowi. Z pewnością były one gwarancją stałego dochodu. Jednak widok manekinów na wystawie napełniał Nicholasa przerażeniem. Nie potrafiłby nikomu wyjaśnić, dlaczego czuł się oszukany przez życie, jakie oferował mu ojciec, i dlaczego, gdy spoglądał na wystawy sklepów, które miał pewnego dnia odziedziczyć, odczuwał dreszcz śmiertelnej trwogi. Ubrania wiszące na sztucznych ciałach przypominały mu o wojnie. Znowu widział przed sobą upiorną rzeź z tysiąc dziewięćset osiemnastego, tragiczny los unurzanych w błocie martwych ludzi, których ciała śmierć zabarwiła na kolor khaki. To, że sam ku swemu zaskoczeniu przeżył, sprawiało, że czuł się wybrańcem, szczęściarzem, człowiekiem wyjątkowym, cudownie ocalonym, nawet mimo tego, że szrapnel rozerwał mu plecy. Nie mógłby stać za ladą i zajmować się ubraniami przypominającymi kształty człowieka, patrzeć na zwisające luźno z wieszaków rękawy, na

puste gorsy koszul. Często myślał, z niewysłowioną udręką, o zmasakrowanych, wybebeszonych ciałach, o całym tym brudzie. Żył, walcząc z niebezpieczną sprzecznością - chciał zarówno pamiętać wojnę, jak i o niej zapomnieć.

Nicholas poznał Stellę, swoją matkę, w ciemnej herbaciarni naprzeciwko King's College w Cambridge. Gdy w tamten mroźny dzień przepychał się obok jakiegoś innego klienta, rozglądając się na boki za przytulnym kącikiem, herbata na tacy przechyliła się i ochlapała kogoś siedzącego po jego lewej stronie. Moja matka krzyknęła, zerwała się na równe nogi i zaczęła gwałtownie ścierać wrzący płyn. Ojciec przepaszając, nachylił się, żeby jej pomóc. Stella zapamiętała tę plamę na swojej spódnicy; opowiadała później ukochanej siostrze, Margaret, że wydała jej się szokująca, potencjalnie erotyczna. Nicholas i Stella, choć skrepowani, poczuli się w obowiązku usiąść obok siebie i nawiązać luźną znajomość.

Nicholas widział w Stelli nieatrakcyjną kobietę, która nie odrzuci próby zalotów, kobietę, której niewątpliwie pochlebią jego awanse. Ona dostrzegła w nim skrywany uraz, zgadując natychmiast ze sposobu, w jaki się poruszał, gdy wszedł do herbaciarni (dzwoneczek nad drzwiami zmuszał ją do podnoszenia wzroku za każdym razem, gdy ktoś wchodził), że został ranny na wojnie i że jest nieśmiały i wrażliwy. Pomyślała, że pochlebi mu, jeśli zgodzi się z nim wyjść. W tej oscylacji ocen oboje w którymś miejscu się zgadzali, dlatego ustalili, niemal bez dyskusji, że spotkają się w tej samej herbaciarni następnego dnia.

Nie były to gorliwe zaloty ani namiętny związek, zaledwie wyolbrzymienie drobnego incydentu, rozlewająca się plama. Jeżeli w ogóle można tu mówić o jakimś romantyzmie, tkwił on w wyniosłej fasadzie King's College, bladofioletowej w zimowym świetle, majestatycznej, surowej, na którą zerkala nerwowo Stella podczas ich sztywnej konwersacji.

Na drugie spotkanie włożyła najlepszy kapelusz, w kształcie hełmu, z popielatego filcu, ozdobiony pawim piórem, jednak zorientowała się, że Nicholas w ogóle go nie zauważył. Ten mężczyzna zachowywał się obojętnie wobec szczegółów otaczającego świata; był nastawiony na abstrakcję we wszystkim, również w ludziach. Żadnych czułych słówek, tradycyjnych miłych gestów, żadnych liścików miłosnych, kwiatów, komplementów. Oboje w wyniku długiej praktyki życiowej nastawieni byli na kompromis. Oboje wpasowali się w oficjalny kształt, który stał się małżeństwem, pogodzili się ze skurczonym, połowicznym życiem, do którego już wcześniej zdążali.

Po zwolnieniu z wojska Nicholas pracował kilka lat jako urzędnik w Bank of England. Nie mógł jednak dłużej wytrzymać i wrócił na studia, przerwane dawno temu przez wojnę. Jednak zaledwie po kilku miesiącach studiowania prawa zmienił kierunek na antropologię. Miała ona dla niego urok niezbadanej do końca dziedziny oraz kusila pionierskimi

przygodami.

Odżegnawszy się od planów ojca, postanowił odkryć tajemnicę tego, co lubił nazywać „pierwotnym człowiekiem”. Jego teorie na temat rozwoju człowieka i różnorodności kultur były imperialne i aroganckie. Ludzi żyjących w plemionach miał za prymitywnych, nieinteligentnych i poziomem równych dzieciom, ale wierzył też, że w ich obyczajach i religii kryją się praprzyczyny seksu, agresji i niesubordynacji. Wierzył w Imperium Brytyjskie, w jego prawo do rządzenia innymi. Tych kilka artykułów, które napisał później, podczas pobytu w Australii Zachodniej, wskazuje na to, iż wierzył również w mit uniwersalizacji; charakter indywidualny mniej go zajmował niż projekty na wielką skalę.

Według Margaret Stella Grant była interesującym dzieckiem. Najstarszą z trzech sióstr (najmłodszą była Iris), dość wcześnie ogarnęła niewytłumaczalna obsesja na punkcie Szekspira. Jej ojciec był piekarzem, matka gospodynią domową; w jej wykształceniu ani życiu domowym nie było nic, co zapowiadałoby zauroczenie literaturą.

Nauczyła się na pamięć kilku sztuk i niemal pięćdziesięciu sonetów; w języku Szekspira odnalazła ekstrawagancję i artyzm, symbole świętości, której brakowało w jej własnym, o wiele za pospolitym, życiu.

Stella wielbiła ten fikcyjny świat, w którym ludzie mówili rymowanymi dwuwierszami i używali upajających zdań i śmiałych zwrotów. Oprócz samych historii - zawsze o miłości zaprawionej magią lub zbrodnią - był jeszcze ten kwiecisty język, owa bezceremonialna przesada. Tak wiele kryło się w tych deklamowanych żądach i losach innych ludzi, w skali tego, co może tworzyć i wyrazić monolog. W życiu, w którym tyle było ukryte lub niewypowiedziane, w którym jedyną kwestią przy obiedzie było „podaj masło” (ponieważ ojciec, gdy był obecny, wyznawał zasadę, że dzieci i ryby głosu nie mają), w życiu pełnym narzekań, nudy i męczącego przywiązania do domowych konwenansów tamten świat należał wyłącznie do niej; była to jej tarcza z osobistych satysfakcji. A chociaż Stella nie uważała, jak Hamlet, że „jakaś opatrność kształtuje nasze losy”, podziwiała jego ból rodzący pytania i uznała go za własny.

W nocy, po zgaszeniu światła, leżała w łóżku, cicho recytując. Margaret pamięta, że ona i Iris zasypiały przy tych monotonicznych dźwiękach. Pamięta szeptane przez siostrę syczące spółgłoski i wprawiające w konsternację słowa i pojęcia, których jeszcze nie rozumiała. Jej głos, mówiła Margaret, wciąż do mnie powraca; powraca tylko w ciemności, tuż przed zaśnięciem. Tylko w ciemności, moja siostra, Stella.

Gdy Stella skończyła szkołę, pracowała przez pewien okres w cukierni, owiewana zapachem cukru, który z czasem stał się dla niej mdły i odpychający. Obsługiwała

pryszczatych smarkaczy i ich pobłażliwe matki i za każdym razem, gdy usypywała wzgórek cukierków czy zakręcała papierową torebkę, czuła, że więdnie. Nienawidziła swojego bezsensownego życia, wyznaczanego groszami płaconymi za słodycze w jarmarcznych kolorach, dźwięku otwieranych i zatrząskiwanych portmonetek, liczenia drobniaków i codziennej, doprowadzającej do szału protekcjonalności.

Gdy Stella dowiedziała się o posadzie damy do towarzystwa, która miała polegać między innymi na czytaniu na głos, uznała, że taką niewolę zniesie lepiej. Jej chlebodawczyni, pani Whitcombe, była wdową po żołnierzu poległym w czasie pierwszej wojny światowej. Jak się okazało, nie wymagała stałego towarzystwa. Stella miała wolne co najmniej przez pół dnia. Z czasem zrobiła się biernie rozmarzona, zaczęła żyć w jakimś beztroskim półśnie. Straciła z pola widzenia własne życie, a gdy pewnego dnia nastąpiło przebudzenie, zdała sobie sprawę, że jest damą do towarzystwa już prawie dwadzieścia lat i że staruszka naprzeciw niej, teraz już ponadosiemdziesięcioletnia, coraz bardziej usycha.

W spotkaniu Nicholasa Keene'a w herbaciarni Stella ujrzała ratunek, a pani Whitcombe wyświadczyła jej przysługę i zmarła trzy tygodnie po incydencie z rozlaną herbatą. Nie zostawiła Stelli nic w testamencie. Mimo tylu lat służby Stella nie była tym zaskoczona; w końcu ostatnio praktycznie przestała istnieć. Dlatego też dla obu stron było to małżeństwo ze względów praktycznych, chociaż Nicholas nigdy wcześniej nie wspomniał o Australii, a ona nigdy nie wybaczyła mu, że tak bezczelnie zaciągnął ją, bez uzgodnienia, na tę drugą, ciemną stronę kuli ziemskiej.

Podczas ich ślubu w urzędzie stanu cywilnego ojciec Nicholasa płakał. Zdjął okulary i ocierał łzy w sposób, który wprawił zebranych w zażenowanie. Z jego trzech synów tylko ten pozostał przy życiu, więc wreszcie mógł mieć nadzieję na wnuki i kontynuację nazwiska, spodziewać się, że złoty szyld „Keene i Synowie” przetrwa na wieczne czasy. Rodzice Stelli również byli obecni, jak też jej siostry, mąż Margaret, jej córka i dwóch synów. Margaret zauważyła, że Nicholas ani razu nie objął jej siostry i że oboje państwo młodzi wyglądali przez całą ceremonię, jakby się jeszcze wahali.

Stella miała gałązkę sztucznych fiołków przypiętą do kołnierzyka; bawiła się nią w roztargnieniu i wydawała się zamyślona. Pan Keene senior zamówił luksusową kolację w miejscowym hotelu (pieczeń wieprzowa z piwem, a na deser biszkopt ze śliwkami i bitą śmietaną); rodzina uznała, że tylko on dobrze się bawił.

To był szary posepny dzień i zanosilo się na deszcz. Nikt nie tańczył, a Nicholas się upił. Wśród praktycznych prezentów ślubnych, jak rondle i patelnie, szwajcarski zegar, irlandzka pościel, leżała, starannie poskładana, hiszpańska chusta. Margaret zamówiła ją dla

siostry w Kadyksie. Chusta - czarna, z frędzlami, wyszywana w jasnoczerwone maki - stała się dla Stelli smutnym symbolem utraconych marzeń, wszystkiego, co w jej życiu było tak nieszekspirowskie.

Ta hiszpańska chusta jest jedyną częścią garderoby matki w moim posiadaniu. Gdy ją zakładam, myślę, jaka wtedy była moja matka, tyle lat temu, świeżo upieczona panna młoda spoglądająca w mglistą, nieznaną przyszłość, wciąż niedotknięta uściskiem mojego ojca i wciąż tak niepewna. Owijam się chustą jak jej skrytymi obawami, stanowczymi poglądami, jej fatalizmem. Dotyk materiału jest kojący, miękki i spowijający jak pamięć. Teraz, całe jedno życie później, chusta przypomina mi kształt ramion Stelli i to szczególne przechylenie jej głowy. Z ciemnej i odległej otchłani czasu wyłaniają się uniesiony dumnie podbródek i profil na tle światła.

*

Zaczęłam się jąkać w wieku dziesięciu lat, po śmierci ojca. Wcześniej mówiłam tak płynnie jak wszystkie inne dzieci, wręcz paplałam, beztrosko i z pełnym samozadowoleniem. Lecz nagle zaczęłam widzieć słowa, zanim wydostały się z moich ust; unosiły się przede mną jak wizja. Widzenie słów sprawiało, że wypowiedanie ich było niemożliwe. W moich ustach sylaby otwierały się z trzaskiem i rozbijały, język robił się ciężkim, stawiającym opór przedmiotem, słowa się rozdzielały, zatrzymywały i utykały w miejscu. Zorientowałam się, że łatwiej mi mówić szeptem, ale nawet wówczas widywałam, jak słowa narastają w niemym osłupieniu, potem wirują w mojej głowie, jak mgła, jak woda, by wyskoczyć, wybuchnąć z ust jak z odkorkowanej butelki.

Z powodu tej przypadłości odzywałam się coraz rzadziej. Zaczęłam więcej czytać, ponieważ okazało się, że słowa w książkach, słyszane w głowie, utrzymują swoją rytmiczną integralność. Otoczenie zaczęło uważać mnie za skryte dziecko lub współczuło mi, biorąc moje milczenie za żalobę. Matka rozpaczała. Nie dosyć, że utknęła w obcym kraju bez środków na powrót do domu, to teraz została wdową obciążoną upartym, głupim dzieckiem. Wściekała się i zrzędziła. Kazała mi się pozbierać. Jednak ja w jakiś sposób, przynajmniej jeśli chodzi o język, pozostałam w rozsypce. Do tej pory nie sądziłam, że aż do tego stopnia składałam się ze słów. Nie wiedziałam, jak radykalnie dziecko może się zmienić.

*

Nicholas wybrał Australię, ponieważ takie miejsce pracy pasowało do jego wewnętrznego szaleństwa: który inteligentny Anglik z własnej nieprzymuszonej woli wyjechałby do Australii? Był to niezaprzeczalnie mroczny kontynent, pełen trudnych do

rozwiązania zagadek. Być może Nicholas także pragnął ukarać swą bladą bezbarwną żonę, odciągnąć ją od sióstr, uzależnić od siebie. Małżeństwo jednak szybko go rozczarowało; odczuwał frustrację i żal. Nie wiedział, że zostanie tam ponad dziesięć lat i tam umrze, w wieku lat czterdziestu sześciu, w ciepłej kałuży własnej krwi, czując w nozdrzach zapach kurzu, słysząc brzęczenie much w pustynnym wietrze, w ostatniej chwili życia myśląc o wszystkim, tylko nie o Anglii.

Kraj, do którego Nicholas i Stella przyjechali w roku tysiąc dziewięćset trzydziestym, był obcy i nieodgadniony. Panował w nim kryzys, strach przed komunistami, a secesjoniści coraz głośniejsze domagali się autonomii Australii Zachodniej. Byli tam biedni, lecz dumni arystokraci, milionerzy, którzy dorobili się na złocie, ubodzy robotnicy; panował izolacjonizm. Antropologia wielu osobom musiała się wydawać czystą abstrakcją.

Nicholas spotkał się w Perth z Głównym Protektorem Aborygenów i dowiedział się, że jego praca w terenie będzie przydatna w zarządzaniu tubylcami. Aborygeni podatni byli na niefortunny wpływ komunistów i cudzoziemców i skłonni do buntów, podburzani przez pobożnych misjonarzy. Trzeba ich było obserwować i oceniać. Zdarzały się „zamieszki”, jak wyraził się Protektor. Zdarzały się ofiary. To było coś, o czym się raczej nie mówiło. Tematy tabu. Nicholas nie zapytał, co urzędnik ma na myśli, ale świadomość, że będzie pracował dla przedstawicielstwa rządu brytyjskiego sprawiła, że poczuł się ważny.

W Perth Nicholas i Stella wsiedli na statek handlowy, który zmierzał w kierunku zachodniego wybrzeża. Nicholas miał ze sobą dokumenty rządowe, którymi z ważną miną wymachiwał, a załoga statku przypatrywała mu się podejrzliwie i przedrzeźniała jego snobistyczny akcent. Nicholas patrzył, jak marynarze palą ręcznie skręcane papierosy, tacy żżyci ze sobą, pokpiwający ze wszystkiego i pewni siebie. Klęli, opowiadali prostackie dowcipy, tworzyli zamkniętą społeczność. Próbował się wkupić w ich łaski, ale go nie przyjęli. Ponieważ nie mógł znieść myśli o powrocie do klaustrofobicznej kajuty, gdzie ukryła się Stella, manifestacyjnie czytając Szekspira, zaprzyjaźnił się z kapitanem, jak się okazało Anglikiem z podkreślonym wąsem (wcale podobnym do wąsa Kitchenera), którego uznał za jedynego możliwego towarzysza. Kapitan Smith zapoznał Nicholasa ze swoją wiedzą na tematy lokalne. Aborygeni, twierdził, jak wszystkie ludy prymitywne, nie mają szans na przetrwanie w kontakcie z rasą wyższą. Smutnym obowiązkiem cywilizowanego człowieka jest wychowywać lub eliminować pozostałości ludzkie, aby umożliwić marsz postępu i wykonanie bożego planu. Potwierdził, że wiedza o tym, jak myślą te czarne gnojki, przyda się, by ich kontrolować.

Nicholas patrzył, jak kapitan strzepuje zdjęty z koniuszka języka listek tytoniu.

Podziwiał tego mężczyznę, człowieka czynu. Świat, myślał Nicholas, budują ludzie tacy jak kapitan Smith.

Gdy wrócił do kajuty, Stella leżała podparta na koi, czytając *Burzę*. Oznajmiła mu, że chciałyby, aby zatonęli. Coś w ich małżeństwie chwilowo wyrwało ją ze stanu bierności. Spojrzała na niego ze zmiętej pościeli szalonym wzrokiem i oznajmiła ze złośliwą prowokacją: *Kto jak kto, ale on nie utonie, choćby okręt był wąty jak lupina orzecha i dziurawy jak rozkraczona dziewczka**. W kajucie czuć było solą gorzką i lekarstwami przeciw chorobie morskiej. Nicholas odwrócił się od niej. *Kadłub pęka! Toniemy, toniemy**! - krzyknęła za nim. Jej głos był wyczerpany i lekko histeryczny. Statek ich małżeństwa zaś był już wywrócony. Ocean wokół nich kołysał się i falował. Nicholas, którego nagle ogarnęła fala mdłości, przestraszył się jak dziecko. Chwyając się zimnej metalowej barierki, wycofał się z powrotem na żelazne schodki, byle dalej od żony i jej groźnych szalonych cytatów.

Czuł, że w Australii będzie lepszym człowiekiem, bardziej solidnym i stanowczym. Żona będzie spokojna i dobrze ułożona. On odnajdzie w sobie tego młodego człowieka, którym był, gdy żyli jego bracia, pełnego nadziei, pewnego siebie i każdego swego kroku ku przyszłości. Ciała jego braci zgniły we Flandrii, zostały na zawsze w obcej ziemi, ale on jest tu, w nowym świecie, w obliczu nowej przygody, zdecydowany odkryć tajemnice człowieka prymitywnego. Nie jest to usprawiedliwienie, ale przynajmniej jakiś cel.

· W. Szekspir, *Burza*, Akt I Scena I, przeł. S. Barańczak.

* *Ibidem*.

2

Trudno teraz stwierdzić, jakie słowa mogłyby prawdziwie opisać rodziców. Ich postacie utrwalone są w naszych uczuciach, w najgłębszych zakamarkach pamięci. Najczęściej dochodzą do głosu w chwilach niepewności i zwątpienia. Autorytatywny opis nie chroni przed sprzecznościami, których są pełni w naszych oczach. Na ten opis składają się wspomnienia czułe i kapryśne, brzemień niewypowiedzianych pretensji i obezwładniającego żalu, ogłupiający infantylizm i uporczywość ich władzy nad nami. Co więcej, spekulujemy nieudolnie na temat ich życia wewnętrznego: żądź i frustracji, aktów okrucieństwa i życzliwości, marzeń deklarowanych, spełnionych i wypartych. Pozostają dla nas zagadką. A my na wieki będziemy im podporządkowani. Nie da się adekwatnie nakreślić ich wizerunku. Zawsze jakiś nieuchwytny wymiar przyłącza się do wyobrażenia życia, które istniało, zanim istnieliśmy my, i do tego, oczywiście, już zgasłego. Opowiadanie ich historii - nawet szeptem - zawsze będzie niedoskonałe.

Sądzę, że w Australii mój ojciec Nicholas na powrót poczuł się bohaterem, białym pionierem, pełnym kolonialnych aspiracji. Gdy zeszli ze Stellą na ląd w Broome, w dalekim zakątku na północnym zachodzie, on natychmiast poczuł pokusę i obietnicę przygody; tymczasem jego żona, zapatrzona w przeszłość, czuła pustkę i rozpacz. Wyszli w ostre światło, oszalamiające w swojej jaskrawości; niebo było cudownie błękitne, a horyzont szeroki, Nicholas poczuł się więc rozluźniony, jakby przybył na misję. Stella natomiast mrużyła oczy w cieniu rąbka szerokiego lnianego czepka, wygładzała przód sztywnej popelinowej spódnicy i myślała, że jej życie, niedawno rozpoczęte, właśnie się zakończyło. Zaczęła wówczas odczuwać intensywną wściekłość, która nie opuściła jej już do końca życia, która odzywała się nawet wtedy, gdy Stella miała powody czuć się szczęśliwa.

Jakiś handlarz ze statku zawiózł ich rozklekotanym fordem z molo do miasteczka. Zamieszkiwali je głównie Azjaci i Aborygeni, a rozkwitło wskutek połowu pereł i hodowli bydła. Można tam było spotkać japońskich i malajskich poławiaczy pereł, chińskich kupców, aborygeńskich hodowców bydła, była też niewielka grupa białych posiadaczy i zarządców. Wzdłuż uliczek z czerwonego żwiru stały budy z blachy falistej, nierzadko w ruinie,

zardzewiałe, pochylone niczym rząd pijaków; były baobaby, przybrzeżne równiny błotne, błakające się parszywe psy. Kutry do poławiania perłę, unieruchomione przez odpływ, stały krzywo w posepnym szyku za bagnami namorzynowymi; w mętnej oddali widniał połyskujący pas morza. W miasteczku Aborygeni rozmawiali spokojnie w niewielkich grupach lub oddawali się lenistwu na progach domów i wąskich werandach. Życie tutaj toczyło się powoli i spokojnie. Ruchy, ściszoną mowę i gesty tubylców cechowała pogoda ducha i opanowanie.

Stella wyjrzała z kabiny ciężarówki i nie była w stanie ogarnąć tego, co widzi. Tylu kolorowych ludzi. Tyle cudzoziemskich twarzy. Dla niej było to miejsce kompletnie barbarzyńskie, a nie wiedziała jeszcze, że to nie ostateczny cel ich podróży. Nicholas załatwił im kwaterę na farmie hodowlanej w trawiastych zaroślach, wśród skalistych wychodni, dwadzieścia mil na południowy zachód, aby pozostawać w pobliżu wybranego do badań plemienia Aborygenów. W dokumentach od Głównego Protektora Aborygenów - który, w pewnym sensie, był właścicielem całego ludu - znalazł informacje o lokalizacji i warunkach swego przedsięwzięcia. Dopiero później zorientował się, że w ten sposób odstawiono go na boczny tor, zesłano tam, gdzie mógł być jak najmniej użyteczny i szybko zapomniany.

Zajechali przed skromny bielony budynek wyłożony drewnem, wzniesiony na niskich palach, o cokolwiek pompatycznej nazwie: Hotel Continental. Tamtej pierwszej nocy, gdy leżeli razem pod strzelistym stożkiem moskitiery, Nicholas usiłował przemówić żonie do rozsądku, ale skończyło się na tym, że ją uderzył. Stella natychmiast się uciszyła. Łóżko, które dzielili, szczelnie odgradzone od tropikalnej nocy i jej bzyczącego życia, było duszne i żalosne. Symbolizowało zbrutalizowany świat, schwytywanie w pułapkę. Przed spełnieniem małżeńskiego obowiązku Stella płakała. Później obudziła się w środku nocy, lepiąc się od potu i płynów cielesnych. Świadoma dotkliwego bólu, który widniał na jej twarzy, wyplątała się z moskitiery i usiadła w samotności na twardym krześle, cicho recytując sonety.

*Zwierzę pode mną wolno się posuwa,
Znużone słucha, gdy jeździec się żali,
I biedne jakimś instynktem wyczuwa,
Że pozostawić cię nie chcę w oddali.
Choć gniew mój czasem jego boki dręczy,
Pognać go krwawa ostroga nie może;
Chcąc odpowiedzieć, ciężko biedak jęczy,
A jęk ten głębiej moje serce orze.*

Ten jęk w umyśle mym budzi myśl ciemną:

Radość jest ze mną, a smutek przede mną.*

W jej uszach własny głos brzmiał żałośnie i tęsknie. Był sfatygowany, jakby nagle się postarzała, stała się jedną z tych kobiet, które widziała w Londynie, mieszkających w zakamarkach pod mostem, których życie mieściło się w jednej siatce, a zmysły były w strzępach. Był niezrozumiały.

Ponieważ recytacja nie przyniosła pocieszenia, przy słabym świetle lampki Stella napisała list do swojej siostry Margaret, opowiadając jej z drastycznymi szczegółami wszystko, co się wydarzyło. I w słowie pisanym znalazła ulgę. W jej własnym słowie, tym, które spłynęło pochyłym strumieniem spod jej własnego atramentowego pióra. Nocny świat, o znikomym znaczeniu, wciąż ją otaczał, zmierzając wolno w kierunku świtu. Pokryte pyłkiem szare śmy ciskały się o siatki w oknach. Małe jaszczurki koloru jej skóry przemykały z dźwiękiem podobnym do pstrykania, łapkami czepiając się sufitu. Stella obserwowała je beznamiętnie. Tej nocy poddała się gigantycznej melancholii, o jakiej nie pisze się w powieściach, która nie zabija, ale konserwuje nas w pustce egzystencji, gdzie pozostaje tylko czekanie, aż litościwie nadejdzie jakikolwiek gorzki koniec.

O świcie Stella wstała. Pchnęła drzwi i wyszła w świat zawilgocony i parny po nocnym deszczu. Powitały ją nieznane kwiaty i hałaśliwy śpiew ptaków. To było jak wejście w sen, którego nie rozumiała. W hotelowej kuchni (drewniana szopa na tyłach zalana mglistym porannym światłem) spotkała zyczliwą czarną kobietę, która zrobiła jej filiżankę herbaty. Przyglądała się tej kobiecie przy porannej krzątaniu - dogładanie ognia pod kuchnią, przesuwanie rondli i czajników, ustawianie filiżanek i układanie łyżeczek symetrycznie na tacy - i rozumiała, że istnieją formy porządku, które mogą uwolnić nas od szukania sensu, zwykłe zajęcia, które mogą wypełnić niesprawiedliwe życie. Stella nie uznała za konieczne nawiązywać rozmowy z tą kobietą; była zbyt zrozpaczona, by wyrażać ludzkie uczucia. Więc siedziała tak, już zmęczona, z przekrwionymi i zapadniętymi po nieprzespanej nocy oczami, i nagle nie wiadomo czemu przypomniała sobie stare dłonie pani Whitcombe, spoczywające w chwili śmierci na pluszowej różowej narzucie; żyłaste i wątłe, pełne plamek jak stare liście na skraju rozkładu.

*

Wiatr w zaroślach był suchy i śpiewał sopranem. Gdy wiał mocno, pędził wiry

· W. Szekspir, *Sonet L*, przeł. M. Słomczyński.

umbrowego kurzu. Powietrze wypełniało się zwirem, paliło i dusiło. Nad ziemią gnały nabrzmiałe wybrzuszenia i spirale, które Stelli zdawały się upiorne i nadnaturalne. Nauczyła się wnosić do środka pranie, żeby nie pokryło się pyłem, i zamykać drzwi i okiennice, aż przejdą burze piaskowe. A przede wszystkim nauczyła się zamykać w sobie, znajdować pociechę w zacieraniu śladów samej siebie.

Ich mieszkanie na farmie znajdowało się z dala od głównego budynku. Była to chałupka niegdyś należąca do dozorczy bydła, który niespodziewanie wyjechał. Gdy właściciel farmy, pan Trevor, po raz pierwszy otworzył drzwi, oczom Stelli nie ukazała się ani jedna rzecz, która budziłaby jej pozytywne uczucia. Żółte zasłony okalały kuchnię i salon połączone w jedno pomieszczenie z dwoma drewnianymi krzesłami wsuniętymi pod surowy stół. Poza tym była jedna sypialnia z zapadniętym łóżkiem oraz szafą, niewspółmiernie elegancką, z innego miejsca i epoki. Zaniepokojony nagłym skrzyknięciem, wyslizgnął się na światło dzienne brązowy wąż, i gwałtownymi skrętami zmierzał przez drzwi w kierunku wysokiej bladej trawy. Gdy mijał Stellę, zaczęła piszczeć.

- Lepiej do tego przywyknij, skarbie - poradził pan Trevor beztrąsko. Odprowadził węża wzrokiem, po czym splunął obficie na ziemię.

Nicholas ruszył naprzód, żeby ukryć strach. On także był raczej przerażony tym, co zastał, surowością miejsca, niebezpieczeństwem oddalenia, tym ukośnie padającym światłem, które ukazywało okrutną surowość rzeczy. Ścisnęło go w dołku.

- W porządku! - oświadczył, a pan Trevor, z dłońmi wspartymi na biodrach, z kapeluszem zsuniętym ze spoconego czoła, pochylił się w przód i parsknął drwiąco.

Gdy Nicholas rozsunął żółte zasłony, zobaczył w pewnej odległości kępę akacji, a pod nią, w skąpym cieniu, spoczywającą w wyschniętym korycie strumienia, ustawioną jak do rodzinnej fotografii grupę około dziesięciu osób. Przyszły podmiot, czy raczej przedmiot, jego badań. Pomyślał, że wyglądają dość prozaicznie, nie jak szlachetne dzikusy czy rzadkie okazy rodzaju ludzkiego. Mieli na sobie używane ubrania, w większości brudne i w strzępach, ich włosy były splątane, a spojrzenia pełne posępnej rezygnacji. Piekli w gorącym popiele jakąś jaszczurkę - później dowiedział się, że nazywa się ona waran kolorowy - i podawali sobie po kolei płócienny bukłak, z którego każdy pociągał łyk. Znał tego ducha wspólnoty z książek, jednak teraz stwierdził, że ten widok mu przeszkadza - tyle cielesnej korespondencji, tak wiele dotyku i kontaktu. Powodowany czystym impulsem, Nicholas pomachał im zza szyby, ale nikt tego nie spostrzegł. Rodzina kontynuowała posiłek, jakby on nie istniał.

Tej nocy, rzucając się niespokojnie na nierównym materacu z końskiego włosa, Nicholas śnił, że wyszedł z domu przez okno z żółtymi zasłonami (tak jak to często dzieje się

w snach, unosił się w powietrzu) i przyłączył się do aborygeńskiej rodziny przy ognisku. Usiadł na ziemi i jadł razem z nimi. Mięso było tłuste, gorące i twarde. Żylaste mięso o paskudnym smaku wypełniało mu usta, wypychając je na zewnątrz tak, że wykrzywiła mu się twarz. Nicholas poczuł, że się dławi, i zaczął wymiotować. Zabrudził sobie spodnie, a ponieważ nie mógł znaleźć bukłaka z wodą, zmuszony był wycierać wymiociny gołymi rękami. Jakiś starzec śmiał się z niego, dokładnie tak samo jak wcześniej pan Trevor, z tą samą nutą wyższości i szyderczym lekceważeniem.

Stella tej nocy nieoczekiwanie śniła o śniegu padającym miękko na pustynię. Widziała powolne opadanie płatków, trochę zbyt dużych i podobnych do kwiatowych, jakby pod plastikowym kloszem czy w ozdobnej szklanej kuli. We śnie otworzyła drzwi frontowe i wyszła na próg, ale nie czuła chłodu śnieżynek osiadających jej na skórze; zdawały się wyparowywać, zanim jeszcze jej dotknęły. Okolica wyglądała jak na jawie - jałowa ziemia, Australia, jaskrawopomarańczowe światło i bezkresne niebo - ale przy tym trwało to powolne, jak w niewidzialnej zawieszynie, niesamowite opadanie. W swoim nowym kraju Stella miała śnić ten sen jeszcze wiele razy. Zawsze był taki sam. Zawsze przekraczała próg, zawsze miała wrażenie silnego wyobcowania, nieuchwytniej straty, a potem powietrze wypełniało się tym delikatnym, niedorzecznym zjawiskiem. Uwielbiała opowiadać swój sen o śniegu. Relacjonowała go każdemu, kto tylko chciał słuchać. Mnie samej z kilkanaście razy.

*

Moje sny o rodzicach są zawsze nieprzewidywalne. Kiedyś śniło mi się, że pochylam się nad twarzą ojca i próbuję podważyć jego zeszywniałe martwe powieki, chcąc go wskrzesić. Wtedy pojawiała się Mary, brała mnie za rękę i zostawiałyśmy go leżącego tam, gdzie upadł, w miejscu, gdzie udał się na wieczny spoczynek. Albo śniło mi się, że otwieram drzwi do naszej chałupki, a za nimi stoi on; jego przybycie obwieszcza błysk światła w staromodnych okularach w rogowej oprawce. Stał tam, strząsając z kapelusza krople deszczu.

- Wróciłeś - stwierdzałam z poczuciem winy, że za nim nie tęskniłam, i zaskoczona deszczem. Był żywy lub martwy; nigdy nie miałam całkowitej pewności. Był nieokreślony.

Jeśli chodzi o matkę, która żyła prawie sześćdziesiąt osiem lat, scenariuszy jest wiele i są o wiele bardziej skomplikowane. Odwracałam w snach jej niechęć do mnie, usiłowałam poprzez własną poetykę przekształcić ją w przyjaźń, która w idealnym świecie mogłaby między nami istnieć. W snach matka była często drobniejsza i nie budziła takiej grozy. Towarzyszył nam też zwykle nasz owczarek Horatio. Czasem po prostu szłyśmy obok siebie, ale z jakiejś przyczyny nie byliśmy w stanie widzieć się nawzajem. Patrzyłyśmy każda przed

siebie i rozmawialiśmy o jakichś banałach, o pogodzie, węzłach, o znajomych. Raz ona wpadła w dziurę w ziemi, ale ja nie mogłam jej dosięgnąć, a gdy zajrzałam do dziury, o kształcie niemal idealnego walca, zobaczyłam tylko dwa słabe światełka, które mogły być jej oczami, i musiałam ją tam zostawić, cierpiącą, wołającą moje imię.

We śnie wciąż czasem się jąkam, nawet mimo że w wieku czternastu lat przechodziłam terapię, która miała zlikwidować lub przynajmniej ukryć resztki jąkania. Obrazy są płynne, ale język trudny. Usta zacinają się, wykrzywiają, zapominają, do czego służą. W moich snach ojciec i matka nie występują razem - jakbym zawsze wiedziała, że oni się nigdy całkiem nie spotkali, to znaczy, na podobieństwo kochanków, z wymianą oddechów, dopasowaniem warg, stapianiem się ciał w jedno.

Życie po życiu, jakie fundują im moje sny, przeraża mnie nieco, ale nie bardziej, jak przypuszczam, niż spekulacje na temat ich życia. Jednak mimo wszystko śnienie o zmarłych wydaje się niewłaściwe. Ich powrót nie niesie zadowolenia, jedynie metafizyczny niepokój, sztuczne zbiegi okoliczności, które udają, że są ważne, teraz, dopiero teraz, gdy już niczego nie da się naprawić.

*

Pani Trevor była rosłą, masywną kobietą, kompetentną i stanowczą. To ona uświadomiła Stelli, że jest w ciąży, i poleciła krakersy imbirowe i napój z jęczmienia na poranne mdłości. Sama będąc matką pięciorga dzieci, uważała ten stan za rzecz normalną, z którą najlepiej sobie radzić przez solidne i praktyczne działanie, a nie, czego była świadkiem w tym przypadku, wycofanie się i zaprzeczenie. W Stelli Keene widziała kobietę bojącą się życia, więc postawiła sobie za zadanie stanowczo ją reedukować. Z jej pięciu synów dwóch było poganiaczami bydła gdzieś na północy, a dwóch uczyło się w anglikańskiej szkole z internatem w Perth. Najmłodszy, Billy, chłopiec opóźniony, był jeszcze dzieckiem. Pani Trevor tęskniła za starszymi synami, ale znalazła towarzystwo w postaci pomocy domowych. Miała kucharkę i dwie dziewczyny do pomocy - „te czarne z farmy”, jak mówili o nich biali - przysłane przez Protektora Aborygenów, żeby nauczyły się sztuki gotowania i sprzątanía. To były dziewczyny „mieszane” rasowo, które wymagały asymilacji. Pani Trevor - Vera - uważała za swój obowiązek ucywilizować je, nauczyć manier i schludności, a także posłuszeństwa i uległości. W oczach Stelli wszystkie - kucharka Martha, Sal i Daff, wyglądały na rozpaczliwie nieszczęśliwe. Nosiły luźne kwieciste sukienki uszyte z tego samego taniego materiału. Stały zawsze pochylone do siebie, konspiracyjnie, jakby pragnąc stopić się w jedną kwiecistą istotę, która przeciwstawiłaby się Verze Trevor.

Zarówno dla Stelli, jak i dla Nicholasa ciąża była dowodem, że wkroczyli na teren braku rozsądku i niedorzeczności. Zawstydzalo ich to oboje, choć nie byli pewni dlaczego. Po co ten dodatkowy byt, skoro tak mało mieli sobie nawzajem do dania? Po co powoływać do życia nową istotę, skoro oboje byli tak zamknięci w sobie? Nicholas zamówił jakiś specyfik, żeby pozbyć się ciąży, ale gdy przesyłka w końcu przyszła, okazało się, że nakrętka była poluzowana, tak że otrzymali pustą butelkę owiniętą w brązowy papier, poplamiony pachnącym apteką wyciekami. A w miarę jak brzuch Stelli rósł, brała górę szczerocią Very Trevor. Coraz bardziej utrudniała Stelli i Nicholasowi mówienie sobie co wieczór, że nic z tego nie będzie, że płód będzie tak zdeformowany, że nie wyżyje, że nigdy się nie rozwinie, że najprawdopodobniej umrze podczas przedwczesnego porodu.

Małżonkowie obserwowali oznaki rozwoju ciąży z obrzydzeniem. Nicholas uważał potężne, niezgrabne ciało żony za zbyt rzucające się w oczy, a Stella czuła się ospała, przytłoczona spiskiem ciężkiej materii. Popadli w notoryczne milczenie. Przestali ze sobą rozmawiać. Ich wspólne obawy pozostawały niewypowiedziane.

Tymczasem Nicholas z determinacją wziął się do pracy. W głowie wirowały mu abstrakcyjne rzeczowniki z książkowej wiedzy: dyfuzjonizm, mitologia, genealogia etnologiczna. Jednakże pojęcia te wydawały się absurdalnie zawile w konfrontacji z tymi nieśmiałymi czarnymi ludźmi, którzy nie patrzyli człowiekowi w oczy, ale mieli spore poczucie humoru, którzy robili wrażenie - ku jego zaskoczeniu - inteligentnych i bystrych, a najswobodniej czuli się, siedząc na ziemi wokół ogniska, polując i zbierając plody ziemi. Dozorca bydła z farmy, Willie, służył jako tłumacz. Nicholas nie spodziewał się, że uzna tych ludzi za zajmujących. Jednocześnie początkowo odrzucała go ich agresywna fizyczność. Patrząc na lśniące czarne ciała, czuł się nieswojo. Wielu mężczyzn miało blizny na piersiach i ramionach, wypukłe pręgi, symbol inicjacji lub wysokiej rangi; wiele kobiet miało obwisłe piersi, obnażone, na które nie mógł przestać się gapić. Dzieci były brudne, zasmarkane, a w tłustych splecionych włosach pełno miały nasion i ziemi, czasem zbitej w grudki. Siedzenie po turecku na ziemi męczyło go i zawsze był nieodpowiednio ubrany na ten obezwładniający skwar. Dookoła krążyły muchy i bliżej niezidentyfikowane gryzące stworzenia. Praca była ciężka. W końcu Nicholas zamówił w Broome składany stolik i płócienne krzesło i zabierał je ze sobą do pracy „w terenie”, ku wielkiemu rozbawieniu społeczności będącej przedmiotem jego badań.

3

Była pora deszczowa, gdy Stella wypchnęła mnie na świat, bardziej mokra od potu niż świat od deszczu, umazana płynami i sokami ze swego wnętrza, wyjąca, wściekła. Vera Trevor szarpnięciem pomogła mi zacząć życie i niemal natychmiast zagruchała: - Dziewczynka! - na widok czegoś, co zdaniem Stelli było zakrwawionym paskudztwem, niemożliwie szpetnym. Deszcz walił w blaszany dach, tak że świat materialny wydawał się rozwijać i nabierać gęstości; chlapanie, kapanie, kaskada wodospadów i strumieni, żaby i inne czmychające istoty, glina osuwająca się do przepelnionych śluz i kanałów. Na niebie błyskało, huczały grzmoty. Upalna wilgoć była nie do zniesienia. Nicholas, który siedział do tej pory na przeciekającej werandzie i udawał, że czyta, wszedł do środka i ujrzał żonę wyczerpaną i zaczerwienioną, przypominającą zwierzę. Chciał mieć syna. Jeśli w ogóle już miał mieć dziecko, to tylko syna. Podziękował pani Trevor za pomoc i rozdrażniony stwierdził, że ona nie ma zamiaru sobie pójść. Są takie kobiece sprawy, oznajmiła, które trzeba przekazać młodej matce. Karmienie. Pielęgnacja. Jak zajmować się dzieckiem. W emaliowanym naczyniu w nogach łóżka Nicholas zobaczył fioletowe łożysko, pokryte siateczką szarych żyłek, od którego odchodziła poskręcana pępowina. Było mięsiste, ohydne, absolutnie niewytłumaczalne. Poczul przyływ nudności i odwrócił wzrok.

Dziecko robiło musztardową kupę. Wrzeszczało zdecydowanie za głośno jak na swój rozmiar, a czerwoną buzię marszczyło tak, że wyglądała jak przejrzały melon. Pani Trevor stwierdziła, że to normalne. Poradziła Nicholasowi, żeby się nie martwił. Szczerze mówiąc, wcale nie był zmartwiony. Po cichu miał nadzieję - chociaż wiedział, że to grzech - że noworodek nie przeżyje. Podczas bezsennych nocy, które teraz nastąpiły, Nicholas czuł nikczemną, niepohamowaną urazę; pojawienie się tej istoty rozbiło go zupełnie, stał się przez nią podły i egoistyczny. Doświadczenie ojcostwa powinno uszlachetniać, jednak dla Nicholasa oznaczało przede wszystkim zmartwienia, koniec życia zawodowego i jakieś wewnętrzne splugawienie. Jeszcze przed upływem pierwszego tygodnia pan Trevor („mów mi Freddie”) zaproponował, że zabierze Nicholasa do buszu, żeby kobiety mogły się zająć swoimi sprawami, jak się wyraził.

- Jak ci czarni - dodał. - Jakieś tam sekrety.

Dotknął porozumiewawczo nosa, jak komik z wodewilu. Nicholas z wdzięcznością przyjął zaproszenie do ucieczki. Gdy przyszedł pożegnać się z żoną, ona praktycznie go zignorowała; twarz miała odwróconą do zawilgoconej ściany. Nicholas czuł w powietrzu zawieszoną woń kobiecej krwi, trochę słabszą kału, czegoś surowego i niehigienicznego, ściereczek i gąbek pleśniejących w wilgotnym powietrzu. Zastanawiał się, co on takiego w niej zobaczył w tej herbaciarni w Cambridge, gdy postanowił ją wziąć za żonę. Jak mógł uwierzyć w jakiegokolwiek perspektywy życia razem?

Dzisiaj powiedziałyby się, że Stella miała depresję poporodową - ale wówczas Vera Trevor stwierdziła po prostu, że Stella jest „przygnębiona”, niekomunikatywna i nie wykazuje zainteresowania dzieckiem. Stella spędzała całe godziny w łóżku, odizolowana, słaba, pogrążona w bierności, smutna i bez nadziei. Słyszała, że jej dziecko, którego obecności nie dało się zaprzeczyć, zanosi się płaczem z głodu, ale nie można jej było namówić, by dała mu pierś. Czowała się nieobecna, bezużyteczna. Poród zostawił jej pustkę w środku.

Gdy pani Trevor zadawała jej niewinne przecież pytanie, jak się czuje, Stella odpowiadała: *Nie wyciągajcie mnie przemocą z grobu**...

Wydawała się kompletnie szalona, stwierdziła później Vera Trevor. Oszałała jak przecięty na pół wąż; całkiem stuknięta.

Pani Trevor znalazła na farmie czarną mamkę, która sypiała odtąd na podłodze chałupy razem z własnym nowo narodzonym synkiem; tymczasem macierzyńskie obowiązki rozdzielono między Sal i Daff. W swoim osamotnieniu, wycieńczona fizycznie, Stella była świadoma, że wokół niej powstała nowa niewielka społeczność: trzy kobiety (mamką była Jukuna, kobieta z pustynnego plemienia Walmajarri) i dwoje dzieci, jedno białe i jedno czarne. Słyszała też ciche głosy mówiące w języku, którego nie rozumiała. Czasami, jak w malignie, zdawało jej się, że brzmi on jak język Szekspira, tak był zawily, nastrojowy i rytmiczny. Regularnie powtarzało się coś, co mogło być znakiem &, gdyby miał on dźwięk, brzmiało jak porozumienia i zmywy, może jakieś propozycje lub jeszcze inne znaczenia, i tak pozostawały poza jej zrozumieniem. Słowa jednak - wiedziała to - łączyły się w logiczne rodziny. Sens mógł się kryć nie tylko w samych wyrazach, ale też we wszystkich towarzyszących im elementach, całej tej pozornie prymitywnej i niezrozumiałej otocze.

Dopiero dwa tygodnie później Stella dała się nakłonić, by nadać dziecku imię. Bez najmniejszego wahania nazwała ją „Perdita”. Vera Trevor uprzejmie stwierdziła, że to ładne imię, ale ponieważ nigdy wcześniej takiego nie słyszała, to uznała je za jakiś angielski

* W. Szekspir, *Król Lear*, Akt IV Scena VII, przeł. S. Barańczak.

snobizm lub niejasny spadek po archaicznych przodkach. Gdy Stella już powróciła z krainy swojej choroby, wyjaśniła, że Perdita była córką zmarłej kobiety, księżniczką ze znanej angielskiej sztuki.

Pani Trevor załatwiła Stelli pobyt w szpitalu w Broome, „żeby sobie odpoczęła”, jak się wyraziła. Tymczasem dziecko rozkwitało w troskliwych ramionach czarnych nianiek. Perdita rosła pyzata, zadowolona i zdrowa.

*

Nie pamiętam, kiedy matka opowiedziała mi tę historię po raz pierwszy. Miałam może pięć czy sześć lat, byłam już świadoma chłodnych stosunków między moimi rodzicami i pewnego łączącego ich posępnego układu, który pozwalał im wciąż żyć razem. Małe dzieci wyczuwają intuicyjnie najgłębiej ukryte znaczenia. Obserwując intrygującą machinę zachowań rodziców, ich słowa i milczenie, ich działania i bierność, dziecko uczy się, co jest cenne, a co się nie liczy. Moi rodzice nie liczyli się dla siebie. I ja prawie dla nich nie miałam znaczenia. Byłam zagraniczną monetą w ich posiadaniu, figurą bez wartości.

Stella opowiedziała mi, że w sztuce Szekspira *Zimowa opowieść* był król Leontes z Sycylii, równie potężny, jak niesprawiedliwy. W szale zazdrości oskarżył on swoją ciężarną żonę Hermionę o straszne zbrodnie, i mimo że ona i wszyscy inni przysięgali, że jest niewinna, król nie chciał słuchać i kazał ją wtrącić do więzienia. Tam Hermiona urodziła córkę, Perditę, a król rozkazał dworzaninowi, Antygonusowi, pozbyć się niemowlęcia. Ale Antygonus miał dobre serce i zostawił dziecko na wybrzeżu morskim Czech, po czym natychmiast został pożarty przez niedźwiedzia. (*Wybiega, ścigany przez niedźwiedzia** - tak brzmiał słynny absurdalny wers. Nie cierpiałam tego dziwacznie konkretnego szczegółu). Perdita została znaleziona i wychowana przez dobrych pasterzy. Minęło szesnaście lat. Król zrozumiał swój błąd i teraz modlił się do posągu swojej dawno zmarłej żony. Perdita, piękna panna na wydaniu, przybyła na dwór Leontesa i pogodziła się ze swoim skruszonym, głupim ojcem. Zrozumiałam wtedy, że Perdita oznacza zaginioną i ponownie znalezioną dziewczynkę, która miała szczęście. Lubiłam swoje imię i nie przyszło mi do głowy, w tamtych czasach, doszukiwać się głębszej analogii.

Dopiero gdy miałam jakieś osiem lat i Stella przerabiała ze mną *Zimową opowieść* podczas domowej lekcji, odkryłam, że w sztuce Szekspira Hermiona zostaje przywrócona do życia. Jej posąg cudownie ożywa. Odsunięty kamień. Pip, pip, na podświetlonym ekranie żółtozielona linia prosta przechodzi w zygzakowate bicie serca. (*O, jest ciepła! Jeśli to magia*

* W. Szekspir, *Zimowa opowieść*. Akt III Scena III, przeł. S. Barańczak.

- oby tak niewinna I dozwolona prawem jak jedzenie*). Hermiona odkrywa córkę, którą miała za straconą, i natychmiast następuje jej pojednanie z marnotrawnym mężem.

Opowiadając mi to po raz pierwszy, matka pominęła szczęśliwe zakończenie. Nie wiem, czy faktycznie myślała o sobie jak o zmarłej, czy nadanie mi imienia było przypadkiem, rezultatem tego rozpaczliwego okresu w smaganej ulewą chałupce, gdy czuła się odczłowieczona, nic niewarta, gdy leżała, słuchając deszczu, i miała wrażenie, że on ją ściera z powierzchni. Pierwotna nieprawda jej opowiadania była być może jej prawdą; musiała pogodzić się z unieruchomieniem, uwięzieniem w życiu okrutnie niezmiennym. Mogła uciec od mojego ojca, ale nie zrobiła tego, nawet gdy jego pogarda dla niej stała się bezwzględnie ewidentna. Nie ruszyła się z miejsca. Dopiero w dorosłym życiu odkryłam, że Czechy nie mają dostępu do morza. To wina opowiadania. Przez całe dzieciństwo wierzyłam w odległe czeskie plaże, gdzie grasują w morderczych zamiarach dzikie niedźwiedzie.

*

Gdy Nicholas wrócił po tygodniu z Freddie Trevorem, zastał swoją małą chałupkę opanowaną przez kobiety. Na kilka miesięcy przeniósł się do domu Trevorów, gdzie cieszył się względnym komfortem i ciszą bez niemowląt. A gdy Stella znalazła się w szpitalu w Broome, wydawało się całkiem rozsądne, że powinien zostać w towarzystwie inteligentnych osób, a nie wracać do wrzasków, paplaniny i czarnych kobiet, bezwładnie rozwalonych na podłodze jego domu, zachowujących się, jakby były u siebie.

U Trevorów Nicholas odkrył, że może wykorzystywać kucharkę, Marthę, i że ona o tym nikomu nie powie. Wszyscy biali mężczyźni tak robili; czuł się męski i uważał, że ma do tego prawo. Najpierw zatkał jej usta dłonią i patrzył w czarne przerażone oczy, wpychając się w nią brutalnie. Zagroził, że ją zabije, jeśli komuś powie. Jednak z czasem, przekonywał sam siebie, Martha po prostu nauczyła się, jak postępować; uwierzyła w jego mordercze groźby i na pewno zachowa milczenie. Nicholas lubił ciągnąć jej głowę do tyłu za splecione włosy i czuć, że penetruje ją głęboko, aż do bólu. Martha miała jakieś piętnaście czy szesnaście lat i była świetną kucharką, dobrą jak każda inna, jak twierdzili Trevorowie, w cywilizowanym gospodarstwie. Gdy kilka miesięcy później Vera Trevor odkryła, że Martha jest w ciąży, odesłano ją na południe, nie zadając zbyt wielu pytań. Na jej miejsce przybyła niemal natychmiast nowa kucharka, o imieniu Sheila.

Jeśli Nicholas miał jakiegokolwiek opory natury moralnej czy innej, ich źródłem była niepokojąca obecność Billy'ego, najmłodszego syna Trevorów. Miał tylko osiem czy dziewięć

· W. Szekspir, *Zimowa opowieść*, Akt V Scena III, przeł. S. Barańczak.

lat, ale powagę starszego chłopca. Często pojawiał się niespodziewanie, jakby przeniesiony potajemnie z jednego miejsca w drugie, a potem stał, gapił się, i nucił sobie pod nosem. Gdy Billy'ego coś zdenerwowało, zaczynał machać rękami, trzepotał nimi w zakłopotaniu, bijąc powietrze, atakując i przepędzając niewidzialne istoty. Miał sterczące rude włosy i piegowaną zielonkawą cerę. Nicholas postanowił go ignorować, ale wyczuwał jego upartą obecność i potępienie; na widok Billy'ego ogarniała go agresja, której w innej sytuacji mógłby ulec. Gdyby mógł, złapałby chłopaka za gardło, przydusił, zmiażdżył różowy przewód chłopięcego oddechu, i zamknął na zawsze te bezczelne, gapiące się, zielone oczy. Dopiero później dowiedział się, że Billy jest głuchoniemy. Więc nawet jeśli coś podpatrzył, cóż, nie mógł nikomu powiedzieć. Dla Nicholasa był bardziej stworzeniem zasługującym na pogardę niż chłopcem.

Gdy Stella wyszła ze szpitala, Nicholas wrócił do chałupki z żoną i dzieckiem. Tworzyli niestabilne stadło. Stella była cichsza, wciąż zamknięta w sobie, ale też skłonna do kąśliwych uwag i ogólnej melancholii. Dziecko stało się obowiązkiem, mąż losem, który należało znosić. Ponieważ aborygeńskie kobiety opiekowały się Perditą całymi godzinami, Stella prawie nie zauważała nieobecności córki.

Nicholas postanowił wykorzystać sytuację i zostać słynnym antropologiem. Złamie szyfr prymitywnych ludzi, powróci do Cambridge w glorii chwały, będzie popijał sherry z profesorami uniwersytetu, nosił togę z gronostajowym kołnierzem, dostanie srebrną odznakę w kształcie rozetki od króla, a w „Sunday Timesie” ukaze się artykuł pochwalny, opisujący szczegółowo jego odkrycia.

Stworzy coś nieporównanie ambitnego, pełnego naukowej inspiracji, pisanego wspaniałą prozą. Zaczął od zamówienia w księgarni w Sydney skrzyni rozmaitych książek, po czym przystąpił do opracowywania własnego klucza do różnych mitologii. Była to praca przeciągająca się, egzaltowana i dziwaczna, której miał nigdy nie skończyć.

Tak się złożyło, że książki z Sydney uratowały Nicholasa i Stellę, a później odkryła je również ich córka. Obłęd różnego rodzaju znajduje pokrzepienie wśród książek. Stella nadal dla pociechy recytowała Szekspira, zwłaszcza tragedie, a Nicholas, kierowany przymusem osiągnięcia sławy, był coraz częściej nieobecny, gdzieś daleko w swoim „terenie”. Ale gdy się spotykali, przerażeni perspektywą przebywania w swoim bezpośrednim towarzystwie, mogli się wycofać, odizolować i zagłębić każde w swoją książkę.

Te piętrzyły się wysoko w chwiejnych stosach pod ścianami. Nicholasowi nie chciało się zrobić regału - nie miał w sobie ani krzty żyłki majsterkowicza - po prostu gromadził tomy, ustawiając z nich chaotyczne wieże; książek nigdy nie układał ani nie segregował

tematycznie. Tak pamiętam umeblowanie naszego domu. Książki pęczniały w upalnej wilgoci, padały ofiarą myszy i rybików, traciły napisy na grzbietach. Z niektórych znikwały tylko pojedyncze litery, jak gdyby jakiś inteligentny robak powziął urazę do konkretnych słów; w innych zostały skonsumowane brzegi stron, tak że były ażurowe i niekompletne, i czytelnik musiał zgadywać, jakie zdanie rozpoczynało każdą stronicę parzystą, a jakie kończyło nieparzystą. Między kolumnami książek lubiły się gnieździć węże, zwabione przez myszy. Przyzwyczajiliśmy się do widoku rozwijających się długich ciał, gdy wyjmowaliśmy jakąś pozycję z tylnej sterty. Stella początkowo bała się węży, ale z czasem tak zobojętniała na ich obecność, że w pobliżu trzymała łopate, by móc je wyrzucić za drzwi, jednocześnie szukając książki. Czasem, z czystego zirytowania, przecinała je na pół, pozbywając się ich jednym zręcznym ciosem łopaty. Twierdziła, że to wyjątkowa przyjemność, patrzeć na tę wijącą się szaloną śmierć.

Zanim skończyłam dziesięć lat, kiedy to zaczęłam czytać na poważnie - gdy formą wyrazu stało się słowo pisane, nie wypowiedź ustna - połowa pokoju frontowego była zapchana książkami. Moje wąskie płócienne łóżko połowe znajdowało się w tym samym pokoju, pod jedną z bocznych ścian. Zasypiałam, obserwując, jak moi rodzice czytają przy stole kuchennym, a gdy zdarzyło mi się zbudzić w nocy, znajdowałam się w tym osobliwym bibliotecznym grodzie, o masywnej architekturze słów innych ludzi. Tarasy, świątynie, występy i nisze. W ciemności filary z książek zdawały się przechylać i tworzyć nade mną łuk, jednak ja nie bałam się ich zawalenia, dla mnie były schronieniem, bezpiecznym dachem z otwartych tomów. Po śmierci ojca matka stawała się stopniowo śmielsza i bardziej odkrywczą: otwierała książki, których nie wolno jej było wcześniej tknąć, wyszukiwała te zaznaczone wyraźnie jako jego własność. Ponieważ byliśmy zdane tylko na siebie i ponieważ ja się jękałam, czytałyśmy. Nie ma skuteczniejszej ucieczki, bezpieczniejszego azylu. Nigdzie indziej ludzkie głosy nie są schwyte w tak cudowną pułapkę. Mój język był niezdarny i sztywny, ale w czytaniu było wyzwolenie, schronienie, odjazd w błękitną dal emocjonalnych przeżyć, niezrozumiałych i nieprawdopodobnych, cudownie wolnych. Wszystko, co było w stanie stałym, stawało się powietrzem, wszystko, co było powietrzem, nabywało kształtów i wiarygodności.

4

Moje wczesne dzieciństwo upływało pod czujnym okiem Sal i Daff oraz Billy'ego Trevora. Mówili na mnie „Dita”. Sal i Daff pracowały u Trevorów przez kilka lat - a była to duża farma, o jedną czwartą mili od nas - ale potem jedna, a miesiąc później druga, zniknęły bez uprzedzenia. Miałam chyba sześć lat, gdy mnie porzuciły. Płakałam całymi dniami, i płakał Billy u mego boku, trzymając się mnie jedną ręką, a trzepocząc drugą, jak ptak ze złamanym skrzydłem, jak uwięziona kakadu, w geście osobistej ponurej rozpacz.

Zdażyły mnie nauczyć trochę swojego języka, Yawan, oraz kilku podstawowych słów w języku mojej mamki. Zanim zaczęłam się jąkać, mówiłam płynnie i ładnie i uwielbiałam wyrazisty dźwięk rzeczowników w języku tubylców, sprytną i precyzyjną onomatopieję nazw ptaków, cykliczne pieśni, pełne dźwięcznego buczenia. I chociaż byłam biała, byłam *kartiya*, Sal i Daff nosiły mnie na swoich kościstych biodrach i zabierały nad wyschnięty strumień, do swoich.

Byłam podawana, jak inne małe dzieci, od jednego ciała do drugiego, wtulałam się w kołyskę szerokich łon i czułam, jak długie palce iskają mi włosy w poszukiwaniu wszy, głaszczą mnie i żartobliwie łaskoczą. Ci ludzie karmili mnie i troszczyli się o mnie tak, jak nie byli tego w stanie robić moi rodzice. Czasem przez zarośla przybiegała pani Trevor, żeby odciągnąć nas z Billym od nich - mieszańce, nieudacznicy, wyzywała ich, czarne obiboki - ale często po prostu o nas zapominano i siedzieliśmy tam, gdzie nas zostawiono.

Od Sal i Daff dowiedziałam się, że mój totem to zielona rzekotka: wiele ich pojawiło się w porze deszczowej, kiedy się urodziłam, więc ta żabka jest dla mnie wyjątkowa. Totemem Sal było *puturu*, nasionko zboża, które zrywała jej matka do starcia na mąkę, gdy odkryła, że jest w ciąży. Nie wiedziałyśmy, jaki jest totem Daff; ona nie pamiętała swojej matki. Ale duchy, które mogły wejść w kobietę, były wszędzie. Stara Mandjabari twierdziła, że pewnego dnia Daff może się tego dowiedzieć.

- Duchy wszędzie - mówiła. - Wszędzie, naokoło.

Billy... Billy był odmieńcem, jednak grupka ludzi z koryta strumienia karmiła go, bawiła się z nim i uczyła go, ile można zrobić za pomocą rąk. Duch w jego ciele był

szczególny i prawdopodobnie niepoznawalny.

Dopiero gdy podrosłam, zdałam sobie sprawę, jak bardzo kochałam Billy'ego, jakim był wiernym i stałym towarzyszem. Był chłopcem o dziwnym wyglądzie - z kurzą klatką piersiową, krzywymi zębami i skórą w cętki. Miał ciemnozielone oczy, którymi zapominał mrugać, dlatego często były załzawione, jakby miał się zaraz rozpłakać. Te cechy nadawały mu wygląd jednocześnie głupka i mędrca. Stary Dauwarrngu mówił, że ten mały Billy zna różne tajemnice, jak czarni. Billy lubił zaplatać mi włosy. Dotyk jego dłoni na moim karku był jak adoracja. Dzisiaj wierzę, że przez całe życie towarzyszą nam ukochane osoby, ale zdajemy sobie z tego sprawę tylko wówczas, jeśli pamiętamy ich szczególnie dotyk.

*

W mniejszej społeczności, tej złożonej z trzech osób, pełnej napięć z powodu nieudanego małżeństwa i obciążenia nieakceptowanym dzieckiem, Perdita doświadczała innych, mniej swobodnych relacji międzyludzkich. W rozproszonym świetle popołudnia widziała, jak rodzice się kłócą - najmniejszy szczegół wywoływał zajadłą awanturę - i odkryła, że małżeństwo niekoniecznie rozpada się cicho, bywa, że przy wtórze wrzasków, złorzeczeń i wykrzykiwanych głośno obelg. Gdy pierwszy raz zobaczyła, jak Nicholas zamachnął się na Stellę i uderzył ją mocno w policzek, wybiegła na dwór, przerażona, żeby przemyśleć, co się wydarzyło. Uciekła w busz i przyczała się, czekając, by jej serce się uspokoiło, aż zapadła taka cisza, a rzeczywistość nabrała takiej wyrazistości i jasności, że niemal zaczęła się bać. Usłyszała nagły szelest w trawie za sobą, a gdy się odwróciła, zobaczyła trzy rude kangury, leniwie pasące się w zapadającym zmierzchu. Zwykle widywało się je przelotnie, jak susami oddalając się od samochodu, rzucając się na swych wielkich stopach do nierównej walki, ale teraz były blisko, bliżej niż kiedykolwiek wcześniej. Perdicie podobały się ich zgrabne uszka, które drżały i poruszały się, łowiąc jej obecność, i proste łuki grzbietów, postawa swobodna, ale czujna. Duży kangur podrapał się po piersi. Przekrzywił głowę. Przyjrzał jej się z ukosa. I choć była pewna, że ją zauważył, nie spieszył się, odwodząc towarzyszy. Oddaliły się nie susami, lecz powolnymi ciężkimi skokami, chwiejnymi i kołyszącymi, miękkimi piętami wzbijając niewielkie kłęby czerwonego pyłu.

Później Perdita czuła wstyd, że nie ujęła się za matką. Gdy wróciła do domu, odkryła, że Stella jest jak obca. Perdita słyszała, jak matka miota przekleństwa w staroświeckim języku; jeszcze wtedy nie wiedziała, że to też były słowa Williama Szekspira, wyrwane z teatralnych dekoracji, by wyrazić osobistą furię.

Nicholas siedział przy stole pod ścianą, palił i czytał, udając, że jego żony tam nie ma.

W świetle lampy naftowej jego twarz wyglądała na wyniszczoną i spiętą. Jego profil miał ostre, s y c y l i j s k i e rysy. L e o n t e s , ojciec Perdity. A błysk jego okularów nadawał mu w oczach córki wygląd brutalnego ślepeca.

Leżąc tej nocy w łóżku, w rosnącym już mieście książek, Perdita próbowała się uspokoić, przywołując widok oczu wielkiego kangura, tak błyszczących i spokojnych, tak naturalnie pięknych. Kangury były przelotnymi gośćmi. Przypadkowymi podróżnymi, których zadaniem było być może przekazać taki komunikat: świat jest t e ż spokojny, cichy i bezkonfliktowy; świat to t a k ż e te miłe, przyjazne istoty o ciepłym futerku, krzepiące, milczące, które niczego od nas nie chcą.

*

Ponieważ nieufność Stelli wobec osób z zewnątrz była silniejsza niż jej brak zaangażowania w macierzyństwo, nie pozwoliła posłać córki do szkoły. Zatem od piątego roku życia Perdita pobierała nauki w domu, nieudolne, niekonsekwentne, nieregularne. Gdy miała dziewięć lat, wybuchła wojna, co wywołało dziwną reakcję Stelli - zrobiła się mianowicie systematyczna i stanowcza. Nicholas wychodził codziennie wcześniej rano - jak gdyby pracował w miejskim banku i musiał zdążyć na pociąg, żeby zająć się pilnymi dokumentami niesionymi w teczce - a wtedy Stella, która również odczuwała potrzebę mobilizującego, choć fikcyjnego harmonogramu, czekała punktualnie do godziny dziewiętej i zaczynała pierwszą lekcję. Pracowały trzy godziny, potem robiły przerwę, nawet jeśli nie skończyły tematu, punktualnie o dwunastej, tak żeby po południu Stella mogła spać, szyć lub czytać. Sporządziła listę przedmiotów - historia, geografia, religia, arytmetyka, angielski, biologia, Szekspir (ma się rozumieć) - którą zmieniała i przemeblowywała stosownie do upodobania i nastroju, czasem dodając jakąś pozycję, na chybił trafił wybraną z ich księgozbioru. Nie brała w ogóle pod uwagę, że to były książki trudne, dla dorosłych. Perdita, zarówno udręczona, jak i zachwycona niezrozumiałymi tekstami, znajdowała w każdym z nich przynajmniej strzępek zrozumiałego świata. Wypisywała długie listy słów, których znaczenia nie znała, i obiecywała sobie, że pewnego dnia, w przyszłości, pozna je wszystkie.

Matka przekazała Perdicie ogłupiającą wizję świata; nauczycielka tak wielu rzeczy nie pamiętała lub pamiętała niezbyt dokładnie, że planeta otrzymywała nowe odmiany tektoniczne, państwa na niepewnych odręcznych mapach zmieniały wielkość i kształt, świat zapelniał się zmyślonymi nacjami i obyczajami (z których wiele było niepokojących, dziwacznych, nie do pojęcia). Historia była angielska, podobnie jak moralność („nie trzymać łokci na stole” było nakazem etycznym; „nie narzekać”; „nie kłamać”; „nigdy nie mówić

nieznajomym, co się naprawdę myśli”); a więc teraz gdy była wojna i szwaby znów zagrażały naszym, świat miał protestancki cel i demokratyczną misję. Komunizm był zły, dowiedziała się Perdita, nawet gorszy od nazizmu; bezbożni Rosjanie zjadali własne dzieci w ciągu długich mroźnych zim, podczas których słońce, także pokonane, ślizgało się wzdłuż horyzontu przez kilka godzin, po czym znów zapadała mroźna grobowa ciemność. Stella zaszyfrowała świat we własnych zacieklej paradoksach, zaludniając go gęsto łajdakami i złoczyńcami, kierowanymi przez idiotyczne cele i maniackalne intencje.

Podczas tych lekcji Stella i Perdita doświadczały po raz pierwszy pewnej bliskości. Perdita przepadała za autorytatywnym tonem matki, opowiadającej historie o wszystkim, co jej przyszło do głowy. Uwielbiała, gdy matka śmiała się od czasu do czasu z własnych opowieści i sposób, w jaki koloryzowała informacje na zachętę.

- Jak? - pytała Perdita. - Dlaczego? Czemu nie?

Obserwowała, jak usta matki się poruszają, i słuchała, jakim cudem jest ten ogromny świat. Matkę i córkę łączyła narracja i jej elastyczne możliwości.

Perdita lubiła najbardziej lekcje z Szekspira, ponieważ to były opowieści. Gdy matka deklamowała, córka czuła się zagubiona, kompletnie skołowana tym jakby nie całkiem angielskim, ornamentalnym językiem, pompatyczną przesadą, przeładowaniem emocji. Ale gdy Stella zaczęła czytać na głos streszczenia Charlesa Lamba, fabuły stawały się zrozumiałe. Perdita czuła się urzeczona, słuchając, jak okrutni i jak heroiczni mogą być ludzie, jak wielu monarchów było szalonych, jak wielu kochanków ukrywało się w przebraniu, ile kobiet było niewiernych lub niepospolicie pięknych, jak często można wziąć człowieka za kogoś innego, jak łatwo może dojść do zakłucia nożem, otrucia czy samobójstwa, do uciszenia, ujmując to po szekspirowsku, doczesnego zamętu. Stella żywiła wyjątkowe uwielbienie dla tragedii, a nade wszystko dla monologów Hamleta, tak że jeszcze przed ukończeniem dziewięciu lat Perdita znała na pamięć jego najślynniejsze skargi:

*Gdyby ten balast przyziemnego ciała
Mógł się rozpląnąć, rozwiać w lotną rosę;
Gdyby nam Stwórca nie odebrał prawa
Do samobójczej śmierci! Boże święty,
Jak nudna, stęchła, płaska i jałowa
Jest każda z ziemskich spraw, cały ten świat!
Świat? śmiechu warte: nieplewiony ogród,
Gdzie się panoszy zielsko ordynarnej*

Ludzkiej podłości. Więc do tego doszło...*

Perdita nie była całkiem pewna, co to znaczy, jednak podobało jej się to buntownicze narzekanie, ton rozdrażnienia. Stella oświadczyła, że ten monolog i inne mu podobne traktują o „najważniejszych sprawach”. Powiedziała córce, że wszystko, co powinno się wiedzieć o życiu, zawiera się w jednym tomie Szekspira; że on był niezrównany, wiedział wszystko, ogarniał każdy aspekt ludzkiego życia.

Perdita już jako dziecko wiedziała, że to nieprawda. Gdy wychodziła na oślepiające australijskie słońce, widziała Horatia, drapiącego się po podbrzuszu w ukośnym chłodnym cieniu zbiornika z wodą, zeberki śmigające w czarno-białym wyścigu, w oddali wysłużony młyn Trevorów, jak obraca skrzypliwie, z wysiłkiem, swe żelazne skrzydła w kształcie krzyża; czuła gorący wiatr na twarzy, słyszała brzęczenie much plujek, przemykanie niewidocznych jaszczurek, trzask schnących roślin; całe to życie, całe to ogromne nieskomplikowane życie mówiło jej, że więcej jest rzeczy na niebie i ziemi, niż śniło się panu Szekspirowi.

Istniały nierzeczywiste obszary, które znali starzy Mandjabari i Dauwarrngu. Poza tym rzeczy, które znał jej ojciec, o skomplikowanych nazwach, i jeszcze wszystkie te niedostrzegane na co dzień, proste, niewyszukane odczucia, smak ciepłej wody ciekącej z płóciennego bukłaka, jedwabiste powietrze wczesnego wieczoru lśniąca niklową poświatą, lekki zawrót głowy od słuchania pieśni Aborygenów przy ognisku, rytmiczne uderzanie kijami, słowa, i język, unoszący się, splatający i rozpuszczający się w mroku, jak wiatr, jak zapomnianie. D r o b n e sprawy, myślała Perdita. To były sprawy d r o b n e . Albo może - przysła jej do głowy wywrotowa idea - i n n e sprawy najważniejsze.

Gdy próbowała dyskutować o tym z matką, spotykała się z zagorzałym odpieraniem swoich argumentów. Kiedyś Stella spojrzała znad szycia (bluzka z kory z rzędem ciasnego karmazynowego marszczenia) i stwierdziła, że niektóre sprawy w życiu są oczywiste: nieśmiertelność duszy, śmiertelność ciała oraz niezrównany, wyjątkowy geniusz Szekspira. Jest to bezsprzeczne, nie ma co dyskutować. Strzepnęła materiał, rozłożyła na kolanach i mu się przyjrzała. Jej palce bawiły się zwisającą nitką, wyrazistą jak arteria. Obok leżał wiklinowy przybornik i puszka po herbatnikach ze starymi guzikami. Szekspir poruszył, podkreśliła raz jeszcze, w s z y s t k i e „wielkie” sprawy. W piwnych oczach Stelli utkwionych w córce było wyzwanie do sprzeciwu. Perdita rozsądnie się wycofała. W końcu znała od dawna ekscentryczną obsesję matki i zbiór stanowczych deklaracji na temat sensu

* W. Szekspir, *Hamlet*, Akt I Scena II, przeł. S. Barańczak.

życia.

*

Przez pewien czas po przyjeździe Nicholas spędzał kilka godzin dziennie z Williem, ucząc się języka jednego z plemion regionu. Ponieważ Willie był dozorcą bydła, któremu płacono tytoniem i mąką, a już na pewno nie dawano więcej niż panu Trevorowi za to, żeby spełniał zachcianki tego białego nieroba, co to nie wiadomo, po co przyjechał i zadaje za dużo przemądrzałych pytań, Nicholas musiał chodzić z nim do pracy, a nawet od czasu do czasu mu pomagać. Gdy Willie wiązał i znakował woły, konstruował i stawiał ogrodzenia, rąbał drewno, nosił wodę, naprawiał wiatrak, taszczył worki z zapasami żywności i układał w szopie, gdy ujeżdżał konie, przybijał gwoździe, ciosał meble z drewna, Nicholas mozolnie tworzył szcątkowy słownik z zebranych pojęć; przy okazji stopniowo zaczął podziwiać ciężką pracę czarnego człowieka i jego pełną godności precyzję w wyjaśnianiu własnych słów. Czasami Nicholas miał wrażenie, że Willie coś ukrywa, że nie mówi mu wszystkiego albo nawet celowo wprowadza go w błąd w różnych sprawach, ale to była typowa złośliwość tubylców, o której go uprzedzano. Poza tym jednak Willie był niezastąpiony; Nicholas potrzebował pomocy we wszystkim, w czym wiedza książkowa absolutnie nie mogła mu pomóc.

Gdy Perdita miała około sześciu lat, Nicholas zebrał już wystarczającą wiedzę, żeby załączyć do listów i raportów do Głównego Protektora Aborygenów pierwszy artykuł naukowy ze swego mizernego dorobku. W głębi duszy zdawał sobie już sprawę, że nigdy nie będzie słynnym uczonym, takim, jacy kroczyli przez trawnik w Cambridge, w długich togach, zadufani w sobie, w aureoli prestiżu własnych cytatów oraz uniwersyteckich plotek. Również wkład Nicholasa w aborygeńską etnografię nie miał być niczym więcej jak tylko nieudolną transliteracją opowieści i trochę bardziej pożytecznym, może bardziej godnym szacunku, zarysem systemów językowych i grup pokrewieństwa, z czego ostatecznie większość zaczerpnął od pana Trevora. Podobnie jak jego żona Nicholas popadł w bierność wobec własnego życia. Stracił rachubę czasu; stracił cel i ambicję; najmniejszy zawodowy pretekst umożliwiał mu pozostawanie w kraju, w którym niewyobrażalnie, katastrofalnie się zagubił. Widział, że Perdita, dziewczynka o imieniu, które znaczyło „zagubiona”, jest w istocie najmniej zagubionym członkiem jego rodziny.

Od czasu do czasu Nicholas otrzymywał listy od swego starzejącego się ojca - w których prosił, błagał syna, żeby wrócił z rodziną do domu, uciekając się do przekupstwa w postaci oferty (ponownej) objęcia kierownictwa w największym sklepie - jednak te listy

umacniały jego poczucie odseparowania i rozczarowania. Pogardzał ojcem za to, że dał mu tak wiele, za jego wieczną troskę i irytujący optymizm. *Mój synu*, tak zawsze zaczynały się listy. Ponadto nie miał żadnych skrupułów, żeby prosić ojca o pieniądze (które przychodziły zawsze co miesiąc, razem z kolejnymi ojcowskimi błaganiami), ale uważał, że dopóki przebywa za granicą, jest zwolniony z kariery kupca galanteryjnego, którą wciskał mu pan Keene senior. Do ojca słał listy składające się całkowicie ze zmyśleń, sugerując, że jest u progu przełomowego odkrycia, że jego praca będzie miała znaczenie uniwersalne, bo wyjaśni podstawy wczesnego stadium rozwoju człowieka. Jego rozprawa miała zastąpić jako *Hipoteza Keene'a*.

Gdy w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym wybuchła wojna, Nicholas był podekscytowany, dopóki nie odkrył, że odmówiono mu nominacji oficerskiej; wówczas lubił sobie wyobrażać, że pracuje w brytyjskim wywiadzie wojskowym, zaangażowany w jakąś tajną misję. Ale postanowił, że jak tylko wojna się skończy, wróci do Anglii.

Tubylcy w Broome uważali Nicholasa Keene'a za oszusta i cholernego nieudacznika; nikt nie mógł pojąć, czym on się zajmuje. Najpewniej obijaniem się. Nicnierobieniem. Lakonicznie plotkowano na werandach pubów: Jeden Bóg raczy wiedzieć, po co ten Angol się tu w ogóle pałęta, tkwi tylko w tej pieprzonej chałupce, ze swoją pomyloną żonką i zdziczałym dzieciakiem.

5

W tysiąc dziewięćset czterdziestym roku, gdy Perdita miała dziesięć lat, coś się stało, coś zepsuło. Stella, zazwyczaj gadatliwa, w ogóle przestała mówić i pogrzyżyła się znów w otchłani bez dna, miotana wątpliwościami, ale bez odpowiedzi na pytania o „wielkie sprawy”. Bezustannie ziewała i nie nawiązywała kontaktu wzrokowego. Przestała się myć i jeść, strzepywała niewidoczne pyłki ze swoich brudnych ubrań. Mówiła, że słyszy ogłuszający zgiełk, jakby znajdowała się w tłumie ludzi przepychających się do swego wagonu na stacji St Pancras. Rozbrzmiewały w niej brzęk metalu i hałas peronu, i ciężka żelazna maszynyria hamująca lub nabierająca prędkości, i syczące kłęby pary z zardzewiałych ołowianych rur. Ludzie krzyczą, mówiła, i gwizdki gwizdzą. Zbyt wielu ludzi krzyczy. Nicholas także krzyczał na Stellę, ale to niczego nie zmieniało. Uważał jej krnąbrną melancholię za afront, za skandal.

Perdita nie mogła sobie wyobrazić stacji St Pancras. Może była jak wnętrze silnika ciężarówki pana Trevora, tylko o wiele, wiele większa. Jakiś rodzaj hałaśliwego mechanizmu, rozgrzany i wzburzony. Wiedziała, że w Anglii są olbrzymie pomieszczenia z kamienia i metalu, budynki, w których na raz mieści się setka ludzi. W takim miejscu faktycznie wszyscy mogli krzyczeć; tam na pewno chwycił człowieka lęk przed tłumem, zdarzały się upuszczone bagaże i zgubione dzieci, był niechciany kontakt z napierającymi ciałami i niełatwa droga do wyjścia. Czegokolwiek doświadczyła matka, musiało to być naprawdę straszne. Perdita patrzyła, jak Stella obraca filiżankę, w kółko i w kółko, trzymając ją za uchwyt w kształcie przecinka. Doznała nagłego przyływu miłości i troski, uczuć u niej dość rzadkich, ale poczuła za nie wdzięczność. To, co je łączyło, tkwiło w emocjonalnej pamięci wspólnych lekcji, opowieści, w które się mentalnie angażowały, wzlotów wyobraźni.

Nicholas uznał, że Stelli potrzeba więcej czasu z dala od domu, w szpitalu w Broome. Ona coś „postradała”, tak powiedział, a Perdita się zastanawiała, co to było. Czego Stelli z pewnością nie brakowało, to irytującego milczenia. Słowa, pomyślała Perdita. Może to słowa „postradała”. Podczas pakowania rzeczy do szpitala Stella chciała zabrać tylko swoją puszkę z guzikami. Przyciskała ją do piersi, jakby to była książka albo dziecko.

Choć wówczas Nicholas miał już własnego dżipa, podróż do miasteczka odbyła się w podniszczonej ciężarówce pana Trevora. Nicholas i Stella siedzieli z kierowcą w małej ciasnej szoferce, a Perdita z bagażem na skrzyni ładunkowej, w kurzu i słońcu, trzęsąc się przy każdym zakręcie. Przez prostokąt brudnego szkła widziała tyły ich głów, podskakujące jak główki lalek, obce, sztuczne i oderwane od ciał, i zastanawiała się, jak długo potrwa nieobecność matki i czy po tej chorobie w ogóle jeszcze wydobrzeje. Pani Trevor, nachylając ku Perdicie zarumienioną twarz, powiedziała jej, że matka po prostu jeszcze raz potrzebuje odpoczynku; tylko przez jakiś czas, tam, gdzie będą mogły się nią zająć pielęgniarki. Ale Perdita wiedziała, że za tym kryje się okropny beznadziejny smutek. To nie było zwykłe zmęczenie, ale coś więcej, coś, o czym się nie mówi, znużenie życiem, coś, co sprawia, że w umyśle pojawia się stacja kolejowa i napierające tłumy.

Widoki z tej podróży powracały do niej potem przez całe życie. Nie dlatego, że Perdita zobaczyła coś nowego, nieznanego, tylko że obrazy rozwijały się jak z kłębka, następowały kolejno po sobie, przejmujące i naznaczone wyjątkowością chwili - zabierali jej matkę, nie wiadomo na jak długo - i miała wrażenie, jakiegoś intuicyjnego, niespokojnego i rozpaczliwego wrażenia z jednej strony niesprawiedliwości tego posunięcia, a z drugiej jego konieczności.

Ze skrzyni ładunkowej starej ciężarówki, posiniaczona od telepania się po wyboistej drodze, Perdita patrzyła na przesuwany się z dygotem świat - gdzieniegdzie baobaby z wydętymi brzuchami, sztywnymi konarami drapiącymi niebo, mrowiska podobne do rzeźb albo posągów ludzkich postaci, plamy porannego światła przebłyskujące wśród gałęzi drzew i między granitowymi wychodniami, tu i ówdzie zrywające się do lotu stado przerażonych ptaków, przemykające kształty, chyba walabie, gdzieś w oddali pędzący szaleńczo przez busz samotny wół, cały ten podróżujący krajobraz, cały ten ruchomy świat wydawał się w jakiś sposób pod wrażeniem uroczystego charakteru i celu ich podróży. Samochód zostawiał za sobą obłok pomarańczowego pyłu wirującego tak agresywnie, że Perdita uznała to za zły znak.

W mieście Nicholas i Perdita zatrzymali się w hotelu Continental. Perdicie ogromnie podobały się długie werandy, otwarte na oścież okiennice i wewnętrzny ogródek piwny, ocieniony barwnymi parasolami. Nieduży Malaj w sarongu i chustce na głowie zaprowadził ich do sąsiadujących ze sobą pokoi. Dygał i kłaniał się, otwierając drzwi. Dostali łóżka z czystą pościelą; mieli bieżącą wodę i światło elektryczne. Perdita opadła ciężko na łóżko, czując się, jakby ją ktoś pobił. Na pośladkach i kolanach miała siniaki od tej podróży i czuła, że kłuje ją w kąciku oka, co, jak wiedziała, zapowiada infekcję. Poinstruowana, że ma zostać

w pokoju, gdy matkę zabierano do szpitala, po prostu leżała. Czuła ulgę, że świat nareszcie się zatrzymał, ale była zmartwiona, że się nie pożegnała z matką. Trochę drzemała na chłodnej, pachnącej mydłem pościeli; *Koło ratunkowe*. Przez okiennice przeciskał się wietrzyk nasycony solą z oceanu.

Gdy Perdita się obudziła, poczuła głód, więc udała się na poszukiwania. W małej drewnianej szopie na tyłach hotelu znalazła kuchnię, gdzie jakaś życzliwa kobieta pochyliła się nad nią, dotknęła ceremonialnie jej policzka i zaproponowała śniadanie złożone z grzanki i smażonych jajek.

Ta kobieta - miała na imię Sis - służyła strawą i dobrym słowem każdemu, kto zbłądził do jej skromnej kuchni. Pochodziła z Beagle Bay Mission i miała rodzinę, jak mówiła, wszędzie dookoła, tu i tam. Wyszła za japońskiego poławiacza pereł; mieli sześcioro dzieci, oznajmiła z dumą, teraz wszystkie już dorosłe. Perdita odparła poważnie, że jest jedynaczką, ale ma przyjaciela, Billy'ego, który jest jak brat, mimo że pochodzi z rodziny Trevorów, jest trochę opóźniony i nie słyszy ani nie mówi. Obserwowała poruszające się na boki ciało kucharki, która wycierała i ustawiała naczynia.

Sis nagle się odwróciła i odezwała:

- Widziałam twojego tatusia. A mama? Żyje jeszcze?

Perdita była zaszokowana, że ta nieznajoma kobieta mogła pomyśleć, że jej matka nie żyje. Lub że może coś wiedzieć.

- W szpitalu - rzuciła bez wyrazu. - Mama jest chora. Na głowę.

To stwierdzenie nie oddawało zgiełku stacji kolejowej ani sprzecznego z nim milczenia i wyczerpującej apatii, w której teraz była pogrążona matka. Jednak Sis spojrzała na nią spokojnie i kiwnęła głową.

- Ach, tak - powiedziała tonem współczującym, jakby mimo wszystko wiedziała, jak człowiek czuje się na stacji kolejowej i co może spaść na nieszczęsną kobietę, jak cios pięści w ciemności. Perdita podniosła do góry swój brudny talerz, z rozsmarowanym żółtkiem i falbaniastymi strzępkami. Sis wzięła go w obie dłonie i zanurzyła w brązowych mydlinach.

- Dziękuję pani - rzekła Perdita, czując autentyczną wdzięczność.

- Żaden kłopot.

Sis odwróciła się do niej i uśmiechnęła słodko.

Gdy Nicholas wrócił ze szpitala, wydawał się jakiś weselszy. Poruszał się jak człowiek bez odłamków szrapnela w plecach, człowiek młody, bez obciążeń. W barze hotelu Continental usiłował nawet nieudolnie żartować, a tubylcy, wiedząc już o szalonej żonie i przyczynie jego wizyty w mieście, dogadzali mu i spełniali jego zachcianki. Perdita

przycupnęła niepewnie na barowym stołku, sącząc lemoniadę ze szklanki. Rzadko widywała ojca w nowym towarzystwie; nie pasował do tego otoczenia, ale bardzo się starał. W miarę jak zapadała ciemność, widziała, że robi się coraz bardziej pijany; patrzyła, jak opiera się o bar, jak jego rysy stają się obce, niewyraźne, policzki obwisłe, jak pije haustami, łapczywie. W pewnej chwili przewrócił szklaneczkę whisky, natychmiast zamówił następną i pośpiesznie ją opróżnił. Zapomniał o jej obecności. Perdita liczyła butelki nad barem, słuchała rechotu pijanych mężczyzn, widziała swoje niewyraźne odbicie w długim falistym lustrze z ornamentem z chwiejących się palm. Taka blada mała twarzyczka, taki nieśmiały owal.

Jakiś czas później biuściasta barmanka o skośnych oczach i z trwałą ondulacją wzięła Perditę za rękę i zaprowadziła korytarzem do jej pokoju. Na odchodnym dała jej potężnego całusa i opakowanie solonych orzeszków ziemnych.

- Śpij, kochanieńka - nakazała, zamykając za sobą drzwi.

Perdita miała ochotę odwiedzić Sis, ale uznała, że jest zbyt zmęczona, o wiele zbyt zmęczona. Jej chore oko kleiło się i z wolna zaczynało pulsować. Położyła się w ubraniu i sandałach na luksusowym łożu, leżała nieruchomo, bardzo samotna, myśląc nie wiadomo czemu, bo przecież było parno i wilgotno, o śnieżnym śnie swojej matki. Postanowiła, że pewnego dnia sama zobaczy śnieg. Pojedzie hen, daleko, do Anglii albo do Rosji. Rosja. Tak, Rosja. Pojedzie do dalekiej Rosji i zobaczy śnieg. Ale tymczasem sen matki stał się własnym prywatnym skarbem Perdity; zasnęła, wyobrażając sobie miękką zaspę, nieskończenie smutne pionowe opadanie, delikatne powolne zanurzanie, biel, biel.

*

I Nicholasa, i Perditę obudził krzyk dzierzb w pobliskim tamaryndowcu oraz metaliczny brzęczący dźwięk, którego źródłem okazała się grupa Aborygenów skutych boleśnie żelaznymi łańcuchami za kostki. Wypuszczono ich z więzienia, żeby robili drogę asfaltową. Z małego okienka swojego pokoju hotelowego Perdita zobaczyła schwytych, upokorzonych, połączonych w ten sposób ze sobą mężczyzn, i zastanawiała się, co zrobili, że tak okrutnie ich skrupowano. Mieli na sobie podarte spodnie i brudne podkoszulki bez rękawów; twarze błyszcząły im w słońcu. Strażnik więzienny siedział w oddali w błękitnym cieniu mangowca. Przyciął papierosa, polizał, obrócił, powoli zapalił zapalkę. Zaciągnął się głęboko, wciąż nie spuszczać z nich oka. Gdy Perdita z ojcem wyszli z hotelu, uświadomiła sobie, że rozpoznaje jednego ze skutych mężczyzn. To był Kurnti, który czasami pracował w zagrodzie na farmie Trevorów. Perdita zawołała go po imieniu i pomachała, a on natychmiast jej odmachał, z twarzą rozjaśnioną prawdziwie niewinnym uśmiechem.

- Dita! - zawołał. - Ha, Dita!

Nicholas odwrócił się, żeby popatrzeć, ale nic nie powiedział. Złapał tylko córkę za przegub i odciągnął ją stamtąd.

Perdita przez cały dzień nosiła w sobie obraz machającego do niej czarnego mężczyzny. Zapach gorącej smoły. Brzęk ciężkich łańcuchów. Dźwięk jej własnego imienia brzmiącego, jakby było aborygeńskie.

*

Tego samego dnia Nicholas zabrał ją do klasztoru. Był to wielki drewniany budynek z rzędami okiennic. Białe i czarne twarze w kwefach zerkały na nich ciekawie, gdy szli razem wyżwirowanym podjazdem, po którego obu stronach rosły fioletowe bugenwille. W pomieszczeniu od frontu, gdzie kazano im zaczekać w milczeniu, na ścianie wisiał duży krucyfiks, na który Perdita gapiała się zafascynowana. Chrystus miał twarz o zapadniętych policzkach, lekko przymknięte oczy, wyglądał na spokojnego i zadowolonego z siebie. Perdita przypomniła sobie opowieści Stelli, drastyczne i niewiarygodne. Przyszło jej nagle do głowy, że może Nicholas planuje ją tu zostawić, z tymi sztywnymi zakwefionymi kobietami w sukniach jak namioty, które czyły tego nieszczęsnego, zamordowanego króla. Ogarnęła ją panika; dlaczego nigdy jej nic nie mówią? Dlaczego dorośli, zawsze i bezwzględnie, muszą podejmować wszystkie decyzje?

Perdita już miała zadać pytanie, gdy zakonnica, którą nazywano siostra Immaculata, weszła, prowadząc młodą kobietę. Mary miała brązową skórę i ciemne oczy. Stała nieco z boku, jakby była z innego świata niż siostry w klasztorze. Miała szesnaście lat, była wysoka jak na swój wiek i cechowała ją jakaś dojrzałość i opanowanie. Perdita uśmiechnęła się nieśmiało, na co otrzymała w odpowiedzi uśmiech o wiele bardziej pewny. Nicholas wyjaśnił, że Mary została wychowana w katolickim sierocińcu na południu i że pojedzie z nimi, i będzie u nich mieszkać, gotować im i sprzątać, i pomagać jej w nauce pod nieobecność mamy. Mary potrafi czytać, dodał. Siostra Immaculata skłoniła się lekko. Perdita zastanawiała się, czy jej ojciec jest kimś ważnym. Nieoczekiwanie zakonnica rzuciła się do przodu i ujęła twarz Perdity w dłoń.

- Ojej - powiedziała, patrząc na jej chore oko.

Kazała jej się nie ruszać, a sama poszła po jakąś maść. Perdita czuła, jak długie badawcze palce zakonnicy, powykręcane artretyzmem, jak u wiedźmy, otwierają i przytrzymują jej powiekę i aplikują przezroczysty krem z maleńkiej metalowej tubki. Kciuki zakonnicy spoczęły pod jej prawym okiem, potem pod lewym. Perdita czuła strach.

Rozumiała, że chcą jej pomóc, ale mimo to się bała. Z obojga oczu płynął niekontrolowany strumień łez. W którymś momencie tej procedury Mary wzięła ją za rękę i stanęła blisko, od razu serdeczna, gotowa wiernie towarzyszyć. Był to ciepły swobodny uścisk. Perdita poczuła, jak ich palce się splatają. To była ta chwila, właśnie ta chwila, w której Perdita pokochała Mary.

*

W drodze powrotnej Nicholas i pan Trevor siedzieli w sfoferce, a Mary i Perdita na skrzyni ciężarówce, razem z pudłami i skrzynkami towarów, które zakupili mężczyźni. Zanim wyjechali z miasta, udali się na zakupy do Streeter i Male, sklepu wielobranżowego, i kupili mleko w puszcze, płatki zbożowe, ciasteczka i kukurydżę. U Fongsa nabyli worek ryżu, a Perdita miała ochotę dłużej się zatrzymać w tym egzotycznym miejscu. Potem w piekarni kupili kilka bochenków jeszcze ciepłego chleba. To był dla Perdity niezwykle smakołyk; jej matka nigdy nie piekła chleba, więc dziewczynka rzadko miała okazję spróbować świeżego.

Ciężarówka zepsuła się dziesięć mil przed domem. Pan Trevor i Nicholas stali z głowami pod maską, majstrując przy pasku klinowym. Stukali kluczem w chłodnicę i rozmawiali szeptem o sprawach technicznych. Dokonali poprawek, zajęli się silnikiem. Silnik pstrykał, studząc się powoli. Mary i Perdita siedziały na ziemi, jedząc chleb i miód, który nalewały prosto z nowiutkiego słoika i rozsmarowywały palcami. Dookoła roiło się od much, brzęczących, natarczywych, ale one je po prostu ignorowały i jadły, jakby były wygłodzone. Perdita napchała się tak, że już bardziej nie mogła. Z chęcią pochłonęłaby wszystko, każdą substancję i słodycz. Wypełniłaby się nimi tak, żeby nie było już miejsca na myśli o matce. W pewnej chwili Mary nachyliła się nad Perditą i małym palcem otarła kroplę miodu z kącika jej ust, po czym oblizwała palec do czysta, mrugnęła i uśmiechnęła się.

- Będziemy siostrami, co? - zapytała.

Perdita poczuła się - jakby to ująć? - odnaleziona, uratowana. Uśmiechnęła się ustami pełnymi lepkiego chleba i w jednej chwili jej małe, nieważne życie nabrało nowych kształtów.

Zanim samochód, po wprawieniu starego silnika w gderliwe dudnienie za pomocą żelaznej korby, znalazł się znów na drodze, zaczął zapadać zmrok. Ptaki krzątały się jeszcze niespokojnie w ciemności, potem ucichły; Perdita widziała ich niewyraźne kształty na eukaliptusach. Stado różowych kakadu zerwało się z łopotem skrzydeł, potem hałaśliwie opadło. Pan Trevor był tak uprzejmy, że odwiózł pasażerów pod same drzwi. W niebieskawym zmierzchu Perdita ujrzała zarys chałupki, potem usłyszała, jak pędzi ku nim

Horatio, szalejąc z radości. Rzucił się na nią tak gwałtownie, z całą wylewnością i wybuchowością swego psiego życia, że obalił ją na ziemię.

*

Jaki był ten powrót, tamtego wieczora, bez matki, za to z Mary?

Myślałam o tym, przez całe lata, nie jako o zastępstwie - ponieważ jedna osoba nie może przecież nigdy zastąpić innej - ale jako o ostrzegawczym znaku, że sprawy niebezpiecznie źle się ułożyły. Mary nie była matką, lecz siostrą; wciąż dotkliwie odczuwałam nieobecność Stelli, jak również swoją niewymowną, niemal nieznośną, tęsknotę za nią. Zastanawiałam się każdego dnia, gdzie dokładnie jest, w jaki sposób ją leczą. Wyobrażałam sobie przystojnego lekarza w białym fartuchu, jak daje jej zastrzyk w ramię, a ona wpatruje się z roztargnieniem w przestrzeń. Włosy ma zaczesane gładko do tyłu, a na sobie prostą koszulę nocną barwy wyblakłego różu. Był to stereotypowy, banalny obrazek, wzięty nie wiadomo skąd, ale w jakiś sposób mnie pokrzepiał.

Mimo że nie byłam przekonana o jej miłości (jako że nigdy nie była matką, która przytula, całuje, czy instynktownie wyciąga ręce do pieszczot), tkwiłyśmy razem w naszym odosobnieniu i miałyśmy wspólny świat wyobraźni. Może dlatego przywiązywałam tak wielką wagę do jej snu o śniegu, że to było coś osobistego, jakiś dowód na prawdziwie wewnętrzne życie, które rzadko ujawniała.

Stałyśmy z Mary przy drzwiach, a ojciec szukał czegoś po omacku w ciemności. Horatio wciąż podskakiwał, jeszcze niegotowy, by się uspokoić, cisza nocy wyolbrzymiała dźwięk jego złajania. Mary znów złapała mnie za rękę, jakby teraz ona potrzebowała pociechy dotyku. Usłyszałyśmy, jak coś upada z głuchym łomotem - ani chybi, potrącone książki - a potem szuranie i gmeranie. W końcu w mroku ukazał się słaby blask lampy naftowej, a w nim twarz mego ojca, pęczniejąca w oczach, lśniąca i koloru mosiądzu ponad płomieniem, który kontrolował kciukiem i palcem wskazującym. Soczewki okularów znów skryły jego oczy, zostawiając dwa bliźniacze krążki światła. Widziałam go tam, na pół obecnego, niewyraźnego w mglistej odległości, jakby u wylotu tunelu. Odepchnęłam Horatia, pacnęłam go lekko w nos, żeby się uspokoił, a potem wprowadziłam drżącą Mary do naszego oświetlonego już domu.

Wydawał się teraz taki mały, po pokoju w hotelu Continental, niemal klaustrofobiczny, z ciężką wonią kurzu. Rządek karaluchów rozbiegł się półkolem po kątach. Ale był też zapach książek i znajomych rzeczy, i nasze cienie w świetle lampy, pies czekający, żeby go nakarmić, rozpakowywanie sprawunków. Mary zachowywała się biernie,

robiła dokładnie to, co jej polecono. Pamiętam, że ojciec przydzielił jej miejsce do spania obok mnie, na podłodze. Rozwinął płócienny tobołek, bez słowa zabrał lampę naftową i poszedł do sypialni. Odciał tym samym ciągnący się za nim krąg światła, który zmienił się w cienką jasną szczelinę pod drzwiami sypialni.

Mary położyła się w milczeniu. Nawet ja czułam, że coś jest nie tak. Na zewnątrz podniósł się wiatr, leniwy wyjący wiatr.

CZEŚĆ DRUGA

LEKARZ: Roi się wokół od pogłosek... Czyny
Sprzeczne z prawami natury miewają
Sprzeczne z naturą ludzką konsekwencje:
Złem зараżony umysł zwierza swoje
Sekrety głuchej poduszce pod głową.

W. Szekspir, *Makbet*
(Akt V Scena I, przeł. S. Barańczak)

6

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym druga strona kuli ziemskiej stała w ogniu. Hitlerowcy zaatakowali Holandię, Belgię i Luksemburg; *Blitzkrieg* zmusił Brytyjczyków do odwrotu pod Dunkierką; Luftwaffe i messerschmitty bombardowały z lotu nurkowego Anglię. Perdita dowiadywała się o tym wszystkim, w nowym militarnym języku, pełnym metalicznie brzmiących nazwisk i zagranicznych nazw, od swego coraz bardziej zamkniętego w sobie ojca. Choć Nicholas otrzymywał gazety z Perth z dwutygodniowym opóźnieniem, i to tylko wtedy, gdy pan Trevor jechał do miasta, śledził wydarzenia wojenne z niemal naukową uwagą. Manewry, taktyka, zwycięstwa, klęski podniecały go i frustrowały, miał wrażenie zarówno uczestnictwa w nich, jak i straszliwego wykluczenia.

Okazało się, że znowu śni mu się rok tysiąc dziewięćset osiemnasty. Tęsknił za dudnieniem czołgów i strachem, który sprawiał, że dorośli mężczyźni, tacy jak on, w krytycznym, pełnym podniecenia momencie robili w spodnie, wymiotowali i wzywali imię Boga lub swoich matek. W powracającym śnie Nicholas przeskakiwał okopy niczym skoczek w dal, pod sobą widząc leżące ciała i makabryczne umieranie. Trzymał wysoko karabin z bagnetem, poziomo, jak go nauczono, ale nigdy nie udawało mu się wylądować po drugiej stronie okopu. Tkwił tam, zaklinowany, jak trup w groteskowej pozycji. Zablokowany w rozbrzmiewającej hukiem krainie snu, zawieszony w eksplodującym powietrzu.

Perdita pamięta pewien lipcowy dzień, w którym ojciec ogłosił, że Niemcy miesiąc wcześniej weszli do Paryża. Oczy błyszczały mu maniakalnie; prawie się go bała. Jak ta odległa wojna aż tak mogła naruszać ich spokój? Nicholas poinformował córkę, że atak na Australię to wyłącznie kwestia czasu i że on zostanie wezwany na stanowisko przywódcze, by bronić nieszczęsnych Australijczyków przed złymi Niemcami i ich sojusznikami. Przyjdą niewyobrażalne cierpienia, ciągnął pogodnie, i będzie mnóstwo rannych. Czekają ich naloty i bombardowania. Całe niebo będzie w płomieniach. Gdy popijał herbatę, z wyraźną satysfakcją mizantropa, Perdita i Mary wymieniały przerażone spojrzenia. Był jak cień, który na nie padał. Zrobił się mroczny i bezduszny.

Czas, który Perdita spędzała z Mary, to było coś całkiem innego. Zadzierzgnęła się między nimi mocna, pewna więź. Mary raz zachowywała się jak dziewczynka, raz jak dorosła, ale opiekowała się Perditą, codziennie się nią zajmowała, była wspianą towarzyszką codzienności, dzieliła się z nią wiedzą i udzielała rozsądnych rad. Nauczyła ją gry w pokera (jak tasować karty, rozdawać, wreszcie oszukiwać), piosenek pustynnych (znała je od matki, od której ją zabrano) i żywotów świętych (dziwne historie, które czytała w sierocińcu). Uczyła Perditę, a również Billy'ego, jak znajdować *pitjuri*, tytoń z buszu, i żuć go aż do cierpięcia policzków i ślinienia się, tak żeby doświadczyć jego cierpkiego smaku i pobudzającego działania. Pokazywała im zygzakowate linie na piasku, będące dziełem jaszczurek, rozpoznawała gatunki i nauczyła ich, jak wytropić je ukradkiem w jamie lub wydrążonym pniu. Zmarszczki na piasku zostawione przez węże, zwoje, kopce i ścieżki tego, co stanowiło pożywienie Aborygenów - wszystko, co było wypisane przed nimi w ukrytym języku i niedostrzegalne, nagle stało się widoczne.

- Biali nic dookoła siebie nie widzą; wszyscy mają popieprzone w głowach - oświadczyła Mary, dotykając skroni. - Oprócz was dwojga, rzecz jasna - dodała z szerokim uśmiechem.

Pod jej inteligentnym przewodnictwem busz, który wcześniej wydawał się tak pusty, wypełnił się i ukonkretnił. Każdy ptak miał prawdziwą nazwę, każdy znak na zmarszczonym przez wiatr piasku był świadectwem żywotności i działania. Nawet czyste jak szklanka niebo stanowiło tkaninę pełną znaków. Zaczęli dostrzegać sezony, na które biali nigdy nie zwracali uwagi, wyznaczone niedostrzegalnymi rozkwitami, pęcznieniem i wędnięciem owoców. Mary знаła się także na inwentarzu - wiedziała, które z krów są cielne, które konie są leniwe lub złośliwe, na którym najlepiej byłoby się przejechać.

I Billy, i Perdita byli oczarowani Mary. Była mądrzejsza i bardziej zabawna niż wszystkie inne znane im osoby.

Wieszały razem pranie, skryte w cieniu drapiących słomianych kapeluszy, gdy Perdita poprosiła Mary, żeby jej opowiedziała o swoim życiu. Billy był nieopodal, leżał na ziemi z Horatiem. Lechtał psa po brzuchu, a ten rozstawiał na boki drżące lekko nogi. Mary pomagało chyba w opowiadaniu to, że Billy był głuchy, że gdy mówiła, uśmiechał się do niej, niewiele rozumiejąc z jej słów. Pochodziła z plemienia Walmajarri, z okolic Fitzroy Crossing. Jej krewni byli ludźmi pustyni. Matka miała na imię Dootharra, a ojciec był białym hodowcą bydła, *kartiya*, bez nazwiska, który ulotnił się dawno temu, nikt nie wie kiedy i dokąd. Gdy pewnego razu jej rodzina udała się do rządowego punktu po mąkę i tytoń, jakiś urzędnik, widząc jej jasną skórę, zabrał ją od matki i zawiózł do Balgo Mission. Wciąż płakała. Mówiła,

że wiatr przynosi jej słowa matki, która też płacze, jej smutny szept rozprzestrzenia się jak duch wiatru, szukając jej po całym kraju. Ale nic z tego, nigdy więcej się już nie zobaczyły. Mary miała sześć lat, gdy je rozdzielono. Ci ludzie z misji zobaczyli, że jest wyjątkowo bystra, więc dwa lata później posłano ją na południe, do sierocińca w mieście o nazwie Sister Clare's. Żeby się nauczyła żyć jak biali, wyjaśniła Mary.

- Tak, proszę siostry, dziękuję siostrze. Filiżanka herbaty, siostrzo. Proszę, siostrzo.

Mary umiała zręcznie przedrzeźniać i naśladować głosy, komicznie i z figlarną uciechą. Zmieniała akcent i styl; jej opowieści zawierały w sobie parodię i ironię. Perdita nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś mówił tak otwarcie, a już na pewno nie tyloma różnymi głosami. Gdy Mary ostatnio wróciła na północ, do klasztoru w Broome, dowiedziała się od przejezdnych czarnych, że jej matka zmarła. Dootharra wpadła pewnej nocy do ogniska i była zbyt zmęczona, a może zbyt smutna, żeby się z niego wydobyć. Skóra jej się spaliła, zginęła, już było po niej, stała się ciemnym, ciemnym cieniem. Mary znalazła jakiś kamień i uderzyła nim w swoją głowę aż do krwi, żeby pokazać na sposób Walmajarri swoją żalobę po matce, by odczuć cierpienie prawdziwie i boleśnie. Gdy zakonnice to zobaczyły, złajały ją. Powiedziały, że takie zachowanie jest niechrześcijańskie. Spojrzała w dół na krople krwi na ziemi i zapragnęła własnej śmierci.

- Chciałam - szepnęła Mary - posłać mój głos na wiatr, polecieć do niej, odejść, daleko, daleko.

Mary opadła bezwładnie, jakby przygnieciona, i zaczęła płakać. Padła na ziemię pod powiewającymi jak duchy łopoczącymi koszulami i sukienkami z cienkiej bawełny ogrzewanej i rozświetlonej cytrynowym słońcem, i szlochała. Billy'ego zaszokował ten nagły wybuch rozpacz, którego nie rozumiał. Zaczął machać rękami, bić powietrze, pojękiwać, a później w porywie solidarności także płakać. Horatio przewrócił się na grzbiet, z wyciągniętymi w górę łapami, i patrzył błagalnym i nieszczęśliwym wzrokiem, jak to czasem robią psy. A Perdita, choć była najmłodsza i najmniejsza, objęła ramionami Mary i Billy'ego i przygarnęła ich do siebie; ta mała grupka, jak alternatywna wersja rodziny, nachyliła się ku sobie z miłością i tuliła w krzepiącej bliskości rozgrzanych słońcem ciał w niezręcznym dziecięcym uścisku.

*

W nocy, gdy Nicholas zabrał już lampę naftową do sypialni, żeby w spokoju czytać, studiować przebieg działań wojennych lub pisać swoją monumentalną *Hipotezę Keene'a*, Mary i Perdita często leżały razem i gawędziły w ciemności. Mary intrygowało miasto

zbudowane ze stosów książek - które później zaczęła czytać sama - ale zauważyła, że w tej bibliotece brakuje Biblii oraz jej ulubionej, najbardziej przerażającej książki.

- To dobre historie. Prawdziwe - podkreśliła Mary.

Gdy przyjechała do miasta, dostała tobołek z rzeczami osobistymi: dwie bawełniane sukienki w kratkę, dwie pary majtek, jeden wełniany sweter i zielone skórzane sandały. W brązowej papierowej torbie była dodatkowo para okularów w drucianej oprawce, złoty krzyżyk na łańcuszku i gruba książka w niebieskiej okładce, *Żywoty świętych*. Na wewnętrznej stronie okładki widniało nazwisko „Annie McCaughie”. Siostra Benedykta wyjaśniła, że dziewczynka umarła na odrę, czy też dyfteryt; jest teraz u Naszego Pana, odpoczywa w pokoju, a rodzice wielkodusznie podarowali jej rzeczy sierocińcowi dla aborygeńskich dzieci.

Z książki Annie McCaughie Mary dowiedziała się o koszarnej profesji świętego. Święci byli oddani Bogu z wyjątkową pobożnością, ale z drugiej strony przeznaczeni (większość z nich) na śmierć w nonsensownych i przesadnych mękach. Zwłaszcza kobiety były do takiego losu predestynowane, wydawało się, że ich świętość determinuje miara ziemskich udręk. Mary streściła Perdicie niektóre opowieści. Świętą Agatę, która odrzuciła zaloty rzymskiego prefekta Sycylii, torturowano przez powieszenie za nogi, po czym obcięto jej piersi. Na obrazach trzyma je przed sobą, krwawe i ciężkie, na złotej tacy, jako dowód swej dziewiczej odwagi. Świętej Apolonii, diakonisie z Aleksandrii, która broniła swej wiary przed grasującymi poganami, wybito w brutalnym ataku wszystkie zęby. Przedstawia się ją z usuniętymi zębami leżącymi na jej kolanach. (Jest, dodała Mary, patronką dentystów i świętą, do której ludzie się modlą, gdy ich bolą zęby). Świętą Łucję, której wydłubano oczy, przedstawia się, jak trzyma je na talerzu, w torebce lub dyndające na łądyżce jak dwie dojrzałe czereśnie.

Perdita słuchała opowieści Mary z przerażeniem. Nigdy sobie nie wyobrażała - nawet częstowana w nadmiarze tragediami Szekspirowskimi, przesyconymi sensacją - że kobiety mogą być traktowane w taki sposób, rozrywane na strzępy i uczynione świętymi poprzez ogromną niesprawiedliwość i omyłkę.

- Znam jeszcze więcej świętych - szeptała Mary głosem niskim i ciepłym pod osłoną nocy, a Perdita z jednej strony była ciekawa, a z drugiej bała się dowiedzieć więcej o tym, co istoty ludzkie mogą robić sobie nawzajem. Książka Annie McCaughie, powiedziała Mary, była także jej: pierwszą stronę przesłaniała bibułka, pod którą umieszczono podobiznę świętego Szczepana, pierwszego męczennika, podczas kamienowania, a na okładce wytłoczony był wianuszek złotych gołąbków. Wewnątrz znajdowało się wiele kolorowych

ilustracji na lśniącym papierze, skrytych pod cienką warstewką bibułki, co sprawiało, że oglądanie za każdym razem było niezwykłym odkryciem. Być może Mary czuła jakąś pociechę na myśl, że cierpienie może mieć cel duchowy. A jednak nic nie mogło się równać z potwornym końcem nieznannej matki, która wpadła do ogniska, tak pogrążona w żalu, z tak nieodwracalnie złamanym sercem, że nie chciało jej się wydostać ze straszliwego ognia.

*

Pewnych rzeczy na temat przyrody i ciała, wniesionych w dorosłość, Perdita nauczyła się właśnie od swojej siostry Mary. Często po prostu spacerowały - Mary twierdziła, że zbyt długie siedzenie w domu jest jak sen - i włącząc się tak, czasem w towarzystwie wlokącego się za nimi Billy'ego Trevora, który, zagłębiany we własnym świecie ciszy, nucił coś pod nosem, czasem Horatia, biegnącego truchtem daleko z przodu z nosem przy ziemi, wymieniały się opowieściami i gromadziły sekrety. Mary interesowało niespokojne i osobliwe życie zwierząt. Zawsze była wyczulona na najmniejsze drgnięcie, poruszenie suchego źdźbła, szelest, ślady i znaki obecności żywych istot. Jej totemem była mrówka miodowa, wiedziała więc, gdzie są jej gniazda. Za pomocą kija wyciągała mrówki i pokazywała Billy'emu i Perdicie garście pełne rojących się czarno-bursztynowych stworzeń. Wrzucali je sobie do ust i wysysali słodkie odwłoki, a ona obserwowała ich z zadowoleniem. Sama Mary nigdy nie jadła mrówek miodowych; to były przecież symbole jej samej.

Mary opowiadała im, że na zachodzie na pustyni mieszkają wciąż tacy czarni, którzy nigdy jeszcze nie widzieli *kartiya*, jej plemię, ludzie mający na sobie tylko koraliki we włosach i pióra, stąpający lekko po ziemi. Dźwigali bukłaki z wodą ze skóry walabii czerwonej, włócznie i zastrzone kije. Według Mary wiedzieli wszystko o świecie, znali wszystkie ważne rzeczy i wszystkie mniej ważne.

Perdita sporo myślała o tych ludziach, ciekawa, co oni wiedzą. Pomyślała o odpowiedziach na te najważniejsze pytania. Te i n n e. Raz widziała w Broome człowieka pustyni. Siedział oparty o drzewo, wyglądał na zagubionego i samotnego. Na jego piersi widniały wypukłe linie blizn, a wokół szyi i nanizane na włosy miał dekoracje z macicy perłowej. Nicholas wskazał na niego i powiedział, że to ważny człowiek Prawa. Ma wiedzę o w i e l u r z e c z a c h , dodał ojciec, które opisuje i objaśnia.

Czasem Mary, Billy i Perdita siadywali w trójkącie, zwrócenii do siebie, wyłącznie po to, by poczuć wiatr na twarzach, i czekali, w całkowitym bezruchu, aż zawita do nich świat ptaków. Były tam jaskrawe papużki faliste i kakadu żółtolica; czasem leniwie krążący jastrzęb albo przemykająca chmura gołębi zmierzających w kierunku słońca. Perdita nauczyła się nie

zwracać uwagi na muchy, skupiające się w kącikach jej oczu, czy na brzydkich zdrapanych strupach na jej łokciach i kolanach. Nauczyła się od Mary, że polizany kamień świeci na kolorowo (agat, chryzopraz, różowy kwarc), że gdy się przyłoży ucho do ziemi, słyhać kroki o całe mile stąd, i życie ukryte pod ziemią, że na pustyni są *jila*, oazy, których *kartiya*, biali, nigdy nie znajdują. Odkrywała, że istnieje cały wszechświat rzeczy widzialnych i niewidzialnych, ukrytych i dostrzegalnych, jakiś fundamentalny zawias, na którym trzyma się cały ten miszmasz, całe to chaotyczne życie, cały ten przyprawiający o omdlenie zamęt. Mary kierowała się znakami, których Perdita nigdy wcześniej nie widziała; nawet najśłabsze dźwięki i przelotne obrazy mówiły jej wiele. Niezmierne, niezniszczalne życie widać było wszędzie: przyrost, ubytek, niezakłócony rozwój małych rzeczy. Gwiazdy są na niebie zawsze, tłumaczyła Mary, wyciągając przed siebie ramiona, tylko my ich nie widzimy przez cały czas. To wydawało się Perdicie zdumiewające. Myślała, że gwiazdy dopasowują co noc swoje świetlne układy, potem słabną, znikają, ukrywają się za dniem. Dlaczego wcześniej nie wiedziała takich rzeczy? Ciekawa była, czym jest Bóg, czy istnieje i czy jest potrzebny.

*

Pewnej nocy Perdita obudziła się z głębokiego snu i usłyszała dziwne odgłosy. Drzwi do pokoju ojca były uchylone, tak że w kierunku jej łóżka sączył się cienki trójkącik bladeżółtego światła. Perdita wstała i na pół śpiąca podeszła do drzwi. Nicholas robił coś złego Mary. Zobaczyła wygięty kształt pleców ojca, usłyszała jego stękanie i rytmiczne uderzenia, a z cienia pod jego ciałem dochodził cichy szloch Mary. Perdita nie była pewna, co zobaczyła, jaka to nocna wizja nawiedziła ją, w postaci kształtów i dźwięków, może jakiś sen, niepewny, krzywy, niezrozumiały. Wróciła do łóżka. Nie chciała wiedzieć. Odwróciła się do ściany i mocno zacisnęła powieki.

Jakie to było świadectwo, o którym Perdita nie mogła znieść myśli? Jakie kołatanie serca, jakie wrażenie panicznej duszności ścisnęła pod zamkniętymi oczami? Perdita była przerażona. Noc była ciemna. Gdy zamknęła oczy, następowała dodatkowa ciemność, w której mogła zatopić to, czego była świadkiem.

Perdita myślała często, że tak jak Stella nosiła w sobie huczącą stację kolejową, Nicholas nosił w sobie wojnę. Częściej mówił o niej po bitwie o Anglię, ale dopiero bombardowanie Londynu rozbudziło jego podniecenie. W ofensywie powietrznej piętnastego września zbombardowane zostały Southampton, Manchester, Bristol, Liverpool i Cardiff. Nicholas mówił o brytyjskich myśliwcach, o szperaczach chwytających niebo cienkimi palcami, ostrzale przeciwlotniczym, wypuszczającym iskry we wszystkich kierunkach, o eksplozjach, dymie, o cywilach palonych na popiół w ruinach domów. Klęska była wspaniała, tragedia atrakcyjna. Coś w niszczeniu materii pociągało go i inspirowało. Perdita wiedziała, że chciałby być w Londynie, żeby widzieć, jak wszystko dookoła się wali, węszyć za śmiercią i napawać się katastrofą. Na ścianach domu zaczął przypinać wycinki z „Western Mail”: ziarniste i niewyraźne widoki, budynki w ogniu w obłokach dymu, postacie ludzkie kulące się w schronach, nierzadko w maskach, w których przypominały owady, i jeden z najbardziej zapadających w pamięć obrazów - niemiecki samolot o kształcie krzyża, lecący w dół, prosto w ziemię.

W tej odległej części planety, która była światem Perdity, bez elektryczności, szkoły czy wygód współczesnego świata, wojna przybierała takie właśnie formy, gazetowe i poważne. Tu, w trójwymiarowej rzeczywistości nieodwołalnie konkretnych rzeczy, gdzie ciała pociły się i ulegały zadrapaniom i ubrudzeniu, gdzie żyły owady, w nocy palono ogniska, samotność przybierała banalne formy, dochodziły hałasy nie głośniejsze niż grzmot i bębnienie deszczu o blaszany dach, wycinki z gazet były niczym fotosy filmowe, o wyglądzie fałszywym i pretensjonalnym.

Pewnego dnia Billy zajrzał do nich przez drzwi i oczy zrobiły mu się jak spodki. Perdita natychmiast się zorientowała, jak niezwykle zrobiło się ich małe mieszkanko, masa książek, ściany obwieszane obrazami walki, brak matki, zamknięty w sobie ojciec.

Billy nie chciał wejść do środka, tylko stał i gapił się z miną całkiem zbitą z tropu, a jego wzrok przebiegał po fotografiach bombardowań drżących w słabym wietrzyku. Jego duże dłonie zaczęły z wolna uderzać powietrze. W oswojonej strukturze dzieciństwa, gdzie

niepokojące staje się normalnym, a osobliwość rodziców dopasowujemy do codzienności, Perdita miała niewiele okazji, żeby popatrzeć na własny dom z dystansu. Billy, który nie wypowiedział ani jednego słowa, tylko patrzył z wyjątkową powagą i wyrażał swoje reakcje przez kapryśne ruchy ciała, sprawił, że się zastanowiła. Chyba po raz pierwszy zrozumiała, że jej rodzice zamknięci są w swoich obsesyjnych dziwactwach, że w ostatecznym rozrachunku można polegać tylko na Mary, liczyć, że zauważy ją, jej małe życie, na tle własnego nieważnego, niedokończonego, ze wszystkimi jego ogromnymi bolesnymi pytaniami.

*

Choć Mary mówiła Nicholasowi, że prowadzi regularne lekcje, naprawdę tak nie było. Lekcje, jeśli w ogóle się odbywały, były przypadkowe i sporadyczne. Perdita wiedziała o wielu rzeczach, o których Mary nigdy nie słyszała, a Mary miała inne pomoce naukowe, których istnienia Nicholas nawet nie podejrzewał. Perdita lubiła opowiadać Mary historię swego imienia; w opowiadaniu brzmiała ona zdumiewająco. Szalony Sycylijczyk, skrzywdzona matka, zaklęta kobieta-posąg, w paranormalny - magiczny! - sposób przywrócona do życia; dziewczynka, jej imienniczka, porzucona na rojącym się od niedźwiedzi wybrzeżu morskim Czech.

- Antygonusa pożera niedźwiedź - mówiła Perdita - ale dziewczynka zostaje ocalona.

- Ocalona - powtarzała Mary.

- Tak, ocalona. Wraca do ojca. Przywraca matkę do życia.

Mary wyglądała na zainteresowaną.

- To czary - upierała się Perdita.

Opowiadając tę historię, Perdita uświadomiła sobie, że najbardziej lubiła w niej zakończenie; mimo wścieklej namiętności, rażącej niesprawiedliwości, śmierci dobrego człowieka za kulisami w paszczy dzikiego zwierza, była tam także odnowa, stabilizacja, ponowne zjednoczenie królewskiej rodziny.

Mary również podobała się ta historia, zwłaszcza fragment o tym, jak ożywa posąg. Powiedziała, że w kaplicy sierocińca w Perth była figura Madonny, która czasem drżała i płakała. Jedną z zakonnice była świadkiem. Madonna miała na sobie długą niebieską suknię pokrytą złotymi gwiazdkami, a jej gipsową głowę okalała eliptyczna aureola ze światełek, które włączano przy ważnych okazjach. Mary wpatrywała się w nią, wyczekiwała po skończeniu modlitw, w milczeniu i z szacunkiem, z głową skłonioną na znak skruchy, jak ją specjalnie pouczono, ale nigdy nie zobaczyła - ani trochę - drżenia ani płaczu.

Mary mówiła, że w opowieściach czarnych ludzi bez przerwy coś lub ktoś się

przemienia: drzewa w kobietę, kobiety w drzewo. Są skały, które były dziećmi, i gwiazdy, które mówią. Duchy są wszędzie, twierdziła, nie tylko w kościele.

Perdita, która czuła się nijaka, bardzo chciała w coś wierzyć. Podstawą jej wyobrażeń był śmiertelny mrok, wizja przestrzeni kosmicznej, w której nic nie ma. To „nic” przybierało postać mglistego, kłębiącego się dymu, uciekającego gdzieś w górę. Nicość jak bezgwiezdna noc. Nicość, w którą zabierają nas zamknięte oczy.

Później Perdita przekonała się z przykrością i irytacją, jak bezużyteczna jest jej wiedza. Historia i geografia w ujęciu matki to były nieuzasadnione domysły, polityka była ekscentryczna, na granicy poważnych błędów; nawet jej Szekspir był nonsensem, cząstkową ledwie wiedzą, chaotycznym zbiorem historyjek i cytatów, wymyślnym, acz żałośnie archaicznym słownictwem, oprawą niechcianej emigracji, neurozy, smutku wygnanki. Ta spuścizna po matce wydatnie przyczyniła się później do jej upokorzeń.

Ale łagodne nauki Mary - wszystko to, co usłyszała, gdy leżały blisko siebie w ciemności, wszystko, co było mówione podczas wędrówek do buszu w towarzystwie Billy'ego i Horatia, biegnących radośnie przodem, wszyscy nieszczęśni święci, cała wiedza o buszu i historii o matkach - te rzeczy pozostawały pewnie ulokowane i dobrze zabezpieczone.

Choćby takie przelotne wspomnienie: raz Mary usadziła Billy'ego i Perditę na schodkach przed domem, przy stosie zerwanych strąków z nasionami. Strąki były długie i wygięte, jak tureckie pantofle, i chrupiące jak pieczone ziemniaki. W każdym z nich znajdowały się rządki maleńkich czarnych i czerwonych nasionek, tak lśniących, jakby pomalowanych farbą akrylową. To były nasiona modligroszka. Razem nawlekali je na bawełnianą nitkę, robiąc naszyjniki. Podczas pracy Mary śpiewała piosenkę w swoim języku, z którego kilka słów - „wiatr”, „matka”, „ogień” - Perdita chwytiała, gdy przepływały obok niej, kruche i rozwiewające się jak popiół. To brzmiało jak skarga, coś przenikającego powietrze, coś zmiennego i nieprzewidywalnego. Gdy naszyjniki były gotowe, cała trójka nałożyła je na znak więzi, symbol ich własnego maleńkiego plemienia. Ta chwila wspólnej pracy pozostanie po tym, jak już wszystko inne przestanie istnieć. Ich palce, śpiewny głos, jedność trzech dusz.

*

Od czasu do czasu zaglądała do nich pani Trevor. Ponieważ jej synek Billy spędzał teraz mniej czasu w domu, zaciekawiło ją, co ta trójka tam razem wyprawia. Vera Trevor miała okrągłą twarz, piegowatą szyję i dobroduszne spojrzenie. Włosy nosiła w niesfornym tajemniczym stosie, kręcone, zebrane wysoko, drżące własnym nerwowym życiem nad jej

twarzą. Nigdy naprawdę nie udało jej się zaprzyjaźnić ze Stellą Keene - teraz czuła się trochę lepiej, wiedząc, że tamta była naprawdę chora, a nie że odrzucała przyjaźń z parobkami - jednak zawsze lubiła jej córkę, od chwili, gdy wyciągnęła ją, śliską i energiczną, z ciała matki. Vera Trevor marzyła skrycie, żeby mogła adoptować Perdite. Biedna mała, ojciec - zimna ryba, matka - w świecie fikcji, a ona tkwiła w tej strasznej budzie, nie mając nawet jednej lalki. Gdy pani Trevor, szukając Billy'ego, pchnęła drzwi z siatką przeciw owadom, Mary i Perdita podniosły głowy i napotkały jej zaszokowaną minę. Nie odwiedzała ich od co najmniej dwóch lat, a teraz zastała dom zapchany książkami i udekorowany zdjęciami z wojny. Biedna mała, pomyślała znowu. Dwoje pomyleńców.

- Gdzie Billy? - zapytała, żeby coś powiedzieć, a obie dziewczynki odwróciły się jednocześnie i wskazały ruchem brody (w stylu Aborygenów), że pod oknem, na lewo. *Biedna mała. Już całkiem jak czarna.*

Tym, którzy nie czytają, dla których czytanie nie jest sposobem na zdobywanie wiedzy, wspaniałą perypetią, luksusową przygodą z własnym wnętrzem, porywającą ekstrapolacją od czarnych literek do alternatywnej rzeczywistości; tym, którzy nie pojmują, co to znaczy przyczyniać się do tworzenia jakiegoś świata, budowania myśli, czy żmudnie walczyć, linijka po linijce, by ocalić coś dawno minionego; tym wreszcie osamotnionym, tęskniącym, więzniom monotonii i nudy, będzie zawsze wydawało się dziwne, że dwie dziewczynki, które nie mają wiele do roboty, spędzają kilka godzin dziennie zagłębione w krainę książek. Zastępcze życie, nowe wyobrażenia, cenna wiedza.

Gdy pani Trevor pojawiła się w drzwiach, Perdita i Mary czytały. Obie bujały w obłokach i były w całkiem innym świecie. Widok pani Trevor je przestraszył, a i ona była zaskoczona. Zauważyły, że jakoś się wzdrygnęła, potrząsając swoją wysoką fryzurą. Perdita była na mniej więcej setnej stronie *David Copperfielda*; Mary czytała książkę o życiu kapitana Cooka. Rozsiadły się wygodnie, były szczęśliwe.

Gdy już ich wiek dziewczęcy przeminął na zawsze, a mowa Perdity zmieniła się w wymuszone kleiste dukanie, obie wspominały to hipnotyczne odprężenie, gdy razem, a jednak osobno, tonęły w bezpiecznych, spokojnych kartach. W ziarnistym świetle chałupki, do której przenikały prędzej cienie niż światło, siedziały razem w milczeniu, czytając, z głowami otwartymi jak parasole i pochylonymi ku sobie w swobodnym siostrzanym geście.

Pani Trevor przyniosła im ciasto. Był to placek czekoladowy z gęstą brązową polewą. Perdita podbiegła do pani Trevor, złapała ją za szyję i ucałowała głośno, kryjąc twarz w jej lokach, a Vera poczuła, że zaraz się rozplacze, tu i teraz, w tej nędznej chatce z jej szalonymi dekoracjami. Przemknęła jej przez głowę myśl, że zawsze chciała mieć córkę, że tyle razy

próbowała, aż pojawił się Billy, który w sposób rozstrzygający położył kres tym staraniom. Dziś wieczór powie mężowi, że należałoby gdzieś zgłosić, że taka mała dziewczynka tkwi tu, gdzie diabeł mówi dobranoc, bez matczynej opieki: to powinno być zabronione. Ona potrzebuje solidnej opieki. Matki. Prawdziwej matki.

Przywołały Billy'ego, po czym usiedli razem i podzielili się ciastem. Pani Trevor kroila obfite porcje, zadowolona, że widzi trzy twarze tak wdzięczne i usta tak spragnione tego, co upiekła i z życzliwością przyniosła. Patrzyła, jak jedzą. Billy, jej ukochany synek, mimo swego niedorozwoju, jadł z pewną staranną dbałością, zażawiony wzrok miał wbity nieruchomo w podłogę. Vera wiedziała, że boi się wiszących na ścianie zdjęć, ponieważ ilekroć je widział, zaczynał machać ze wzburzeniem dłońmi. Pani Trevor zauważyła, że Mary je jak tubylcy, opychając się, jakby w obawie, że ciasto zniknie, zanim po nie sięgnie, żadnych manier, naprawdę, nawet po pobycie w klasztorze; a Perdita, cóż, Perdita jest po prostu normalna, myślała Vera, zwykła mała dziewczynka, uczuciowa, słodka, ładna na swój własny piegowaty sposób, i tkwiąca w cholernym niewłaściwym miejscu z cholernymi niewłaściwymi rodzicami.

Gdy wszyscy się najedli, Vera Trevor wyszła, zabierając Billy'ego. W tej chałupce było coś, co napawało ją lękiem i niepokojem, coś mrocznego, nienaturalnego, strefa jakiejś a b n o r m a l n o ś c i. Powiedziała Perdicie, żeby przychodziła do nich, kiedy tylko ma ochotę, ale zostawiając ją tam, czuła się niezręcznie i trochę jak tchórz. Gdy się odwróciła, Mary i Perdita weszły już z powrotem do domu, nie czekając nawet, by pomachać na pożegnanie.

*

Tego samego dnia, gdy pani Trevor odwiedziła Perditę z czekoladowym ciastem, Mary miała wizytę starej Mandjabari z obozu. Perdita zauważyła z pewną zazdrością, jak bardzo obie się lubią. Widziała już wcześniej, jak Mary przyłączała się do niej czasem w korycie potoku, widziała ich przyciszone rozmowy w pstrokatym cieniu akacji i ich nieśmiałe, pełne troski gesty. Mandjabari stała przed drzwiami z siatką, nie dotykając ich nawet, ale wyglądając jak postać za welonem, ledwo zarysowana i mglista. Jej obecność była w jakiś sposób oficjalna, ale nienarzucająca się, słaba. Kiwała się nieco na piętach, tak że zarys jej sylwetki się poruszał. Mary szepnęła coś w Języku, potem zwróciła się do Perdity:

- Wychodzimy.

Perdita złapała kapelusz, wiszący na zagiętym gwoździu przy drzwiach, i podążyła za nią bez pytania. Najpierw udały się do wyschniętego koryta potoku na herbatę. Nie było

mężczyzn, ani starego Dauwarrngu, ani innych, więc wokół ogniska siedziały tylko kobiety i dzieci. Herbata, czarna, słodka, smakowała żwirem i dymem, więc Perdita, przywykła do herbaty ze skondensowanym mlekiem z puszki, uznała ją za nienadającą się do picia. Mary powiedziała coś do pozostałych w Języku. Jakaś stara kobieta uniosła zwiędłą pierś i wycelowała sutek w Perditę, w kpiącym, choć dobrotliwym geście, i wszyscy się roześmiali. Perdita spojrzała na Mary i zobaczyła, że ta się do niej uśmiecha. Na połowę jej twarzy padało światło, tak że uśmiech wydawał się promienieć. Chciała wypić tę paskudną herbatę ze względu na Mary. Chciała pokazać, że jest częścią grupy. Nie być poza nawiasem, jak to się działo w obecności jej rodziców. Pociągnęła łyk tej niedobrej herbaty i poczuła się z siebie dumna.

Było popołudnie, pora ukośnie padających cieni i gorącego parnego bezruchu. Perdita, trzymana za rękę przez Mary, podążyła za grupką kobiet, kierujących się z wolna w stronę buszu. Każda z nich po kolei niosła około trzyletnią rozczochraną chudą dziewczynkę. Perdicie wydawało się, zwłaszcza gdy nadeszła jej kolej niesienia małej, że idą już wiele mil, wciąż w tym samym kierunku. Słońce miały za plecami, więc przed nimi kroczyła osobna, ciemna grupa chwiejących się i łączących ze sobą długich cieni.

Po dotarciu do skarpy, tuż przed równiną, kobiety zamilkły i zaczęły się rozchodzić w poszukiwaniu jedzenia. Był to nierówny skalisty teren, po którym ciężko się szło. Perdita nic nie znalazła. Widziała dookoła postacie, zarysy na błękitnym niebie, przykucnięte, pochylone lub przemieszczające się powoli, i czuła się małeńka, nieważna i niezdolna sprostać temu miejscu. Raz zobaczyła w oddali agamę kołnierzystą i szybko skoczyła w jej kierunku, ale jaszczurka uciekła, z błoniastym kołnierzem rozpostartym wokół szyi, jak pozaziemski kwiat.

Popołudnie się wlokło. Perdita dała sobie spokój z polowaniem i obserwowała mrówki kłębiące się u jej stóp. Pogrzebała w mrowisku kamieniem, ciesząc się, że się ukruszyło. W końcu to Mary okazała się bohaterką wyprawy. Złapała i zabiła czarnego węża czerwono-brzuchego, waląc nim o skałę, najpierw łamiąc mu kręgosłup, a potem roztrzaskując głowę kijem.

- Ech! - wykrzyknęła, machając.

Dopiero wtedy Perdita zdała sobie sprawę, że Mary jest znana ze swej biegłości w polowaniu, że w wieku szesnastu lat miała już wprawę i była podziwiana. Mary pozwoliła Perdicie trzymać ogon węża. Wracały z bezwładnym stworzeniem kołyszącym się łukiem między nimi. Wyglądało to, pomyślała Perdita, jakby upolowały go razem, jak gdyby Mary ogłaszała dumę ze wspólnego sukcesu. Gdy o zachodzie słońca wróciły do obozowiska, zastały tam mężczyzn, którzy pochwalili je obie. Dziewczynki podniosły węża wysoko, nie

jak trofeum, ale ofiarę, i nie tylko pożywienie, ale symbol ich wyjątkowej więzi.

8

Jako dorosła osoba nie pamięta już, czym to mogło być wywołane, ale podczas jednej z rzadkich rozmów Nicholas zaznajomił Perdite z ideą pokrewieństwa. Dla Aborygenów, mówił, pokrewieństwo to organizacja, struktura zasad, zobowiązań, system, kodeks. Narysował koło i zaczął dzielić je na szprychy, tak że przypominało pokrojony tort. W każdym z ośmiu kawałków tortu zapisał nazwy grup „skóry”, różne rodzaje powiązań rodzinnych, potem wyjaśnił Perdicie, że przeciwstawne segmenty oraz bliskie położenie określają związki rodzinne.

Kiwała głową w zamyśleniu, prawie nic nie rozumiejąc. Zdrapała strup z kolana i upuściła go na podłogę. Nicholas dodał, że gdyby Aborygeni mieli wejść do nowoczesnego świata, organizacja rodzinna musiałaby ulec zniszczeniu. System sprawia, że dzielą się wszystkim, wyjaśniał, dlatego nigdy nie potrafili zgromadzić majątku i zawsze są biedni. System powoduje, że myślą w kategoriach wspólnotowych, nie indywidualnych, tak że zawsze są związani z przeszłością, z plemiennym prymitywizmem, nie dążą do nowej tożsamości, dzięki której mogliby sobie poradzić z Australią dwudziestego wieku. To było jedno z założeń jego „hipotezy” naukowej.

Perdita znów skinęła głową, bardzo chcąc, żeby ojciec wierzył, że ona uważa jego idee za ważne.

- Mmm - odezwała się z powagą, wyrażając niesprecyzowaną aprobatę. Widziała dłoni ojca, lekko drżącą, zawieszoną nad rysunkiem. Był ciemny duszny dzień, w powietrzu wisiała burza z piorunami, a Perdita spotkała się wzrokiem z ojcem przez jego zamglone okulary. W tej chwili wydawał się bardzo ludzki i niemal słaby; prosił swoją małą córkę, żeby potwierdziła jego idee. Twarz błyszczała mu od potu, włosy jeżyły się lekko na głowie od atmosferycznych energii i prądów. Miał taką czerwoną twarz, twarz Anglika nękanego przez pogodę, usiłującego wyjaśnić systemy i rozszyfrować schematy. Nagłe uderzenie pioruna spowodowało, że oboje podskoczyli. Słyszeli, jak świat na zewnątrz wypełnia się krzykiem energii, werwą ciśnienia, rozdymania, poruszających się mas powietrza. Słyszeli wiatr z zachodu, wypełniony po brzegi fizyczną groźbą i pędzący po niebie ciężkie zbiorniki z wodą.

Nicholas zdjął okulary i wytarł oba szkła metodycznie, z namaszczeniem, potem tą samą chusteczką otarł błyszczące czoło, i się odwrócił. Gekony na suficie trzaskały jak szalone, pobudzone wibrującymi w powietrzu ładunkami elektrycznymi.

Perdita nie wiedziała, czy ojciec ma rację, ale rozumiała tyle: że w kulturze ludzi, których znała, są liczni wujkowie i ciotki, liczni bracia i siostry, i że kształt tortu pomaga im wszystkim wiedzieć, jak się zachowywać i kogo mogą poślubić. Gdy zapytała o to Mary, dowiedziała się, że ona, Perdita, została częścią wspólnoty; ponieważ Mary miała wyznaczoną rolę córki w relacji z Mandjabari, Perdite przyjęto jako siostrę. Mary rzuciła tę informację dość obojętnie, ale Perdita była zaskoczona i zachwycona. Dowiedziała się nagle, że została ujęta w szerszym schemacie, gdzie zawsze ktoś będzie o niej wiedział i się o nią troszczył; ucieszyła się też z formalnego uznania swojej miłości do Mary, swojej siostry. Trevorowie, jak się dowiedziała, nie należeli do żadnej wspólnoty, ale to wtedy Perdita uznała raz na zawsze, że Billy jest jej bratem, dokładnie tak jak oświadczyła tamtego dnia kucharce w hotelu Continental.

Perdita przyjrzała się swojej skórze. Była blada i piegowata, co wskazywało na jej obcość w tym miejscu, jej ukrytą ułomność. Tak bardzo chciała mieć ciemną skórę. Gdy przyłożyła swoją rękę do ręki Mary, ujrzała siebie jako jasny negatyw silniejszej osobowości. Mary droczyła się z nią i pocieszała.

- Nie przejmuj się - powiedziała. - Gdy zostaniesz tu dość długo, może zamienisz się w czarną. Możesz też wyjść za czarnego i mieć czarne dzieci.

Pochyliła się do przodu i pocałowała Perdite w policzek.

- Nie przejmuj się - powtórzyła.

Pewnej nocy Mary oświadczyła, że czasem myśli o Annie McCaughie jak o drugiej siostrze; o Annie, która zmarła na odrę czy dyfteryt. Annie, na zawsze mała dziewczynka, U Naszego Dobrego Pana, Spoczywająca W Pokoju. Nosila ubrania Annie, odziedziczyła jej książkę, nosila na łańcuszku na szyi krzyżyk zmarłej - to znaczy, dopóki jej go ktoś nie ukradł w sierocińcu - i c z y t a ł a t e s a m e s ł o w a. Mary miała taką teorię, że ludzie, którzy czytają te same słowa, zostają niedostrzegalnie złączeni; że istnieje łączność niematerialna oraz spotkania duchowe. W słowach, w które człowiek się zagłębia, tkwi jakiś duch; rozum i uczucia się stykają, wymieniają, mieszają. Wersja Mary była, rzecz jasna, mniej skomplikowana, ale jeszcze wiele lat później Perdita rozważała pochodzenie tej teorii; doszła do wniosku, że Mary rozciągnęła na słowo pisane ducha wspólnoty, którego pragnęła w ten sposób wyrazić, podobnie jak ludzie znad strumienia wspaniałomyślnie obdarowali członkostwem w swojej grupie Perdite. Idąc też tokiem tego rozumowania, David Copperfield

był jej częścią, a kapitan Cook był częścią Mary; i nawet w znużeniu życiem, które czasem wywołuje lektura, one wchłaniały nieodparcie, naiwnie, elementy wyobrażonych żywotów. Rodzina bez granic. Magiczne relacje.

*

Miesiąc przed Bożym Narodzeniem Nicholas przywiózł Stellę ze szpitala. Nie było jej sześć miesięcy, z których pewien czas spędziła w klasztorze. Nicholas przywiózł też stos gazet (niektóre sprzed wielu tygodni) i paczki z książkami. Wśród innych zdjęć na ścianie pojawiła się fotografia Winstona Churchilla, więc powrót Stelli został zaznaczony ikonograficznie wprowadzeniem do domu tego człowieka - jego kwadratowej twarzy dziecka, jego upartego spojrzenia, jego prymitywnej zadziorności. Stella rozglądała się potulnie dookoła, jak gdyby zapodziała coś ważnego. Mówiła cichszym głosem, a jej skóra przypominała porowatą skamielinę, była ziemista, kredowa, bardziej obciągała kości, jak u staruszki, którą się przedwcześnie stała. Włosy jej posiwiały. Miała czterdzieści osiem lat. Perdite przepelniła tklivość na widok matki, zmizerniałej i tak mało znanej. W relacjach wszystkich matek i córek zdarzają się niewątpliwie te nagłe momenty uczucia, przyplływające po okresie separacji. Perdita rzuciła się naprzód i objęła ją w pasie, wciskając buzię w kościstą klatkę piersiową matki, ale miała świadomość braku reakcji; Stella stała jak posąg, z ramionami opuszczonymi po bokach. Mary wystąpiła do przodu i zwyczajnie wzięła Stellę za rękę.

- Chodź - powiedziała. Zaprowadziła Stellę do stołu, posadziła ją i dała jej filiżankę herbaty. - Pij - nakazała. - Uważaj. Gorąca.

Rano Perdita zobaczyła, że stopy Stelli wyglądają na maleńkie, dziecięce, pod koronkowym białym rąbkiem jej wytartej koszuli nocnej.

*

Nigdy się nie dowiedziałam, jaką terapię zastosowano w przypadku mojej matki, ani dlaczego za każdym razem jej nieobecność tak się przedłużała. Bez względu na to, jakie to elektrochemiczne zaburzenia ją atakowały, jakie poplątane synapsy czy deficyt serotoniny, nigdy ze mną nie rozmawiała o swojej chorobie, o okresach, w których jej po prostu nie było. Gdy dorosłam na tyle, by ją zapytać, ona nie była zainteresowana odpowiedzią, a poza tym zaczęła już pograżać się w labiryncie demencji, wchodzić w zapętlone kraterzy czegoś, co mogło być pamięcią, brązowawe korytarze donikąd, kruche rozpory między niegdyś potężnymi filarami tożsamości.

Pamiętam, że patrzyłam, jak ujmuję, kciukiem i palcem wskazującym, rożek starej

gazety, podnosi wzrok z roztargnieniem i mówi: - Ciągłe wojna. - Nicholas obiecał jej, że gdy wojna się skończy, wrócimy do Anglii, więc być może teraz zaczęło się po prostu kolejne senne czekanie, kolejne nierealne zawieszenie, rozciągnięte przez taki czas, którego nie dałby rady pokazać żaden zegar, a nie dość przekonujące, by sprawić, żeby się martwiła o rodzinę w ojczyźnie. Trzymała ten róg gazety strasznie długo, znieruchomiła z powodu jakiejś historii lub niezrozumiałego zagranicznego szczegółu, który podsumowywał to czy tamto zwycięstwo czy klęskę, lub czegoś, co przypomniało jej wakacje, na które pojechała raz z panią Whitcombe, wciąż jeszcze dość młoda, gdy płynęły promem przez kanał La Manche, i zobaczyły na własne oczy krzepiącą egzotykę Belgii i Francji.

Stella początkowo wydawała się nieświadoma, że tak długo nie było jej w domu. Nie interesowała jej ja ani Mary, nie śledziła wieści o wojnie, nie przeczytała listów od siostry. Dopiero gdy któregoś ranka zauważyła, że mam na sobie sukienkę obcisłą na piersiach i za ciasną pod pachami, przyjęła do wiadomości, że urosłam, że moje ciało się zmienia, i że, niezauważalnie, minęło trochę czasu. Dzięki temu Stella wróciła do szycia, co jak teraz uważam, miało na nią wpływ terapeutyczny. Uszyła nowe ubrania dla nas wszystkich, schludne i praktyczne.

Raz, gdy się pomyliła w obliczeniach i zamówiła za dużo materiału, ona, Mary i ja dostałyśmy w rezultacie sukienki w identyczny wzór w róże. Gdy wszystkie włożyłyśmy proste, luźne sukienki podobne do namiotów, wyglądałyśmy jak wesole różowe członkinie grupy wokalne lub angielskie ogrodniczki, odziane identycznie dla kaprysu. Stella stwierdziła, że to jej przypomina Marthę, Sal i Daff sprzed wielu lat, bo one wszystkie nosiły takie same ubrania, i wyglądały komicznie podobnie. Gdy to powiedziała, zobaczyłam we wspomnieniu Sal i Daff w identycznym odcieniu błękitu, przypominałam sobie, jak jedna z nich mnie trzymała, a druga coś do mnie szeptała, i ogarnął mnie smutek tak głęboki, że po raz pierwszy zaczęłam się zastanawiać, czy stanę się kiedyś moją matką, czy będę taką nieszczęśliwą kobietą, owiniętą wokół pustki, popadającą w beznadziejne milczenie, jak muszla z perłą na dnie oceanu. Tłum drepczący przez stację St Pancras, kłębiący się z walizkami, paczkami, tobołkami, wołający, kłócący się, unoszący ramiona, żeby zwrócić czyjąś uwagę, anonimowy tłum, niosący udrekę różnego rodzaju, gdzie każdy obciążony jest na stałe samym faktem życia, ten tłum zamieszkujący głowę przerażał mnie i ostrzegał, ten tłum był jak groźba, jak spuścizna zła, które mogą pewnego dnia odkryć.

Sal i Daff wciąż nie odchodzą, sugerując coś niewysłowionego. Gdy Stella wspomniała ich imiona, tej samej nocy śniły mi się jako podwójna kobieta, jak na seansie spirytystycznym tchnęłam w nie z powrotem życie, tak żebyśmy mogła je odzyskać, choćby

przelotnie, jako połączone wytwory wyobraźni, jako odległe obiekty miłości, jako alternatywne matki.

*

Tego roku Perdita i jej rodzice świętowali Boże Narodzenie z Mary, która wciąż z nimi mieszkała. Choć jej rola była niesprecyzowana, nikt nie uważał, że powinna odejść. Częściej gotowała, i dotrzymywała towarzystwa Stelli, czytając jej, gdy ta szyła, tak jak Stella niegdyś czytywała pani Whitcombe, obserwując jej dłonie, z palcami długimi i rozstawionymi szeroko jak u pianistki, spoczywającymi swobodnie na brzegu lawendowej kapy. Być może to poczucie, że ma służącą, uspokoiło Stellę - która zawsze uważała, że przynależy do klasy wyższej niż własna - a Perdita, z pewnym egoizmem, upajała się tym krótkim okresem odprężenia, kojarzącym się jej z głosem Mary i pewnym rozluźnieniem matki.

Jednak w Boże Narodzenie wybuchła awantura. Początkowo Stella wydawała się rozmowna i zadowolona. Mary, Stella i Perdita miały na sobie swoje sukienki w róże (Stella narzuciła na swoją, choć było za ciepło, czarną hiszpańską chustę), a nastrój świąteczny Stelli był ekspresyjny i zaraźliwy. Rankiem Nicholas samotnie palił na zewnątrz; Perdita widziała przez okno, jak bawi się nitkami tytoniu, napełnia fajkę za pomocą kciuka i wpatruje się tępo, choć intensywnie, w dal; potem czuła gorzkawy zapach dymu, wędrujący cienką smuzką. Wewnątrz Stella kręciła się niespokojnie po pokoju, umieszczając tu i ówdzie na stosach książek polne kwiatki, kontrolując wielkiego kurczaka, piekącego się powoli w piekarniku. Nie przewidziano prezentów, ale przy obiedzie było sympatycznie - Nicholas i Stella zachowywali się wobec siebie uprzejmie, Perdita i Mary wymieniały nieśmiałe uśmiechy, wszystkim smakowała ucztą z pieczonego kurczaka i ziemniaków z solą, lśniących przed nimi w złocistej tłustej piramidzie. Można by pomyśleć, że przy stole siedzi szczęśliwa rodzina, syta i zadowolona.

Po kolacji Stella zaczęła dolewać sobie coraz więcej i więcej słodkiego sherry. Dłoń zaczęła jej drżeć, a mowa stała się bełkotliwa. Postanowiła, że odegra, w ramach gwiazdkowego prezentu, Akt V z *Otella*. Nicholas wzniosł oczy do sufitu, wyrażając pogardę dla tego wystąpienia, jeszcze zanim się zaczęło. Odchylił się na oparcie krzesła ze swoją szklaneczką, zdystansowany do pomysłu.

Stella zaczęła od tego momentu w dramacie, gdy Otello wchodzi do sypialni Desdemony. Już dawno opowiadała Perdicie szczegóły intrygi: czarny Maur wenecki szaleje z zazdrości, podjudzany przez złego Jagona do podejrzewania żony o niewierność. Dusi ją

(*Giń, podła dziwko*^{*}), odkrywa swój błąd, potem dramatycznie przebija się sztyletem. Perdicie zawsze wydawało się to bardziej brutalną wersją *Zimowej opowieści*, nic tylko spustoszenie i furia, sam chaos i mordercze szaleństwo, znikąd ratunku. Wciąż siedzieli przy stole, na którym piętrzyły się resztki niesprząniętej kolacji. Stella stanęła kilka stóp dalej, odgrywając scenę w sypialni, zmieniając głos przy Desdemonie i Otellu (udusił żonę, zanim zdążyła się pomodlić!). Gdy była Otellem, zawijała wokół głowy chustę, jak turban, aby zakryć twarz i wydawać się czarną, i mówiła szorstkim, tubalnym głosem.

Mimo czasu spędzonego w szpitalu Stella nie zapomniała Szekspira. Z zaskakującą swobodą odegrała rozmowę między pocziwą Emilią, przyjaciółką Desdemony, a Otellem, zaraz po śmierci żony. Wyrecytowała, słowo w słowo, długie usprawiedliwienia Otella, długie dochodzenie do prawdy, długie samooskarżenie. Pamiętała scenę, w której Jagon dźga nożem Emilię (swoją żonę), chcąc ją uciszyć. Emilia protestuje:

*Nie mogę milczeć, to musi wyjść na jaw;
Słowa popłyną ze mnie niewstrzymane
Jak wiatr; niech niebo, ludzie i demony
Próbują mnie zakrzyczeć - będę mówić*^{*}.

Głos Stelli stawał się coraz wyższy, przesadny i histeryczny. Gdy doszła do końcowego monologu Otella, była cała zdenerwowana, wyczerpana, pełna gwałtowności. Owinięta hiszpańską chustą, uwikłana w trudne emocje, wplątana w nieszczęsną intrygę, odegrała własne pchnięcie się sztyletem i upadła na podłogę:

*Proszę was o jedno:
Kiedy będziecie w listach zdawać sprawę
Z tych nieszczęść, mówcie o nich zgodnie z prawdą,
Ani relacji nie łagodząc, ani
Się rozjątrzając złością*^{*}.

Nicholas także za dużo wypił. Sherry ozdabiało gors jego białej koszuli kolorową plamą, różowym szlaczkiem, wcale podobnym do wzoru na ich sukienkach. W chwili gdy Stella zgięła się wpool jako wielki tragiczny Maur, który *kochał nie nazbyt mądrze, lecz nazbyt*

^{*} W. Szekspir, *Otello*, Akt V Scena II, przeł. S. Barańczak.

^{*} *Ibidem*.

^{**} *Ibidem*.

*gorąco**, wybuchnął głębokim, szyderczym śmiechem. Stella podniosła się z podłogi bez słów, nie kończąc monologu. Miała łzy w oczach i wciąż przeżywała powolne umieranie Otella.

Raptem rzuciła się w kierunku ścian i w delirycznym ferworze zaczęła zdzierać gazetowe wycinki. Zrywała jeden po drugim, z furią rozdzierając papier, zarzucając pokój czarno-białym gazetowym confetti. Gdy doszła do Winstona Churchilla, jednym ruchem zgmiotła mu twarz i cisnęła nim w Nicholasa.

Perdita i Mary były sztywne ze strachu. Nawet nie zauważyły, kiedy Nicholas wstał. Zanim się zorientowały, uderzył Stellę, aż poleciała do tyłu i przewróciła stertę książek. Gdy Mary wstała, żeby zaprotestować, ją też uderzył, ale choć ją skaleczył i choć się zachwiała, nie upadła. Stała przed nim z piekącą twarzą, w zagorzałym oskarżeniu, tak że się opamiętał, a może nawet zawstydził.

Ale nie padły żadne przeprosiny. W ogóle żadne słowa.

Nicholas odwrócił się i energicznym krokiem opuścił pokój, trzaskając za sobą drzwiami.

Perdita znowu poczuła ukłucie tchórzostwa, znów stała się niemym świadkiem, dzieckiem o przypisanych swemu wiekowi ograniczeniach. Na podłodze przed nią wciąż leżała Stella, skulona, z zakrwawionym nosem. Hiszpańska chusta - jej hiszpańska chusta, tylko na odświętne okazje, tylko na rzadkie chwile szekspirowskiej świetności - leżała odrzucona, ciśnięta niedbale, jak czarne zwłoki. Słysząc było ciężki oddech i cichy płacz, powolne uspokajanie się po burzliwym incydencie. Nie było przeszłości ani przyszłości, tylko ten bolesny marazm, w którym uciszyły się impulsy, a nabierały stopniowo znaczenia uczucia. Następował odpływ, rozluźnienie. To Perdita zaczęła cicho płakać. To jej przypadła rola zakończyć *Otella*, lamentować nad porywczymi, podatnymi na złe wpływy mężczyznami, ubolewać nad nikczemnymi porywami, które mogą dotknąć i zniszczyć rodzinę.

Na zewnątrz chrapliwie darły się wniebogłosy wrony. Wciąż było Boże Narodzenie. Dwudziestego dziewiątego i trzydziestego grudnia tegoż roku - roku wojny tysiąc dziewięćset czterdziestego - potężny nalot niemiecki zbombardował Londyn, zabijając między innymi oboje rodziców Stelli i jej młodszą siostrę Iris, starą pannę, która wciąż z nimi mieszkała. Stella dowiedziała się o ich śmierci dopiero ponad rok później. Tyle krzywd na świecie, tyle przemocy.

· Ibidem.

9

Był gorący dzień, powietrze wzburzone i rozkołysane, lekki wiatr od wschodu. Nicholas już od niemal czterech dni przebywał w buszu z panem Trevorem, więc w domu zapanowała atmosfera odprężenia i swobody. W pokoju frontowym, za parawanem z książek Mary uwalniała Stellę od nudy, ucząc ją zasad pokera. Kolory, punktacja, kalkulowana wartość rozdania. Rozłożyła karty kolorami na stole kuchennym, w jednym rzędzie same czarne, w drugim czerwone, według hierarchii królewskich sobowtórów. Stella natychmiast się wciągnęła. W kartach był pewien porządek oraz ostra rywalizacja. Od razu pokochała kolejne czynności tasowania i zręcznego rozdawania śliskich kart, rzuconych jak latające talerze jednym ruchem przegubu. Bardzo jej się podobał kształt wachlarza podczas trzymania kart, decydowanie, którą zatrzymać, a której się pozbyć, ciskanie kartą o stół i branie innej na wymianę. Perdita zauważyła, że Mary nie nauczyła Stelli, jak się oszukuje, więc co jakiś czas widziała matkę przegraną, pochyloną do przodu w swoim fotelu, z ogłupiałą i ponurą miną, natomiast Mary, z twarzą pokerzysty, nie ujawniała niczego. Staraly się nie patrzeć jedna na drugą; było to ich kolejne porozumienie, o którym rozmawiały w ciemności.

Najzdolniejszym graczem w ich grupie był Billy. Przy każdej grze pochylał się nad swoimi kartami ze skupioną uwagą; nie znosił, gdy go ktoś dotykał lub rozpraszał, i koncentrował się wyłącznie na lśniących kartonikach przed sobą, na wymianie, wartościach, możliwych układach. Rudą głowę zwieszał w skupieniu; kładąc i dobierając kartę, wyrzucał gwałtownie w przód piegowate ręce. Gdy się uśmiechał, to było piękne. Jego krzywe zęby były ujmujące. Nawet Stella była oczarowana.

Spędzali we czwórkę nad kartami wiele godzin, a przez krótki czas na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku było to jedyne stałe i racjonalne zajęcie w ich życiu, błaha rutyna, banalna i krzepiąca. Na ścianach znów zaczęły się pojawiać wycinki z gazet. Raz Perdita podczas gry zerknęła w bok i zaczęła czytać tekst, który miała przed oczami. Niemcy i Włosi zaatakowali Grecję, a wojska brytyjskie, australijskie i nowozelandzkie poniosły klęskę w Egipcie. Perdita wyobraziła sobie rozkaz wymarszu, wojska wędrujące pod osłoną nocy, kolumny jednakowo umundurowanych mężczyzn. Nagle

zrozumiała z przerażającą jasnością, jakby dostała cios w żebra, jedną z okropnych, niepojętych anomalii tego świata: że zawsze gdzieś jest wojna, a gdzieś indziej pokój, że z jednej strony ludzie giną, a w t y m s a m y m c z a s i e inni grają w karty, popijając przy tym słodką herbatę z filiżanek, zaabsorbowani jedynie losami kartonowych figur.

To był kwiecień. Perdita na całe życie zapamiętała chwilę, w której dotarło do niej to pęknięcie w fakturze życia. Miała dziesięć lat. Zadowolona z posiadania dwóch asów i z widokami na zdobycie trzeciego, ujrzała w wycinku prasowym niewyraźny szary kształt żołnierza, zgiętego wpół, pokonanego, leżącego bezwładnie przy swoim karabinie. Jego twarz była niewidoczna w cieniu, ale postawa wymownie świadczyła o udęce. Zdjęcie było już wówczas nieco postrzępione - wisiało na ścianie co najmniej dwa tygodnie - ale nagle przemówiło do niej. Oto człowiek, którego zadaniem było zabijać, a gdzieś, za tym obrazem, znajdowały się trupy, które były jego dziełem, pośmiertnie zmieniające się w groteskową siną galarete, i może też ciała jego towarzyszy, niewyróżniające się w banale śmiertelnej demokracji. A dzień po wykonaniu tego zdjęcia on znowu zabije lub zostanie zabity. Podniesie się z kolan, z bezwładnego wyczerpania, i wróci do swego zajęcia. Perdita nie widziała jeszcze wtedy archiwów ofiar, które miały się pojawić dopiero po zakończeniu wojny, ale to jej wystarczyło. Pomyślała sobie: *Mam dziesięć lat, na świecie jest wojna, a ja gram w karty.* Chwila przeminęła.

Przed drzwiami ukazał się chudy dozorca bydła, Willie, i nie wchodząc do środka, oświadczył, że Nicholas spadł z konia. Wprawdzie nic groźnego, ale musi zostać dzień czy dwa w szpitalu w Broome, gdzie lekarz go zbada i zabandażuje mu żebra. Stella się uśmiechnęła. Opuściła wzrok na swoje karty. W duchu świętowała. Perdicie objawiła się wtedy kolejna ważna prawda: *tyrania i wyzwolenie z tyranii występują wszędzie i na każdej skale.*

*

Wiatr się wzmógł, ciśnienie barometryczne spadło. W powietrzu wyczuwało się coś złowieszczonego, jakieś pęcznienie i narastający chaos. Najpierw Stella zauważyła to ciężkie napięcie wokół siebie, ale potem usłyszała, że zamilkły ptaki - uciekły albo całkiem zniknęły. Dały się zauważyć drobne poruszenia, zawirowały suche liście, pył wzbił się w górę czerwona spiralą. W parę sekund zorientowała się, że nadchodzi cyklon. Stella zawołała Mary i Perditę do środka i czekały tam, nasłuchując, jak świat rzeczy nieożywionych zaczyna się rozbudzać i ożywiać. Zaczął padać deszcz, odświeżając powietrze, następnie świat wokół nich leciutko zadrżał. Miały wrażenie, że poruszył się stół, nieznacznie przesunęło krzesło.

Dudnienie deszczu o dach przybierało na sile, a wraz z nim dał się słyszeć stopniowo narastający ryk. Niebo zaczęło się zapadać. W jednej chwili dźwięk stał się taki, jak hałas na stacji St Pancras - rozbrzmiewający echem, nieludzki, niesamowicie groźny.

Stella opadła na podłogę i zaczęła płakać. Mary schyliła się i zamknęła ją w mocnym uścisku. Perdita zauważyła, że ociera jej łzy otwartą dłonią.

Dziwnym zrzędzeniem losu za drzwiami z siatką znowu ukazał się jakiś ludzki kształt, mokry i lśniący. Jak Mandjabari, gdy przyszła po Mary, jak Willie, który zawiadomił ich o wypadku Nicholasa. Ale gdy drzwi się otwarły, Perdita stwierdziła, że to nie Mandjabari, tylko Kurnti, niegdyś mężczyzna w kajdanach, ten sam, któremu pomachała rok temu, gdy pracował przed hotelem Continental. Stella spostrzegła, że wszedł, i wydała słaby okrzyk, ale Perdita ją uspokoiła.

- Kurnti - powiedziała. - To Kurnti, przyszedł nas uratować.

Nie była pewna, dlaczego on się nagle pojawił ani dlaczego wyznaczyła mu rolę wybawcy. Ale teraz, gdy dookoła huczała burza, ściany dygotały, jakby chatka była silnikiem uruchamianego samochodu, obecność tego czarnego człowieka z lśniącą od deszczu twarzą wydała im się jeszcze jednym niezwykłym elementem sytuacji. Kucnął przed nimi i przekrzykując hałas, pytał, czy z jej matką wszystko w porządku, ze spojrzeniem szczerego zainteresowania i troski.

Perdita zobaczyła, jak wycinki prasowe oddzierają się i odpadają ze ścian, porcelanowa filiżanka na stole z drzeniem podjeżdża do krawędzi, spada na podłogę i się roztrzaskuje. Książki otwierały się i kartki same przewracały. Karty w stosiku blisko miejsca, gdzie stała filiżanka, zaczęły odwracać się po kolei do góry nogami, tak że kiery, trefle, kara i piki, wszystkie pięćdziesiąt dwie karty, zaczęły wirować po pokoju. Perdita obserwowała to, co się działo, z pewną uciechą: spadające i fruujące zdjęcia, odwracanie się kartek, jakby duch czytał książkę.

Kurnti wbiegł do sypialni i zawołał do kobiet, żeby zrobiły to samo. Podniósł ciężki podwójny materac z łóżka i trzymał go w górze jak dach; wszystkie położyły się na brzuchu, a on opuścił na nie materac, po czym sam wśliznął się pod niego. I tak leżeli, czekając na odejście cyklonu.

Tak samo szybko jak się zaczęło, wszystko ucichło. Wilgotne powietrze znieruchomiało. Perdita słyszała, jak karty do gry trzepoczą się jeszcze i osiadają w drugim pokoju, dobiegał do niej szelest papieru, firanek, słabe westchnienia. Wstrzymała oddech. Czekali w milczeniu. Pod ciężkim materacem było gorąco, dusiła się, ale Kurnti powiedział tylko:

- Czekać. Wraca.

Druga odsłona burzy wydawała się jeszcze bardziej grzmiąca i agresywna. Deszcz lał jak z gigantycznego wiadra; znów trzęsły się ściany i huczało jak na dworcu kolejowym. Za oknem pojawiła się kurtyna wodospadu. Stella zaczęła deklamować:

Dmij, wichrze, dmij, aż ci policzki pękną!

Szum, katarakto ulewy, zatapiaj

Najwyższe wieże i kurki na wieżach!*

Wpadła w trans. Jej głos, rzucający wyzwanie niebiosom, był głęboki i pełen napięcia.

Szybsza niż myśl, siarczona błyskawico,

Forpoczto gromu, co dęby rozszczepia,

Osmal tę siwą głowę! Druzgoczący

Grzmocie, zmiadz, rozplaszcz napęczniały glob!*

Perdita rozpoznała monolog z *Króla Leara*. Nie mogła znieść myśli, że matka może wzmocnić czy ośmielić burzę swoją fanatyczną inwokacją. Ale wtedy Stella przestała recytować i wróciła do niespokojnego płaczu. Perdita czuła, jak ciałem matki wstrząsa przerywany szloch, czuła jej lęk i pragnienie śmierci. Nagle rozległ się trzask jak wystrzał z pistoletu. Z dachu oderwał się arkusz blachy i wirowym ruchem poszybował gdzieś w dal. Dudnienie pozostałych arkuszy, z powodu obluźowanych gwoździ, przeszło w nierówne bębnienie i wydało się nagle głośniejsze. Niebo zostało wpuszczone do środka i w pokoju zrobiło się wietrznie i mokro. W powietrzu wirowały liście i kawałki gałęzi; wąż tygrysi, wypłukany z zakamarka pod dachem, wisiał nad nimi, kołysząc się i obracając w miejscu jak serpentyna na balu, a po jego ciele spływała biała strużka wody.

Gdy było po wszystkim, podnieśli nie bez trudu materac i wstali z podłogi.

Kurnti się uśmiechnął.

- Nieźle było, co? - Podniósł się i rozejrzał. - Już bezpiecznie. Chodźcie.

Perdita objęła Kurntiego i podziękowała mu. Dziękowała za jego uśmiechniętą, połyskującą srebrzyście twarz; dziękowała mu za to, że przyszedł do chałupki, choć nikomu innemu na nich nie zależało; dziękowała mu, że ochronił je przed czarnoksięskim monologiem jej matki - światem szybszych niż myśl błyskawic i druzgoczących grzmotów,

· W. Szekspir, *Król Lear*, Akt III Scena II, przeł. S. Barańczak.

* *Ibidem*.

światem, w którym cyklonowi można rozkazać, za pomocą prymitywnych czarów, żeby rozpląszczył ziemię. Odwróciła się i zobaczyła, że Mary obejmuje Stellę. Dziewczyna odgarniała jej włosy z twarzy, jak dziecku. Przyłożyła dłoń do jej czoła, jakby sprawdzała, czy ma gorączkę lub czy nie jest ranna.

Mary spojrzała na Perdite i powtórzyła słowa Kurntiego:

- Już bezpiecznie. Chodźcie.

W powietrzu zadźwięczały czyste nutki śpiewu srokacza.

- Maban - oznajmił Kurnti, dotykając swego ucha, żeby nakłonić je do słuchania.

- Magiczny ptak - wyszeptała Mary.

Ton śpiewu stał się jeszcze wyższy; Mary skinęła głową do Perdity.

- Już bezpiecznie.

Razem wyszły na zewnątrz i zobaczyły lśniący świat, wszystko jasne, ale zniszczone, wszystko umyte do czysta, ale zdewastowane. Blaszane wiadro na naftę uwięzło wysoko w gałęziach eukaliptusa. Wszędzie dookoła leżały patyki i kawałki blachy. Przedmioty z domu - odzież, obrazy - znalazły się na zewnątrz. Jak łatwo może się zmienić obraz świata; jak łatwo nawałnica, chluszcząca ciepłym deszczem i dmąca wichrem jak szalona, może tak poprzestawiać i rozwłóczyć zwykłe przedmioty. Stella spostrzegła kartę do gry, płynącą w strudze czerwonego błota u jej stóp, i schyliła się, by ją podnieść.

- Karty - powiedziała przez łyżę. - Musimy odnaleźć karty.

Perdita patrzyła, jak matka na czworakach grzebie gorączkowo w bałaganie zostawionym przez minioną burzę. W szarym świetle była zamglona, jej twarz blada i obłąkana. Horatio pojawił się nie wiadomo skąd i podniecony wachał ziemię, wymachując szaleńczo ogonem jak chorągiewką. W oddali, tam gdzie właśnie skryło się słońce, widać było rozchodzące się promieniście światło. Widniały tam jakieś kształty falujące jak ocean, i słychać było cichnącą zawieruchę. Niebo przecinały błyskawice, długie i ostre jak noże.

*

W życiu każdego dziecka są takie momenty, gdy to, co symboliczne, nabiera większej mocy i znaczenia, gdy dziecinne rzeczy i przyjemności zostają odłożone na bok, a kształtują się przecucia i wyobrażenia, stanowiące podstawę dla już dorosłego człowieka. Można je rozpoznać dopiero z perspektywy czasu, podobnie jak istota każdej tragedii widoczna jest dopiero po wszystkim. Podobnie znaczenie rodziców - nieprzystępnego ojca, niezrównoważonej matki - odkrywa się dopiero, gdy oni nie mają już nad nami władzy, po śmierci, gdy zamyka się w sobie umysł dotknięty demencją, lub gdy jako osoby dorosłe

nabieramy dystansu. Jednak nawet gdy się ma siedem, osiem, dziewięć lat, można je do pewnego stopnia przewidzieć, miewać przelotne przeczucia tego, co okaże się kiedyś, poznać intuicyjnie ich specyficzny charakter i wpływ, który będą mieli na nas. Gdy zobaczyłam, jak moja matka szuka tych kart, ignorując mnie, zdemolowany dom i spustoszenie uczynione dookoła przez burzę, gdy odgadłam, że odgrywa udreki Leara, wierząc, że sama jest słaba, niedołączna i pogardzana, uświadomiłam sobie w przyływie litości, że jestem silniejsza niż ona i pewnego dnia los wezwie mnie do odegrania swojej roli i opieki nad nią. Mokre włosy zwisały wokół jej twarzy jak szczurze ogony, jej cienką bawełnianą sukienkę opryskało czerwone błoto, Stella była cała przemoczona i zagubiona. I szukała w desperacji, jakby zapodziała gdzieś własne serce.

Nigdy nie odnaleźliśmy całej talii. Po oczyszczeniu policzyliśmy karty; było ich czterdzieści dwie. Poszukiwania w błocie doprowadziły Stellę do rozpacz. W końcu się podniosła i wyżeła brzeg sukni. Wszyscy - Mary, Kurnti i ja - odnieśliśmy wrażenie, że to kobieta z wewnętrzną pustką, uczynioną przez coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

*

Gdy wrócił ojciec, z zabandażowanym tułowiem, uświadomiłam sobie, że go nie znoszę. Mary wzdrygnęła się na jego widok. Stella wyszła. Jako że przez wypadek czuł się mniej męski, Nicholas warczał na nas wszystkich i demonstrował swoją zdolność do niefrasobliwej brutalności. Raz wysypał zawartość płonącej fajki na nagie ramię Mary, wypalając jej czerwoną dziurę wielkości monety dwuszylingowej. Strzepując gorący tytoń, Mary nie płakała.

Obserwowałyśmy go nieufnie i schodziłyśmy mu z drogi. W naszym życiu pojawiło się zagrożenie. Bałyśmy się go, wyczekując jak nadejścia cyklonu, skurczone, ostrożne, żeby zobaczyć, jakie pozostawi zniszczenie, żeby zobaczyć, jak obraca dom w ruinę.

CZEŚĆ TRZECIA

MALCOLM: Znajdźmy gdzieś ciemny kąt, z dala od ludzi
I tam wypłaczmy do dna naszą boleść.

W. Szekspir, *Makbet*
(Akt IV Scena III, przeł. S. Barańczak)

10

Tym razem zabrali Mary, nie Stellę.

Ten dzień odsłania się przede mną w częściowych scenach, etapami, jakby kamera pamięci była unieruchomiona i nie mogła zmieniać pozycji, aby objąć cały pokój i każdego z bohaterów. Z tej perspektywy widzę Mary, jak stoi w swojej sukience koloru niebieskiej hortensji, z krzykliwie czerwonymi plamami krwi Nicholasa; obok niej leży nóż; ona wygląda na absolutnie winną. Jest wczesne popołudnie, powietrze ma barwę ognistoczerwoną, jest ciepłe, gęste od unoszących się pyłków, teraz ciężkie od nadchodzącej śmierci, od zbrodni, od konsekwencji, od tego, co wkrótce się rozpęta. Mary zaczyna płakać. Jest w szoku, jednocześnie pewna i niepewna, co się wydarzyło. Trzęsie się. Perdita postępuje naprzód, żeby ją uspokoić. Dziewczynki chwytają się za ręce i płaczą razem. Gdybyśmy zrobili najazd kamery, zobaczylibyśmy, że ich twarze wyglądają identycznie; z tym wyrazem cierpienia są naprawdę jak siostry. W tle mamy sterty książek, ustawione pod ścianami, wycinki gazetowe z opisami wojny, zdjęcia i mapy. To skomplikowana scena; jest tam właściwie zbyt dużo do ogarnięcia.

Gdy przyjadą dwaj policjanci z Broome, wezwani przez pana Trevora, zobaczą coś, co wyda im się chatą szaleńca. Co za gość ściąga tyle książek do buszu? Co za idiota przypina zdjęcia z wojny tam, gdzie śpi mała dziewczynka? W różowym świetle zmierzchu zbadają ciało Nicholasa Keene'a, zostawione tam, gdzie upadł, z karkiem i gardłem przesytytymi prymitywnie i na oślep wbitym nożem.

Będą wymieniać uwagi o tym, ile wyciekło z niego krwi, jak pełno plam ma na skórze, że też śmierć przynosi taką brzydotę. Zauważą blizny po szrapnelu na jego plecach, i spodnie, rozpięte, opuszczone do kostek. Będą sporządzać notatki, prawdziwe notatki, jak policja z miasta, zadowoleni, że mają do czynienia z prawdziwą zbrodnią, z czymś krwawym i skandalicznym, o czym później będą mogli opowiadać kumplom.

W powietrzu unosi się zbrodnicza woń krwi. Wdychają ją. Upajają się nią. Z zapadnięciem nocy dramaturgia zaczyna się zmieniać; policjanci przepytują białą dziewczynkę, która praktycznie nic nie mówi, i w ogóle ma problem z wypowiedaniem słów.

Potem przesłuchują starszą czarną dziewczynkę, która i tak się już przyznała, i zaskakująco opanowaną żonę, relacjonującą jasno i zwięźle, co się tu wydarzyło. Jasne jest, że czarna dziewczynka, Mary, została zgwałcona. Na jej udach i szyi zaczynają pokazywać się siniaki. Pani Trevor potwierdza, że o Nicholasie Keenie i aborygeńskich dziewczętach słyszała plotki: początkowo im nie wierzyła, kiedyś odesłała nawet świetną kucharkę, bo myślała, że ta kłamie na temat Nicholasa Keene'a, który dopiero niedawno się tu sprowadził, miał żonę i dziecko, wydawał się wykształcony, ładnie się wyrażał i nawet był dość przystojny. Wcale nie wyglądał na takiego, dodała.

Policjanci wciągają ciało na zatłuszczone płótno, zawiązują oba końce sznurem i podnoszą je razem na tył swego pikapa. Wycierają ręce w spodnie przed podaniem ich panu Trevorowi, który kiwa głową i ma poważną minę, ale też w duchu cieszy się z tego wydarzenia i że będzie miał o czym opowiadać. Żegna się, dotykając róna kapelusza.

Z otwartych drzwi chałupki sączy się światło lampy naftowej; wszyscy obecni zauważają, jak mruga, rejestrując, że nafty jest mało i niedługo zapadnie ciemność. Ale wielkie ćmy i tak uderzają w siatkę w drzwiach, chłonąc tyle światła, ile zdołają. Mary jest z policjantami, spokojna i uległa. Siedzi między nimi na przednim siedzeniu, gotowa na długą jazdę w mrok. Mniejsza biała dziewczynka patrzy, jak odjeżdżają. W lusterku wstecznym widzą jej dziecięcą figurkę, która macha, jakby chodziło o wizytę gości, a nie morderstwo.

Mary nie ogląda się za siebie. Wpatruje się w ciemność i tunel powstały ze świateł reflektorów, które omiatają oczy zwierząt, rubinowe błyski, niewyraźne przemykające kształty, i pnie drzew, które wydają się gwałtownie skręcać, raz za razem, w śmiertelną prawie kolizję.

*

W pamięci Perdity czas zatoczył koło i wydarzenia rozegrały się jeszcze raz. Mary została powieszona w mrok, a Perdita energicznie machała, jak gdyby to wciąż jeszcze miało jakieś znaczenie. Widziała, jak bliźniacze światła reflektorów rozwidlają się, kierują w lewo, oświetlając baobab, i znów wracają na środek drogi. Za plecami Perdity państwo Trevorowie rozmawiali ze Stellą, namawiając, by wzięła trochę rzeczy i przyszła nocować do nich. Był z nimi Billy, uczepiony ramienia matki, żeby powstrzymać kurczowe gesty własnych rąk, żeby ukoić swój wielki niewypowiedziany szok. Gdy Perdita weszła do domu, zobaczyła, jak matka obchodzi dookoła lśniąca czarna plama, która była życiem jej ojca. Poczowała paralizujące mrowienie w ciele i coś na kształt knebla w ustach.

Stella zerknęła na córkę i rzuciła tylko:

- Chodźmy.

Nie było rozmowy o tym, co się tam wydarzyło; żadne słowa nie mogły wyjaśnić ani wyrazić tego, co wzbierało straszliwie w ich sercach. Stella przyłożyła palec wskazujący do ust, surowo nakazując milczenie.

- Pssst!

Wzięła Perdite za rękę i niemal odciągnęła od domu.

Tej nocy Billy przyszedł do Perdity, która nie mogła zasnąć i leżała na cienkim, szorstkim materacu położonym na werandzie domu Trevorów. Pani Trevor otuliła ją czystą pościelą, dała filiżankę ciepłego mleka z proszku, nawet pocałowała ją delikatnie w policzek, czego nigdy nie robiła jej własna matka. Ale potem Perdita została sam na sam z odgłosami nocy: drapania, skrzypnięcia, chropawy szloch wiatru. Na niebie wschodził trzyćwierciowy księżyc. Spowite słabym światłem, wszystko stawało się miękkie. Drzewa były blade, chmury miały nieregularne perłowe krawędzie. Perdita po raz pierwszy pomyślała o istnieniu duchów i zaczęła się bać. On może tu teraz być, przybierać fantazmatyczne, nierealne kształty, długopalczasty, bezoki, zionący i dziwaczny, z wielkimi dziurami w plecach i gardle, tam, gdzie uderzył nóż. Może unosi się między stosami książek, wije się wokół jej łóżka, wlatuje do domu i wylatuje niespokojnie z pokoju, gdzie jeszcze zeszłej nocy żył i spał.

Gdy Billy podkraść się do jej posłania, Perdita go wpuściła. Pojękiwał. Pewnie też się bał. Leżeli razem objęci, i to wtedy Perdita zrozumiała, że Billy wszystko widział i będzie wiedział to już zawsze, po wieki wieków, zatrzyma w sadzawkach niemrugających załzawionych szarych oczu wiedzę, jaką rolę każde z nich odegrało i co się naprawdę wydarzyło. Perdita dobrze się czuła, mając obok siebie ciało Billy'ego, ciepłe, solidne i wcale nie widmowe. Gdy spróbowała się do niego odezwać - mimo że nie mógł jej słyszeć - stwierdziła, że się jąka. Coś irytującego i niezwykłego dręczyło jej język; po dzisiejszym dniu w jej ustach pozostał jakiś złośliwy figiel. Perdita nie panikowała; założyła, że to minie.

Billy wstał i stanął na krawędzi werandy, żeby się wysikać. Nie krępował się, wypchnął biodra do przodu, wypinając brzuch, tak że Perdita widziała łuk moczu błyszczący w świetle księżyca. Ale gdy wrócił na posłanie, sięgnęła w dół, by położyć rękę na jego ciele, i stwierdziła, że Billy zakrywa genitalia dłońmi. Odsunęła je i położyła swoją dłoń, żeby go pocieszyć, żeby pokazać, że rozumie. Z wnętrza domu dobiegł Perdite bardzo cichy głos matki:

Precz z moich oczu! Ukryj się pod ziemią!

Ostygła twoja krew, szpik wysechł w kościach,

*Nie widać iskry życia w oczach, które
Tak we mnie wbijasz*!*

Perdita pamiętała ten monolog. To Makbet, z wyolbrzymioną wizją ducha zabitego Banka. Jednak głos Stelli nie był przerażony ani niespokojny, nie brzmiał, jakby naprawdę zobaczyła ducha Nicholasa, tylko jakby sobie deklamowała, żeby się ukołysać do snu, by usłyszeć w równym rytmie języka coś, co skądinąd przerażało i wywoływało koszmary.

Billy uniósł głowę, jakby usłyszał ten monolog. Może on też myślał o duchach, „więźniach wichru”. W półmroku wydawał się nawet bardziej dziwny niż zwykle: jego oczy były jak spodki, włosy jak druty miedziane, rysy wystylizowane przez płynne światło księżycy, w którym oboje byli skąpani.

*

Verze Trevor nie udało się namówić swoich aborygeńskich pomocy domowych, żeby zmyły krew w chałupce Keene'ów. Kategorycznie odmówiły. Za nic w świecie. Żadne groźby ani perswazje nie mogły ich zmusić do zmiany zdania. „Tam diabeł”, wyjaśniły jej. Ale ona nie mogła zrozumieć, o jakim diable one mówią, teraz, gdy już ciała Nicholasa tam nie było, zostało zabrane do zbadania przez koronera, a Mary aresztowano. Musiały to zrobić same ze Stellą. Wzięły wiadra, szczotki i proszek z amoniakiem do czyszczenia i na kolanach szorowały brud śmierci. Za pomocą szczotek utworzyły zawijasy różowej piany na długość ramienia, zebrały ją, wycisnęły ścierki i stwierdziły, że drewniana podłoga nie całkiem zapomniała zbrodnię. Gdy Vera się zorientowała, że zarys plamy krwi jest nie do usunięcia, zaproponowała Stelli gałgankowy dywanik, aby przykryć to, co zostało. Był wielobarwny i całkiem wesoły. Stella była wdzięczna. To miłe, powiedziała. Ożywi dom.

*

Ranek wstał słoneczny, całkiem nowy. Można było nawet uwierzyć, że to, co się stało, było koszmarnym snem i że w domu wciąż są Mary i Nicholas, i że został przywrócony porządek rzeczy. Jednak Perdita odkryła, że brutalne zdarzenia pozostawiły ślad w jej ustach. Ujawniło się to, gdy poprosiła o śniadanie. Coś zniekształcało jej mowę, sylaby zaczynały się w ustach, nie mogła wypowiedzieć prostych słów, ponieważ potykała się na spółgłoskach. Stella tego ranka była jak lunatyczka, obojętna i milcząca. Podniosła wzrok na córkę, ale nie zrobiła żadnej uwagi ani nie wyraziła zaskoczenia.

Pani Trevor przechyliła się przez stół i kazała Perdicie otworzyć buzię: zajrzała do

· W. Szekspir, *Makbet*, Akt III Scena IV, przeł. S. Barańczak.

środką jak dentysta, ale nie znalazła żadnej infekcji ani mechanicznej blokady.

- Biedactwo - rzekła wymijająco, poklepując Perdite po prawym policzku.

Jednak zaraz wróciła do swojej grzanki, nie wykazując ochoty do dalszych pieszczot, tak że nawet Perdita nie uświadamiała sobie, jak poważna może być to zmiana. Zjedli śniadanie w ciężkim milczeniu. Unikali swojego wzroku. Każde z nich było zamknięte w swoim świecie.

Później, po południu, Stella i pani Trevor poszły umyć chałupkę. Stella już się wtedy całkiem obudziła i sprawiała wrażenie rozsądnej i praktycznej w obliczu śmierci, jak poprzedniej nocy, podczas przesłuchania. Billy i Perdita zostali w domu, grając w karty na werandzie.

Perdita zastanawiała się, gdzie jest Mary, czy w więzieniu. Wyobrażała ją sobie siedzącą samotnie w celi bez okna. Widziała ją jako świętą, z pochyloną głową, z ciemną twarzą nabożnie skupioną. I wyobrażała sobie religijne światło, opalizujący promień płynący z lampki w kształcie gwiazdy nad głową. Nie mogła znieść myśli o więzieniu w Broome, ponurym, brzydkim budynku, surowym i groźnym, ani o więźniach, których widziała połączonych ciężkimi łańcuchami, spoconych w słońcu, o twarzach skrzywionych, wyczerpanych i na krawędzi desperacji. Perdita musiała przekonywać samą siebie, że Mary jest w jakimś oderwanym od świata, bezpiecznym miejscu.

Po sprzątnięciu domu Stella wreszcie dostrzegła, że mowa Perdity uległa zmianie. Kazała córce wziąć się w garść i nie wygłupiać. W tamtej chwili Perdita odczuła przemożne osamotnienie: Mary nie ma, matka jest zła, nie ma z kim porozmawiać. Nie ma z kim porozmawiać tym niewiarygodnym, zdeformowanym głosem, tym drżącym, wykoślawionym, nieznośnym głosem. Co w niej utkwiło? Co zablokowało jej usta jak glina, jak obrzydliwa przeszkoda? Zaczynała się już poddawać rezygnacji.

Wieczorem wróciły do chałupki. Pan Trevor był tam już wcześniej, napełnił i zapalił lampy naftowe. Gdy szły do domu w świetle trzyćwierciowego księżycy, Perdita zobaczyła z zewnątrz, jak mały jest ich świat, jak skromnie żyją. Dwa prostokątne okna błyszcząły w ciemności jak oczy zwierzęcia; budynek wyglądał jak przycupnięty, skulony. Poczowała rosnący lęk przed ponownym przekroczeniem progu pokoju, w którym ojciec wykrwawił się na śmierć. Zobaczyła go znów, z wyrazem znużenia i zaskoczenia na twarzy, gdy uchodziło z niego życie. Zastanawiała się, czy umierający ludzie zawsze wyglądają na zaskoczonych, czy taka jest śmierć - zachodzi od tyłu i wprawia w zdumienie.

Tam, gdzie upadł Nicholas, teraz leżał owalny gałgankowy dywanik, który Perdita widziała wcześniej w domu Trevorów. Było to radosne, wspaniałe kłamstwo, splecione z

męskich koszul i innych używanych ubrań, wozyste strzępki czegoś, co niegdyś nosiły Sal i Daff. Perdita stanęła na tym dywaniku z lekkim dreszczem. Dawał się wyczuć słaby zapach dymu eukaliptusowego. Później się dowiedziała, że ludzie z nad strumienia okadzili dom. Zamietli pokój tłącymi się liśćmi, aby go oczyścić z brudnych, morderczych myśli, aby wypuścić z niewoli niespokojnego ducha. Pozwolili Nicholasowi odpłynąć; pozwolili mu stać się powietrzem.

Gdy próbuję przypomnieć sobie te pierwsze tygodnie po śmierci ojca, pamięć mnie zawodzi. Byłam tak przybita utratą płynnej mowy, że inne wydarzenia straciły na znaczeniu albo przeszły niezauważone. Stella zaczęła nosić swoją hiszpańską chustę - to pamiętam niezawodnie, ponieważ inni komentowali ten gest, biorąc ekstrawagancję za znak szczerzej żałoby. Nie byłam na pogrzebie. Dzieci chyba wtedy na nie nie zabierano, więc nie zostało mi zgrabne wspomnienie niczym kadr z filmu, ojca obsypanego kwieciami, wychwalanego w mowach pogrzebowych, zaplombowanego w trumnie obramowanej belkami wysokiego stropu kościoła. Zapamiętałam tylko obcesowe wyniesienie ciała zawiniętego w płótno, policjantów wyruszających w nocną podróż z Mary siedzącą między nimi; potem mrok i kłęb kurzu osiadającego na drodze w słabnącym świetle lampy.

Te dni były jednakowe, nudne i puste, i naznaczone żalem za ojcem, za Mary, za wszystkim, co się zmieniło. Stella i ja nie robiłyśmy nic poza czytaniem i szyciem. Gazety Nicholasa ciągle dostarczano, i my także w końcu zaczęłyśmy mieć pewnego rodzaju obsesję na punkcie wojny, śledząc jej wydarzenia z zainteresowaniem, którego żadna z nas wcześniej nie przejawiała ani nie była w stanie wyrazić, skoro do tej pory była to tak zdecydowanie rozrywka Nicholasa.

Stella zatrzymała wycinki prasowe na ścianach i dodała kilka własnych. Szczególnie polubiła mapę, na której od początku zaznaczano ekspansję niemiecką i której nie zniszczyła podczas bożonarodzeniowej furii. Czas wydarzeń to był czas wojny. Pragnęłyśmy wiarygodnej historii, obiektywizmu na wielką skalę.

Mój ojciec został zamordowany, gdy zaczęło się oblężenie Leningradu, we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku, tuż zanim skończyłam jedenaście lat. To było w okresie stalinowskiej taktyki spalonej ziemi i wtedy, gdy Żydom nakazano nosić żółte gwiazdy. Wiedziałam o Odessie, Charkowie, Sewastopolu, Rostowie. Nigdzie nie byłam, nic nie widziałam, nigdy nie chodziłam do szkoły, a jednak w głowie miałam globus czasu wojny, „napęczniały glob” złożony z płonących miast, koncentrujących się wojsk, zdobywanych, traconych i zamienianych w cmentarzyska terytoriów. Mapa na ścianie,

korpułentna Europa, zaczęła się pokrywać maleńkimi swastykami rysowanymi ręką Stelli, które z pewnej odległości wyglądały jak pająki rojące się na papierze. Od matki otrzymałam osobliwe i powierzchowne wykształcenie; świat podczas wojny wyolbrzymił moje komiksowe wyobrażenie innych narodów oraz moją mechaniczną geografię, i dał mi absurdalne poczucie synchroniczności. Nie byłam przeczulona ani wystraszona; żadne wieści nie mogły zranić mego serca bardziej niż zrobiła to utrata Mary.

Stella ubolewała nad kwestią mojej mowy. Uważała chyba, że zacinanie się jest manierą, której nabawiłam się, żeby ją irytować albo żeby udramatyzować śmierć ojca. Jednak prawda była taka, że znajdowało się ono poza moją kontrolą i często płakałam, zmagając się z własną nieudolnością, wykrzywiając usta w różne grymasy, by odzyskać to, co zawsze przyjmowałam za pewnik.

Inni także reagowali z dystansem. Pani Trevor z całą pewnością przestała mnie tak bardzo lubić, myśląc, że szokujący widok krwi i noża wywołał u mnie coś w rodzaju zapalenia mózgu. Nawet Billy, który do pewnego stopnia dawniej potrafił czytać mi z ust, teraz wydawał się sfrustrowany nerwowymi ruchami moich warg. Przyjaciele z nadstrumienia, którzy zawsze cieszyli się z moich wizyt, gdzieś poznikali. Willie mówił, że udali się na północ na jakąś uroczystość, tańce z powodu żałoby po kimś ważnym z ich społeczności. Tańce i żałobne rytuały miały się ciągnąć przez całe tygodnie. Ale ja uznałam, że postanowili odejść, bo też tęsknili za Mary.

Brakowało mi towarzystwa Billy'ego, który się jakoś wycofał. Widziałam go, jak gapi się w niebo, jakby chciał z niego wyczytać jakiś sens, albo jak leży z twarzą przy ziemi, zaintrygowany jakimś ruchliwym żyjątkiem. W swojej własnej udręce i tęsknocie za Mary, stał się bardziej żaloszny i bardziej niż zwykle wyalienowany. Patrzyłam, jak ciągnie za sobą patyki, zostawiając ślady na piasku, i chciałam tylko iść obok niego, trzymać go za niespokojne ręce, uciszać zabeczane usta i osuszać oczy za każdym razem, gdy wybuchał szlochem. Pani Trevor, w cieniu wielkiego kapelusza, czuwała nad Billym. Siłą woli i zatroskanego wzroku starała się nas trzymać z dala od siebie. Wyobrażałam sobie, że mogłaby mnie objąć albo wyleczyć, ale ona była zdystansowana i podejrzliwa, bardziej teraz krytyczna w stosunku do Stelli i wyzbyta wszelkiej sympatii, jaką kiedyś żywiła do mnie.

Patrzyłam, jak Horatio trąca nosem leżącego na ziemi Billy'ego, próbując go zmusić do wstania. Nawet to mnie irytowało: kolejna zdrada. Ten pies był mój, nie jego. Wołałam Horatia, ścisnęłam go i dawałam klapsy, żeby zademonstrować swoją własność.

Gdy ja mówiłam mniej, Stella zaczęła mówić więcej, żeby przerwać ciszę w chałupce, w której teraz czuła się osamotniona. Od czasu do czasu utyskiwała, na nic konkretnego,

skarżyła się na swoje życie i córkę, zwracała się do Boga albo do Williama Szekspira, ale najczęściej wypełniała ciszę rozwlekłymi monologami, górnolotnymi i melancholijnymi. Wiele nieszczęść przypadło jej w udziale, mówiła, ale gdy skończy się wojna, pojedzie z córką do Anglii, zamieszka z siostrą Margaret, zacznie nowe życie. Założy ogródek, w którym zasadzi powojnik i jednoroczne rośliny cebulowe o bujnych pachnących kwiatach, i będzie siedziała w bujanym wiklinowym fotelu w miękkim angielskim świetle, słuchając radia.

Mnie przepęłniało szaleńcze osamotnienie, poczucie winy i smutek. Miałam wrażenie, że umrę z powodu tego wszystkiego, czego nie mogę wyrazić. Dwudziestego dziewiątego września, gdy Niemcy zaczęli marsz na Moskwę, w Kijowie dokonali masakry Żydów. Przeczytałyśmy o tym w listopadzie. W książkach do historii piszą, że zabito 33 771 ludzi, mężczyzn, kobiety i dzieci. Pamiętam, że wiedziałam tylko, że w tym miejscu nastąpiła straszliwa rzeź; z tym nieprzyzwoitym dzieciennym niezrozumieniem przywiązałam emocjonalną wagę do nazwy K i j ó w , myśląc, że może jest na tyle wyjątkowa, żeby zawrzeć moją gigantyczną prywatną żalność, poczucie, że pewne rzeczy są jednak nie do naprawienia.

*

Gdy Stella w końcu zrzuciła swoją hiszpańską chustę, poprosiła pana Trevora, żeby nauczył ją prowadzić samochód. Dżip Nicholasa stał beczynnie przez wiele tygodni, jak niemy wyrzut jego nagłego zniknięcia i przykry dowód na to, że przedmioty są trwalsze od ludzi, ale pewnego dnia Stella dostrzegła go i wezwała sąsiada. Akumulator był rozładowany, rozrusznik zatarty, wydawało się już, że maszyna pozostanie martwą rzeźbą, ale pan Trevor nachylił się nad jej wnętrznościami, pomajstrował i ponaprawiał. Gdy Stella usiadła za kierownicą i wcisnęła pedał gazu, a silnik zakotłował się i ożył z klekotem, Horatio zerwał się radośnie na równe łapy, myśląc, że to Nicholas wrócił. Perdita widziała, jak pędzi z chałupki, żeby przywitać jej ojca. Obiegł samochód kilka razy, węsząc przy ziemi; wyglądał na zdeorientowanego, energiczny ogon machał coraz słabiej. Perdita widziała już wcześniej, jak Horatio szukał Mary - ze smutkiem wierząc się w kółko na jej dawnym posłaniu, leżąc pod zbiornikiem na wodę, gdzie ona lubiła siedzieć i czytać - ale uświadomiła sobie teraz, że tęsknił też za Nicholasem. Nie było żadnego wycia ani psich awantur; podobnie jak Perdita pies popadł zdeorientowany w milczący smutek. Perdita wybiegła z domu, żeby porwać swego psa w objęcia. Usiedli na ziemi i patrzyli, jak Stella, siedząc zdecydowanie na dawnym miejscu Nicholasa, spogląda znad kierownicy i słucha objaśnień pana Trevora, do czego służą

poszczególne pedały.

Gdy pierwszy raz pojechały do Broome na zakupy, Perdita była podekscytowana. Uwielbiała jeździć do miasta, a poza tym miała nadzieję, że dowie się, co z Mary. Stella początkowo prowadziła powoli, testując każdą fałdę na drodze, każdy odcinek żwiru i zagłębienia terenu wypełnione piaskiem, ale gdy dojechały na miejsce, zarówno ona, jak i Perdita odczuły ulgę. Zamówiły pokój na jedną noc w hotelu Continental, który, co pokrzepiło Perdite, nic się nie zmienił.

Dostały wspólny pokój, bardzo podobny do tego, w którym Perdita spała kiedyś. Miał ten sam cienisty chłód i atmosferę spokoju. Dwa jednoosobowe łóżka były wysokie i porządnie zasłane, a nad nimi rozpięto moskitiery w kształcie stożków. Ściany miały kolor bladozielony. Nie wisały na nich żadne zdjęcia z wojny. Światło słoneczne padało pasiasto na ścianę przez cyklonoodporne okiennice. W pokoju było światło elektryczne, a nawet wentylator. Perdita miała ochotę zostać tam na zawsze.

Gdy już była dorosła, dowiedziała się, że Stella nie zapłaciła wtedy rachunku, ale dyrektor hotelu, wiedząc o jej tragedii, nie nalegał. Okazało się, że wszyscy wiedzieli o zamordowanym mężu, szalonej żonie i małej dziewczynce, która zobaczyła coś, na widok czego słowa uwięzły jej w gardle. W małych miasteczkach istnieją takie dyskretne formy solidarności. Nicholas Keene nie był lubiany, miał „popieprzone w głowie”, mówili „cykor”, mówili, jego żona, no cóż, pożałowania godna Angielka, bez pojęcia o niczym, a córka samotna jak bezpańskie zwierzątko.

Z uczuciem nagłej lekkości Perdita rzuciła się na łóżko i chłonęła jego luksus (znowu zapach proszku mydłanego, poszwy bez jednej zmarszczki, sennie otaczający człowieka zbyt miękkim materac); przypomniała sobie ojca przy barze, zgarbionego nad whisky, lustro w ramie z drzewa palmowego, butelki z alkoholem ustawione przed nim pryzmatycznie, i piękną barmankę o włosach upiętych w wysoki kok, od której dostała opakowanie solonych orzeszków. Przypomniała sobie Sis z Beagle Bay, pracującą w kuchni na zapleczu, która potraktowała ją z mądrą, nieopisaną czułością. Przypomniała sobie jej wielkie czarne dłonie zanurzające się w zlew pełen naczyń, ton jej głosu, współczucie.

Wczesnym wieczorem Stella i Perdita poszły na obiad do ogródka piwnego. Podano im barramundę i frytki, z pojedynczym wieńcem niepokojąco żółtych i równych plasterów ananasa z puszki na brzegu talerza, zamiast surówki. Perdita była zdumiona, widząc, ile na świecie jest jedzenia. Patrzyła na gości hotelowych, wsuwających łapczywie ryby i steki, i wychylających duszkiem piwo z pianką. W pewnym momencie spostrzegła Sis, która wyszła z malowanej kratownicy. Impulsywnie, bez wahania i zająknięcia, zawołała ją po imieniu.

Sis, która trzymała niewielką tacę, odwróciła się, rozejrzała zdziwiona, zobaczyła Perditę i pomachała. Perdita odmachala jej. Czula się, jakby otrzymała odpowiedź na ważne pytanie. Sis stała i przyglądała im się jeszcze przez chwilę. Była mniejsza niż Perdita zapamiętała i miała na sobie sukienkę w kształcie namiotu, wzorzystą, w pomarańczowe kwiaty hibiskusa. Perdita pomachała jeszcze raz, nad głowami gości przy stolikach, wdzięczna, że jej istnienie zostało potwierdzone.

Nie była pewna, nawet jeszcze później, leżąc w łóżku i próbując przeanalizować swoje uczucia przed snem, dlaczego wymiana zwyczajnych przecież gestów tak ją poruszyła i zrobiła na niej takie wrażenie. Może, ponieważ wszyscy z jej otoczenia stopniowo znikali, to nagle ponowne pojawienie się kogoś wyraźnego, intensywnego, odzianego w wielkie kwiaty świadczące o pogodnym nastroju, uświadomiło jej, jakim dzieckiem mogłaby być, wesołym, bez wad wymowy, dzieckiem, które ma czysty pokój, pełny talerz i nie wie nic o śmierci, i nic o K i j o w i e, i które macha - tak po prostu - ze spontaniczną radością.

Tamtego wieczoru w pokoju hotelowym w białym świetle elektrycznym Perdita obserwowała, jak Stella powoli się rozbiera. Pierwszy raz widziała odsłonięte ciało matki. Zamyślona Stella przez chwilę stała naga, majtając biustonoszem, potem rzuciła go byle jak na łóżko i zaczęła szperać w torbie, szukając koszuli nocnej. Miała długie kształtne plecy i ogromne pośladki. Górna część jej ud była ciastowata, z dołeczkami. Gdyby Perdita była w stanie dać werbalny wyraz miłości - tak jak wykrzyknęła imię Sis - zrobiłaby to właśnie wtedy. Ale gruby język pęczniał w ustach, a serce waliło: bała się, że zacznie się jąkać. Koszula nocna została znaleziona i uniesiona nad głowę. Potem opadła w dół jak miękka kremowa osłona, odgradzając dostęp do matki.

Rankiem, jeszcze w półmroku i półsennym oszołomieniu, Stella wyszeptala grubym głosem do córki:

- Znowu miałam mój sen o śniegu.

Chwila ciszy. Perdita czekała i usłyszała długie ziewnięcie.

- Już całe lata mi się nie śnił.

Stella leżała pod stożkiem moskitiery, przesłonięta białymi fałdami, drżącymi od morskiej bryzy, wpływającej przez otwarte okno. Perdita, jeszcze nierozbudzona, pomyślała, że jej głos brzmi nietypowo niewyraźnie i delikatnie, jakby sfruwał w zwolnionym tempie, jak gdyby przynosił na jawę miękkość śniegu.

*

Perdita dostała wysypki od leżenia pod krzewem oleandru na dziedzińcu przed

hotelem. Wyciągnęła do matki zaczerwienione przedramiona i domagała się współczucia.

- Sama sobie jesteś winna - stwierdziła Stella.

Perdita chciała zobaczyć Mary. Niczego więcej nie pragnęła. Rzuciła się na siedzenie samochodu, już brudnego od podróży, i niemal zażądała informacji.

- Jest w Perth - odpowiedziała Stella. - W poprawczaku. Jak będzie trochę starsza, przeniosą ją do więzienia.

Tyle wystarczyło. Mary była daleko, poza zasięgiem. Nie było jej już w Broome. Perdita spojrzała na swoje czerwone ramiona, które zrobiły się suche jak pergamin, z krostkami, i swędziały niemiłosiernie. Zaczęła cicho płakać.

- Uspokój się - powiedziała matka, z australijskim akcentem.

Na pierwszej stronie gazety, która leżała między nimi, widniał Mussolini z głową jak balon, salutujący w niebo. Wyglądał bardziej jak posąg, niż jak człowiek; granitowo kanciasty. Stella powiedziała, że to dobrze, że świat słyszy teraz więcej o Włochach. Jej zdaniem byli bardziej interesujący od Niemców, o wiele bardziej kulturalni. Katedry. Dzieła sztuki.

- D u o m o - dodała Stella z naciskiem, nie tłumacząc, co ma na myśli.

Powiedziała, że gdy wrócą do Anglii, pojedą na wakacje do Włoch i zobaczą Wenecję, Weronę, Mantuę i Rzym, „miasta Szekspira”. Znowu była w surowym świecie dyktatorów i obowiązków; prowadziła samochód, opierając się na kierownicy, jakby ponaglając pojazd do wjazdu w historię.

- O wiele bardziej interesujący.

Perdita nie chciała jechać do Włoch, tylko przeprowadzić się do miasta. W oświetlonej słońcem zatoce na wodzie unosiły się lugry do połowu pereł i widać było ciągnący się od nich pas wąskiego molo. Na brzegu, nieopodal, znajdowały się sortownie, w których można było zauważyć szczupłych mężczyzn ubranych w sarongi i turbany; siedzieli po turecku na stertach muszli, badali je i rzucali na nowe sterty. Biżuteria, guziki, tarcze zegarków z masy perłowej, ozdoby domów bogaczy; to, że świetność miasta wynikała z handlu perłami i masą perłową, wydawało się Perdicie niesamowicie wytworne.

Uwielbiała także patrzeć na spotykanych na ulicach ludzi: Malajów, Chińczyków, Japończyków, Filipińczyków, aborygeńskie rodziny, które mieszkaly w domach i nie były skazane na wegetowanie na farmach czy misjach; wszyscy oni byli o wiele piękniejsi niż znani jej ludzie. Wszyscy mieli czarne żywe oczy i otwarte twarze; odzywali się do niej łagodnie; byli egzotycznie życzliwi. Perdita uwielbiała też sklepiki o blaszanych ściankach, prowadzone przez chińskich kupców, pełne przedmiotów owiniętych w czerwony papier,

pokryty fantazyjnym pismem, na którym widniały ryby, smoki, koła, żurawie. Był tam makaron w kształcie gniazd i wielkie wory z ryżem; były puszki z grzybami i pastą rybną oraz nanizane na sznurki suszone papryczki chilli. Przedmioty i zapachy w tych sklepikach - u Winga czy Tanga - były tajemnicze i kuszące.

Stella kupiła dwie amadyny wspaniałe w bambusowej klatce o kształcie kopytka. Perdita nie rozumiała - skoro tyle ich fruwało dookoła - po co Stella chce dwie na własność, jednak była zadowolona, że jest świadkiem czegoś graniczącego niemal z frywolnością. Stella trzymała klatkę wysoko: nazwała ptaszki Dromio i Antipholus. Podskakiwały na swoich żerdkach i trzepotały skrzydłami.

Prawie cała wiedza Perdity o Broome pochodziła od Mary. W mieście dzieci chodziły do szkoły, miały kolegów i bawiły się w różne zabawy. Była tam szkoła buddyjska dla dzieci Japończyków (widziała je siedzące na zewnątrz, zajęte nieznaną grą planszową), szkoła rządowa dla dzieci takich jak ona i dla Azjatów nie-buddystów, oraz szkoła katolicka, w której chodziło się na mszę - cokolwiek to znaczyło - gdzie dzieci, według słów Mary, uczyły się różnych historii i tajemnic, jak te z *Żywotów świętych*. Było też kino i piekarnia. Perdita nigdy nie była w kinie, tej małej szopie z krzesłami ustawionymi na zewnątrz i ekranem z polatanego płótna, ale wiedziała, że to musi być coś cudownego. Wiedziała, że piekarz pije, policjant ma zarówno żonę, jak i kochankę, że w mieście jest kobieta-duch w czerwonej sukience, która bez powodu czy ostrzeżenia pojawia się i znika. Mary opowiedziała jej też, trochę niedokładnie, o zdumiewających rzeczach, które robią między sobą mężczyźni i kobiety, więc Perdita wiedziała, że niektóre kobiety sprzedają swe ciała mężczyznom. Żałowała, że nie może zobaczyć tego wszystkiego na własne oczy, razem z Mary podglądać prywatnych chwil innych ludzi, poznać prawdy o ich życiu. Wyobcowanie z powodu popsutej mowy sprawiło, że Perdita dopiero teraz zdała sobie sprawę z większej izolacji w swoim życiu; dziwne, ale nie wiedziała o niej i nie uświadamiała sobie jej wcześniej; była to po prostu niezbadana postać rzeczy.

Pojechały najpierw do sklepów i do piekarni, a potem do klasztoru. Wszędzie ludzie się za nimi oglądali - angielska wdowa, która przywiozła córkę samochodem do miasta, była tu nowością i źródłem plotek. Perdita czuła, że zwłaszcza ona przyciąga ludzką uwagę. Ponieważ nie mogła się odezwać, gdy ktoś do niej zagadał, odbierała tylko współczujące spojrzenia i nieszczerze gesty otuchy. Miała wrażenie, że wszystkim jest żal jej matki (pytali ją o zdrowie, nawiązywali lekką pogawędkę, unikając wspomnienia o śmierci, jakby Nicholas nigdy nie istniał), natomiast ją mają za idiotkę.

- Okropna sprawa. Okropna - mruzcili zgodnie.

Jeszcze więcej protekcjonalności czekało je w klasztorze. Perdita została sama w przedsionku, gdzie po raz pierwszy zobaczyła Mary. Wyłupiastooka zakonnica o rumianej cerze dała jej szklankę syropu lipowego, dotknęła lekko jej dłoni i wymknęła się - nawet nie próbując zagadywać dziewczynki, o której i tak wiadomo było, że zacznie się jąkać w odpowiedzi. Zostawiono ją siedzącą na drewnianym krześle tak dużym, że bolały ją łydki gołych nóg, które majtały jak liny dzwonu, nie sięgając podłogi. Nad nią wciąż wisiał staroświecki krucyfiks; dziewczynka wyciągnęła szyję i stwierdziła, że teraz wygląda brzydko. Nie mogła znieść widoku lśniącego drewna, malowanej twarzy, rozciągniętego chudego ciała o widocznych żebrach, całej tej niedorzecznej, niewiarygodnej historii.

Perdita zaczęła sobie przypominać, jak wyglądała Mary; była wyższa od niej, miała długie ręce, które wyciągała przed siebie, dumna ze swych myśliwskich trofeów, a spała z podkurczonymi kolanami, zwinięta w swoim śnie. To w tym pomieszczeniu Mary pierwszy raz trzymała ją za rękę. Tu, gdzie bezwstydne światło ukazywało apatycznego Boga, pustkę życia, jego rozpad, potencjalną destrukcję każdej miłości.

Stella wróciła z siostrą Immaculatą i oznajmiła, że nie ma nowych wieści na temat Mary oprócz tego, co już wiedziały. Siostra Immaculata pochyliła się do przodu i ujęła jedną dłonią podbródek Perdity. Drugą rozdzieliła i odciągnęła powieki oka, które kiedyś było zainfekowane.

- Całkiem wyleczone - orzekła.

Zakonnica puściła twarz Perdity. Dorośli na tyle sobie pozwalali, uważali, że wszystko im wolno. Perdita nie mogła znieść, że obca dłoń może tak po prostu sięgnąć i przywłaszczyć sobie jej twarz; że jej matka pluje na chusteczkę, a potem odchyła jej głowę i wyciera twarz do czysta, szorstko, zdecydowanie. Że dorośli, bez pytania, podejmują wszystkie decyzje. Że roszczą sobie prawo do wypowiedzi w n a j w a ż n i e j s z y c h k w e s t i a c h . Była nieszczęśliwa, urażona. Być może teraz, ze swoją zniszczoną mową, już na zawsze zostanie przedmiotem, kimś, kogo chwyta się za twarz, zakładając, że nie ma nic ważnego do powiedzenia.

Perdita i Stella wracały do chałupki w milczeniu, amadyny ćwierkały na tylnym siedzeniu auta, wielka głowa Mussoliniego trzęsła się na zdjęciu w gazecie. Perdita przypominała sobie bez powodu zabłąkane słowo *duomo*. Nie mając pojęcia, co oznacza, schowała je w sobie jak zakopany skarb, z jego głęboką dźwięcznością i nieznanym znaczeniem.

12

O ósmej rano siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku Japończycy zbombardowali Pearl Harbor na Hawajach. Gazeta zamieściła efektowną fotografię: zatonięcie okrętu USS „Arizona”. Ponieważ został trafiony magazyn amunicji, okręt eksplodował kulą ognia i zatonął w pięć minut. W bulgoczącym kotle paliwa zginęło tysiąc trzysta osób. Na zdjęciu „Arizona” okryta dymem i płomieniami przechylała się w stronę nieba. Perdita przyjrzała się dokładnie fotografii, żeby zobaczyć ciała pływające w wodzie, ale żadnych nie znalazła; zdjęcie zostało zrobione ze zbyt daleka, jak informował podpis, z pokładu okrętu USS „Solace”. Było ziarniste i niewyraźne, co pasowało do takiego końca życia, jednak zbyt dramatycznie atrakcyjne, żeby nie opublikować go w gazecie codziennej. Musi być wiele takich fotografii wojennych, pomyślała, o zbyt wielkiej skali, żeby pokazać ludzkie cierpienie, małego człowieka, brutalnie namaszczonego, o skórze pokrytej pęcherzami od oparzeń, rzucanego przez wzburzone fale, na krawędzi utonięcia. Takie jest życie. Czasem śmierć ma świadków, czasem nie; czasem wstrząsana szlochom ofiara odchodzi niezauważona, czasem zamordowany człowiek pada na ziemię w obfitej kałuży krwi i nikt nie potrafi powiedzieć, co się naprawdę stało. Ta przytłaczająca świadomość tkwiła w Perdicie przez lata; nosiła ją w piersi jak cegłę. Słowo A r i z o n a zajęło miejsce obok słowa K i j ó w . Przynajmniej można było nadać rzeczom nazwy. Skoro nie ma świadków, może być choć kategoria.

*

Aby wypełnić pustkę, a może by walczyć z niewesołą świadomością swojej nieznośnej przemiany, Perdita chodziła na długie wycieczki z Horatiem. Był idealnym towarzyszem; jego podskakiwanie, węszenie i żywotność przynosiły ulgę po bezwładzie matki, posepnej i rozgadanej. Lubiła sposób, w jaki ją prowadził, z nosem przy ziemi, uszami nastawionymi i czujnymi. Jego trasa była nie prosta, tylko zawsze zygzakowata, z powodu nagłych, zwinnych zmian kierunku. Reagował czujnie na inne stworzenia i kierował się wewnętrznym instynktem, który znał sens świata i jego najdrobniejsze szczegóły. Co jakiś

czas zostawiał ją, żeby pogonić za jakąś jaszczurką, albo puszczał się pędem za inną niewidoczną atrakcją; ale zawsze wracał i zawsze doprowadzał ją do domu.

Bez Mary mniej było ciekawych rzeczy na świecie. Horatio biegał i podskakiwał, a ona wlokła się i powłóczyła nogami; próbowała „wychodzić” smutek po straconej przyjaciółce i żal nad sobą samą. Pragnęła ponad wszystko zabić węża, nie takiego domowego, który był łatwym i widocznym celem, ale znaleźć jakiegoś tutaj, wyciągnąć go z kryjówki, szybkim ruchem złamać mu kręgosłup i roztrzaskać głowę o kamień, dokładnie tak jak zrobiła to Mary. Ale choć szukała, nic nie znalazła. Była tylko jękającą się dziewczynką w spłowiałej bawełnianej sukience, dziewczynką z warkoczami, ze zbyt dużą ilością wolnego czasu. Zauważyła, że nie tylko jej wiedza, ale cały świat zmienia się w kamień. Niebo było z miki, przedmioty z marmuru, ssaki z minerałów, a wszystko ciężkie i przygniatające. Świat przechodził transformację.

Dzieci czasem cierpią z powodu samotności, takiej, o której dorośli nie mają bladego pojęcia: znają surowe odosobnienie, życie w cichej rozpacz. Teraz gdy jej dzieciństwo było zniszczone, do tego język nieudolny, a mowa pokraczna, Perdita wkroczyła na posępne terytorium prawdziwego osamotnienia. Znalazła jeden ze starych baobabów, który miał wydrążoną dużą dziuplę, i wcisnęła się do środka, zadowolona z ukrycia, wyobrażając sobie przez chwilę, że mogłaby tam zostać i nikt by jej nigdy nie znalazł, nigdy przenigdy. Wychudłaby tak jak Chrystus i po prostu zgasła, jako relikwiarz samej siebie, wymizerowana i święta. Wewnątrz drzewa śmierdziało zgniłym drewnem i starymi odchodami zwierzęcymi; nie było to idealne miejsce na koniec życia, jaki sobie wyobraziła. W takiej ciemności byłaby zmuszona stanąć twarzą w twarz z własnymi myślami, pamiętać i przeżyć od nowa to wszystko, co się wydarzyło. Perdita wydostała się z pnia baobabu, dojrzałe odcinając się od fantazji o samouniemożliwieniu, które zdarzają się nawet małym dzieciom. Podekscytowany Horatio skoczył do niej susami, z otwartym, oślinionym pyskiem, machając cienkim ogonem, jak gdyby właśnie wykonała jakąś sztuczkę lub wymyśliła nową zabawę. Porwała go w ramiona i przycisnęła twarz do jego futra.

Pewnego popołudnia, gdy wracając z wyczerpującej wycieczki, zbliżała się do domu, dobiegł ją głos Stelli zaangażowany w recytację. W miasteczku Perdita przypadkiem usłyszała, jak ktoś mówi „szalona pani Keene”, i natychmiast zrozumiała, że tak jest, potrzebny był tylko ktoś obcy, kto by rzecz nazwał po imieniu. Nazwisko zostało niedbale rzucone, gdy wychodziły od piekarza, nie żeby im dokuczyć, tylko w celu identyfikacji: „To jest szalona pani Keene, ta, której mężuś dostał w kark, wiesz, tam w buszu”. Przeżyła olśnienie - tak, to jest prawda. Mimo swojej izolacji i posiadania niewielu znajomych Perdita

wiedziała, że inne matki tak się nie zachowują, nie wyrzucają z siebie w furii słów sprzed czterech stuleci.

*Stępij pazury lwa. Czasie żarłoczny,
Ziemi każ pożreć kwiat potomstwa swego,
Rwij ostre zęby z szczęk tygrysa mrocznych,
Spal sędziwego Feniksa w krwi jego*.*

Perdita nie słyszała tego wcześniej - prawdopodobnie był to sonet - ale wiedziała, że w szaleństwie Stelli jest metoda. Niemal współczuła jej tej biegłej znajomości adekwatnych literackich opisów. Uświadomiła sobie, że Stella skazana jest na emocjonalne dodawanie splendoru sytuacjom i obłąkane wyolbrzymianie skądinąd zwykłych spraw. Jej parafrazowanie życia w kategoriach szekspirowskich oznaczało, że zawsze była nastawiona na pompatyczny styl; była wiecznie, nieznośnie, z namaszczeniem p o e t y c z n a. Gdy Perdita otworzyła drzwi, ujrzała matkę przyglądającą się bambusowej klatce, którą kupiła w mieście niecałe dwa tygodnie temu, zdjętą z haka i postawioną na stole. W klatce leżał zwinięty w spiralę wąż tygrysi. Wewnątrz długiego żółtawego cielska widać było dwa drżące guzy - trawione właśnie amadyny - co nie pozwoliło mu precyzyjnie się z powrotem przez pręty klatki. Gdy Perdita weszła do chałupki, Stella podniosła wzrok i zamilkła. Oczy miała spuchnięte i czerwone od płaczu. Patrząc na tę postawę zmartwienia i zawodu z powodu straty zwierzątek, można ją było wziąć za dziecko.

- Możesz coś zrobić? - zapytała cicho.

Perdita właśnie skończyła jedenaście lat, ale poczuła, że matka zwraca się do niej jak do dorosłej. Zawahała się, zastanawiając się, co począć. Potem poszła do skrzynki ojca z mizernym zestawem narzędzi i przyniosła młotek. Gdy otworzyła drzwi klatki, wąż ostrożnie wysunął głowę, a ona ją roztrzaskała, od razu, na stole kuchennym, nie jednym, ale trzema ciężkimi ciosami młotka. Cienka czaszka rozpląszczyła się, a jej zawartość wyszła na wierzch.

- Chryste - jęknęła Stella. Skrzywiła się na ten paskudny widok i nachyliła się bliżej, jakby chciała sprawdzić, czy wąż faktycznie nie żyje. - Dobra robota...

Nie było to polowanie ani gratulacje ze strony całej społeczności, która upiecze teraz węża w żarze ogniska; nie była to Mary, widząca, jak Perdita stała się dzielna i dorosła; to matka, poruszona niecodziennymi okolicznościami, wypowiedziała dwa spontaniczne słowa

* W. Szekspir, *Sonet XIX*, przeł. M. Słomczyński.

pochwały. Perdita poczuła niezwykłą dumę. Gdyby była pewna swego głosu, odpowiedziałaby jej coś, ale uznając, że najlepiej nie psuć tej chwili jękami, uśmiechnęła się tylko do matki i usunęła zmasakrowanego węża, którego głowa była teraz mokrą krwawą papką. Cisnęła go zamaszyście w busz, dla mrówek i wron, jakby wykonywała serw w tenisie.

*

Dwa miesiące po ataku na Pearl Harbor Stella postanowiła, razem z innymi rodzinami, że przeniosą się na południe, do Perth. Broome się wyludniało; japońskie rodziny przesiedlano i internowano; Perdita odkryła, że nawet Sis i jej dzieci zostały aresztowane i odesłane, jakby rodzina japońskiego poławiacza pereł stanowiła jakieś zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego. To strach dyktuje te brutalne odwetowe środki działania. Kreuje wewnętrznych wrogów, sylwetki potworów w gazetach. Rodziny Aborygenów zostały wysłane do odległych placówek i misji; północny zachód opustoszał w wyniku przewidywanej inwazji. Mówiono, że rząd jest gotowy stracić północ na rzecz Japończyków, aby móc odpowiednio bronić południa.

Był to okres bezkrólewia, pogłosek, panikarskich spekulacji i wierutnych kłamstw. Stella zrobiła się pobudzona, prawie codziennie mówiła o „Japończykach” albo „żółtkach” i ich przerażającej naturze. Przestała interesować się mapą Europy, ale coraz bardziej zajmowały ją strzałki w gazecie, wskazujące marszrutę Japończyków, którzy zapełniali swoimi Wschodzącymi Słońcami północ Australii.

Poniewczasie przyszedł list od Margaret, informujący o śmierci ich rodziny, dawno, dawno temu w grudniu tysiąc dziewięćset czterdziestego. Stella stała, trzymając list w drżących dłoniach, myśląc nie o ojcu ani matce, nie o siostrze Iris, ale o starej pani Whiticombe, z dłońmi jak patyki, z gasnącym głosem, z czaszką ciasno obciągniętą przezroczystą skórą, gdy jej dusza postanowiła odejść od ciała. Westchnęła, zmięła list i rzuciła na ziemię.

Gdy Perdita podniosła go później i rozprostowała papier, żeby przeczytać słowa Margaret, dotarło do niej tylko, że straciła dziadków i ciotkę. Że jej matka została osierocona.

Powinna była już wtedy dostrzec oznaki pogarszania się zdrowia psychicznego matki: rozterka, niezdecydowanie, rozkojarzenie, zaniedbanie higieny osobistej, spowolnione ruchy, paranoja. Ale dookoła panowało ogólne zamieszanie; trzeba się było pakować, organizować to i owo. Pani Trevor, widząc chyba niepewny stan Stelli, zapędziła do pomocy swoją służbę. Sama z Billym miała pojechać z nimi najpierw do Broome, potem wsiąść na rządowy statek,

przydzielony ewakuantom. Cały świat się przemieszczał, więc czemu nie oni? Przy migracjach całych populacji, przy konfiskatach domów, przeprowadzka dwóch rodzin była rzeczą nieistotną.

Gdy padł Singapur, w lutym tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego, planowane przesiedlenie stało się nagłą potrzebą. Pan Trevor, albo nieświadom wrażliwości Stelli, albo chcąc ją z prostą złośliwością zaszokować, zabawiał ją opowieściami o okrutnych torturach, ścinaniu głów na ulicach i gwałtach na Angielkach. Nie planował z nimi jechać; postanowił zostać i „bronić ojczyzny” - kolejny mężczyzna, który, jak Perdita uświadomiła sobie później, się nie zaciągnął, ale chciał tak czy inaczej udowodnić, że jego życie jest coś warte.

Stella słuchała historii pana Trevora jak sparaliżowana. W ciągu miesiąca od śmierci Nicholasa i zabrania Mary panowało odrętwienie; teraz nagle zrobił się wielki ruch, zamieszanie, mobilizacja i groźba konfrontacji z wojną światową. Nierówne sygnały ostrzegawcze rozdzierały niebo na każdym kroku. Niepokój uwidaczniał się na skórze i w tonie hałaśliwych głosów.

Perdita emocjonowała się perspektywą przeprowadzki do miasta; odwiedzi Mary, będzie jeździć autobusem i wreszcie, jak inne dziewczynki w jej wieku, chodzić do szkoły. Jednak jej wyobrażenie nowego miejsca zamieszkania było tak błędne, że niemal komiczne. Ponieważ skonstruowała je z kolażu obrazków, w większości dziewiętnastowiecznych rycin w książkach rodziców, wierzyła, że Miasto jest kamienne, monumentalne i wspaniałe, że to miejsce pełne alej, pomników i tryskających fontann, miejsce dostojne, zamożne, skąpane w ołowianym świetle. Ale gdy w końcu ujrzała Perth, była tak rozczarowana, że wybuchnęła płaczem. Po ulicach, owszem, jeździły tramwaje i stało tam parę imponujących hoteli, ale ogólnie było nudno i wcale nie monumentalnie.

Na razie jednak wciąż panowało zamieszanie związane z przeprowadzką. Billy dostał zadanie pomocy przy pakowaniu książek; okazał się chętnym pomocnikiem i kojącym towarzystwem. Perdita wyraźnie widziała, że czerpie przyjemność z układania książek w stosiki, związywania sznurkiem tomów o tym samym rozmiarze, układania ich geometrycznie w starych skrzyniach po herbacie, wyłożonych pachnącą cynfolią. Perdita patrzyła, jak następuje demontaż świata, który znała od dziecka; sterty książek stopniowo się zmniejszały, meble, ponieważ było ich tak niewiele, zniknęły w jeden dzień, naczynia kuchenne i poprzecierana pościel zostały spakowane bardzo szybko. To nie był dom, który kiedykolwiek remontowano, o który kiedykolwiek się troszczono. Jego wyposażeniem kierował praktycyzm, co teraz pozwoliło na szybką likwidację. Gdy przyszło do sortowania ubrań,

Stella upierała się, że powinny wziąć tylko to, co zmieści się do dwóch starych walizek - skórzanych z paskami (jedna z monogramem „NK”) - które ona i Nicholas przywieźli ze sobą, w innym czasie, w czasie teraz niewyobrażalnym, z dalekiej Anglii.

Perdita uznała te inicjały za niejasne oskarżenie. Nie mogła patrzeć na litery „NK”. Jakoś nie mogła tego znieść. Nie mogła myśleć o tym, co zostało z niegdyś żywego człowieka.

Dzień odjazdu był typowy - jasny i upalny. Żadnego pamiętnego zjawiska atmosferycznego, żadnego dziwnego widoku, który pozostawiłby wspomnienie, w przyszłości mogące przypominać z precyzją moment odjazdu. Kufry z książkami zostały wysłane wcześniej, a Stella i Perdita spędziły ostatnią noc u Trevorów, więc pożegnanie absolutnie nie było pamiętne. Billy i Perdita usiedli na skrzyni ciężarówki pana Trevora wśród bagażu i przygotowali się na wyboistą podróż.

Perdita nie wiedziała jeszcze, jak bardzo zagubiona będzie się czuła; że nic nigdy nie może zastąpić miejsc, w których spędziło się dzieciństwo i przeżyło tyle podniecających, intensywnych, gorących przygód. Nie istnieją żadne substytuty. Nie ma żadnych sprytnych wynalazków, które czynią emigrację wydarzeniem choć trochę mniej ostatecznym. Ukłękła na walizce ojca, położyła łokcie na dachu szoferki i, spoglądając w przyszłość, pozwalała, aby gorący wiatr rozwiewał jej włosy. Billy też patrzył w przód. On także zabierał ze sobą coś, co było ukryte i niewysłowione; on też później miał cierpieć od obsesyjnych wspomnień. Delikatnie objął Perdite prawym ramieniem - miał już ponad dwadzieścia lat i wygląd mężczyzny, choć był wciąż chłopięcy w zachowaniu - a ona wsparła się na nim z wdzięcznością, świadoma jego milczącej opieki.

*

Całe życie o tym rozmyślałam, o tym momencie schyłku. Może dlatego, że odjazdy są trudne, kusi nas, by upraszczać ich opis, jakby były odcinkami powieści, zgrabnymi i symbolicznymi. Ludzie opowiadają o dzieciństwie z przyjemnością, ale też sprytnie zatajają momenty przykre, i wtedy nasze doświadczenie zaczyna określać to, co przemilczane. W najgłębszych zakamarkach pamięci najcięższy osad to paradoksalnie ten wytworzony przez utratę czegoś. Meandry naszej osobowości zawierają niedostrzeżone wędrowki, pielgrzymki w przeszłość, do tych wymazanych przestrzeni, tych dziwnie, nieuchwytnie atrakcyjnych miejsc. Pragnęłam mieć wspomnienie „ostatniego spojrzenia”, aby móc odesłać chałupkę, śmierć ojca i moje życie z Mary w zamkniętą przeszłość. Przed czym chciałam ją zabezpieczyć? Przed prześladowaniem mnie.

Z jakiejś przyczyny, której nikt nie potrafił dociec, statek z Perth miał mieć cztery dni opóźnienia. Choć Perdita marzyła o tym, żeby znowu zatrzymać się w hotelu Continental, pani Trevor zorganizowała jej i Stelli nocleg w klasztorze.

- Nie jest z nią dobrze - usłyszała przypadkiem Perdita.

Dźwigając walizki, zostały wprowadzone do jakiegoś pobożnego pomieszczenia, wąskiej surowej izby z pojedynczym łóżkiem, krucyfiksem, i wysokim kwadratowym oknem. Jedna z sióstr, podobno z własnej woli, odstąpiła celę gościom. Do dyspozycji były też płócienne nosze, na razie związane sznurem, tak że Perdita mogła spać obok matki. Położyły walizki na łóżku i spojrzały na siebie. Stella chyba miała gorączkę. Jej twarz błyszczała od potu, wilgotne włosy lepiły się do czoła i miała dziki, rozgorączkowany wzrok. Przywołała Perditę gestem i nachyliła się do niej blisko, jakby chciała coś wyznać.

- Jak przyjdą Japonce - szepnęła - powinniśmy się zabić, szybko, nie dać się wziąć żywcem.

Perdita cofnęła się, zaszokowana tymi słowami. Jej matka była naprawdę chora; była zakażona makabrycznymi wizjami o tragicznych skutkach, z domieszką strachu od okropnych opowieści pana Trevora. Gdyby nie współczuła matce i nie wiedziała, że to choroba, mogłaby się jej przestraszyć.

Do jadalni na kolację wezwał je dzwonek. Sióstr w klasztorze wcześniej było osiem, ale zostało tylko pięć, jeszcze do ewakuacji. Zakonnice weszły gęsiego, z głowami lekko spuszczone, a gdy przechodziły obok Perdity, słyszała szelest ich szarych krochmalonych habitów. Doszła do wniosku, że niektóre kobiety nie mogą poruszać się bezszelestnie; nigdy nie zapomni tego szmeru w powietrzu, lekkiej kompresji podobnej do westchnienia, gdy rozpostarły spódnice, by usiąść, i gwaru, który wybuchł, gdy udzielono im pozwolenia na rozmowę. Perdita ujęła dłoń swojej osłabionej i zalęknionej matki i poprowadziła ją w stronę dwóch krzeseł przy masywnym stole. Jakaś młoda zakonnica o twarzy dziecka pokazała gestem Perdicie, żeby usiadła koło niej. Gdy usiadła, zakonnica położyła małą czarną dłoń na jej przegubie.

- Masz pozdrowienia od Mary - powiedziała tak cicho, jakby ujawniała zakazaną informację.

Nazywała się siostra Perpetua. Mary pisała do niej. Perdita była zmartwiona odkryciem tego nieznanego powiązania, zwłaszcza że sama nigdy nie dostała listu od Mary. Zajrzała w ciemne oczy zakonnicy i poczuła zarówno ukłucie zazdrości, jak i ulgę.

- Co się dzieje? - zapytała wyraźnie, bez śladu jękania. - Co się dzieje z Mary?

Ale zanim siostra Perpetua zdołała odpowiedzieć, matka przełożona, tęga kobieta, stosownie do swej funkcji siedząca u szczytu stołu, zadysponowała modlitwą. Zakonnice natychmiast umilkły i przyknęły oczy do modlitwy przed posiłkiem. Perdita miała oczy otwarte i widziała, że Stella też; uśmiechała się z heretycką infantylnością. Mimo wszystko jednak wyglądała na wynędzniałą i przestraszoną. Na stołach stały flakoniki z kwiatami, których Perdita nie potrafiła zidentyfikować - odcinały się fuksjowym różem na tle białego bawełnianego obrusa. Nie przyszło jej do głowy, że w klasztorze mogą być kwiaty. Ten detal poruszył ją, jako przeniesienie tęsknoty za pięknem, swoisty przejaw zmysłowości. Pomyślała też, że pierwszy raz w życiu siedzi przy stole jadalnym ozdobionym kwiatami. Zaczynała odkrywać swoje braki.

Gdy znowu można było się odezwać, Perdita dowiedziała się, że jej sąsiadka była z Mary w sierocińcu.

- Byłyśmy jak siostry - stwierdziła.

Perdita poczuła się dotknięta. Rozmowa przestała się kleić. A im więcej informacji chciała poznać Perdita, tym bardziej przeszkadzało jej jękanie. Mary przebywała w jakimś domu poprawczym dla dziewcząt, gdzie trzymano ją przeważnie w odosobnieniu i nie pozwalano na swobodę. Wedle słów zakonnicy głównymi zajęciami Mary było czytanie i pisanie. Te informacje wydawały się skąpe i nędzne. Perdita zdobyła jedynie pewność, że nie było żadnej lampy w kształcie gwiazdy; nie było mowy o rekompensującej stratę fantazji o świętości i godności. Tęskniła za Mary w sposób, którego nie potrafiłaby w najmniejszym stopniu wyrazić. Gardło jej się ścisnęło; oczy zaczęły wilgotnieć. Różowe płatki nieznanego kwiatu wydawały się lekko drżeć.

Posiłek składał się z kotletów, tłuczonych ziemniaków i miseczki brzoskwiń z puszki na deser. Perdita stwierdziła, że ma straszny apetyt, co przypisywała zawsze emocjom związanym z wstrząsami życiowymi. Jadła szybko, a gdy skończyła, okazało się, że nadal jest głodna; czuła się jednak zbyt speszona w towarzystwie tych uprzejmych, wyjątkowo dobrze wychowanych kobiet, aby poprosić o więcej. Poza tym i tak by się pewnie zaczęła jąkać. Nie byłaby w stanie dokończyć zdania i przyniosłaby tylko wstyd matce. Obok niej Stella powoli

siorbała syrop z brzoskwiń. Perdita odłożyła łyżeczkę na środek miseczki. Rozejrzała się dookoła. Nikt jeszcze nie skończył jeść. Nieszczęśliwa, zapatrzyła się w swoje kolana i czekała, aż kolacja dobiegnie końca.

Gdy wróciły do swojego pokoiku i rozłożyły płócienne nosze, między posłaniami nie było już miejsca, aby stanąć czy przejść, więc Stella i Perdita znalazły się tak blisko siebie, jak nigdy wcześniej. Leżały tuż obok, na tyle blisko, by móc szeptać w ciemności, by dodać sobie nawzajem otuchy i odnaleźć w otchłani nocy jakiś neutralny grunt, na którym mogłyby się spotkać.

- Co z nami będzie? - zapytała Stella, nie oczekując odpowiedzi.

Zapadła cisza. Perdita spodziewała się, że przerwie ją recytacja jakiegoś fragmentu z Szekspira. Niech to już nastąpi, jak najszybciej, pomyślała. Powieki miała ciężkie; ciało domagało się snu. Matka bywała uciążliwa ze swoimi obsesjami, gdy usiłowało się zasnąć albo przemyśleć coś pod koniec długiego dnia. Jednak zamiast recytować Stella zaczęła opowiadać o swojej siostrze Margaret. Przypomniała sobie, jak pewnej zimy chuchały sobie nawzajem na dłonie bez rękawiczek, trzymając je blisko przy ustach, tak jak te zakonnice tutaj, w swoich bezsensownych modlitwach. Ona i Margaret trzęsły się z zimna, zęby im szczykały, a ciała były sztywne i zmarznięte, jednak zostały na zewnątrz, przed biblioteką, i chuchały, i chuchały, aż zabrakło im tchu w tym mroźnym powietrzu i obie wybuchnęły histerycznym śmiechem. Dwaj chłopcy, którzy przechodzili, zawołali do nich i rzucali w nie śniegiem tylko dlatego, że byli zazdrośni i małostkowi, i dlatego, że w ich życiu brakowało Szekspira. Margaret miała wiśniowy szalik, który, jak żartowała, idealnie pasował kolorem do jej nosa. Margaret była jedyną osobą w życiu Stelli, która ją kiedykolwiek kochała.

W ciemności, leżąc na niewygodnych noszach, które skrzypiały przy każdym jej ruchu, Perdita poczuła gwałtowną potrzebę, by zaprotestować. Próbowana sformułować zdanie, które wyraziłoby to, co teraz czuła: czułość tak wielką, że musiała wynikać z miłości. Jednak jej usta powstrzymały słowa, pokaleczyły i zniszczyły, tak że to, co z nich wyszło, było serią pojedynczych spółgłosek, szarpiących się do przodu jak koło zębate i niewykończonych.

- Śpij już - przerwała cicho Stella. Zabrzmiało to niemal czule.

Perdita słyszała wzmagający się wiatr od morza, a w oddali warkot przelatującego w górze samolotu. Gdzieś w drewnianym budynku słychać było kroki jednej z zakonnice. I słyszała, jak zaczynają się budzić jej własne mroczne lęki: że jak u jakiejś postaci z bajki jej mowa będzie przeklęta na wieki; że będzie szła przez życie całkowicie niesprawna, że nigdy nie będzie w stanie wyrazić jednej spójnej myśli.

*

Drugiego dnia ich pobytu w klasztorze siostra Perpetua dała Perdicie książkę; były to *Żywoty świętych*. Perdita otworzyła ją i zobaczyła z maleńkim błyskiem radości odręczne niezgrabne bazgroły pod bibułą: Annie McCaughie, Shenton Park, Perth, Australia. Książka została „skonfiskowana”, gdy Mary usunięto z klasztoru po tym, jak się dowiedziała, że zmarła jej matka. Wyglądała dokładnie tak, jak opisywała ją Mary. Były tam błyszczące ilustracje w staromodnych barwach i pełne godności obrazy świętych, zbliżających się do swojego świątobliwego końca - z dłońmi splecionymi, oczami zwróconymi ku niebu. Mieli na sobie barwne szaty i wszyscy jak jeden mąż byli młodzi i piękni.

Z proroczym entuzjazmem, który wykazuje większość czytających dzieci, Perdita otworzyła książkę na chybił trafił, wierząc, że może odkryć sekrety jedynie koncentracją umysłu. Za pierwszą próbą została nagrodzona: otworzyła na Małgorzacie z Antiochii Pizydyjskiej. Zadowolona, że nie tylko odkryła przypadkowo, że jej angielska ciotka ma świętą patronkę, przeczytała, że Małgorzata była kobietą słynną z uwięzień różnego rodzaju. Dziewica wyjątkowej cnoty, jak można się spodziewać, była poddawana torturom za wierność chrześcijaństwu, aż wreszcie została ścięta. Z miejsc jej uwięzienia najbardziej niezwykle było wnętrze brzucha smoka. Według legendy trzymała w dłoni mały drewniany krzyżyk, który tak łaskotał wnętrzności smoka, że ten ją wypluł. Dlatego często przedstawia się ją jak poskramia smoka i jest patronką porodów.

Perdita uznała, że to jest historia Mary. Musi znosić uwięzienie, ale ona także zostanie uwolniona. W kontekście wszystkiego, co się wydarzyło, jej przypadkowe odkrycia miały sens. Tam, gdzie brak wiary, istnieje zabobon; gdzie nie wypowiada się słów, są historie na piśmie.

Perdita wzięła książkę Mary i usiadła na podłodze pod ścianą z kolanami podciągniętymi pod brodę. Nad nią wisiał obraz w ramach z muszelek kauri, przedstawiający dobrotliwego olbrzyma trzymającego na ramieniu dziecko. Perdita miała zamiar przeczytać książkę, a potem zwrócić ją prawowitej właścicielce. A czytanie, jak twierdziła Mary, nierozzerwalnie je złączy. To jak poddanie się czemuś tak intymnemu jak pocałunek. Niedostrzegalna więź i inspirujące objawienia.

Wejście w posiadanie tej książki zmniejszyło niepokój Perdity. Podobnie jak tamtego dnia, gdy pomachała do niej Sis, znowu była świadkiem pewnego powrotu. Życie mogło się zawalić, jednak książki, pewne twarze, pozostawały niezawodne. Białe ściany klasztoru zamknęły się wokół niej opiekuńczo. Stella poszła gdzieś z panią Trevor. Okazało się, że

zakonnice mają jakieś zajęcia, choć Perdita nie mogła odgadnąć jakie. Została sama z książką Mary, niegdyś książką Annie McCaughie, *Żywoty świętych*. Otoczyła ją bezpieczna przyjemna samotność. W słodkim, ciepłym powietrzu unosiły się śpiewne głosy, od czasu do czasu dał się słyszeć jakiś hałas z zewnątrz, trzaśnięcie drzwiami, skrzeczenie papugi, chrzęst kół samochodu na żwirze. Nic, co mogłoby zakłócić spokojny azyl świata książki.

*

Widziane inaczej: w pokoju znajduje się Stella. Wtedy, gdy to się stało. Ten widok wciąż powraca, nerwowy, zmienny, pełen napięcia od abstrakcji traumy i roztrzaskiwania się czasu, jej postać kurczy się i rozdyma obok stert książek leżących w kącie. Gdy serce kołacze. Gdy usta otwierają się i zamykają, a język brnie wśród okrutnych przeszkód.

Popołudnie. Bezlitosny upał. Ptaki zamilkły, pies głośno dyszy; jego parchate boki wciśnięte są w płamę cienia tuż przed drzwiami. Tak wiele zależy od szczegółów, niewyraźnych z punktu widzenia medycyny sądowej, i wątpliwej pamięci dziecka. Napływają dręczące alternatywy. Wizja, która nie chce wypłynąć na powierzchnię, dyskusyjna sekwencja wydarzeń, destrukcja wywoływana przez każdy brutalny czyn: wszystko to atakuje Perditę za każdym razem, gdy zaczyna o tym myśleć. (*Co się wydarzyło? Zapytał policjant. Powiedz nam tylko, co tu się wydarzyło*).

Gdy Nicholas upada, z nożem wciąż tkwiącym w karku - gwałtownie zdobywając wiedzę o tym, *co się wydarzyło*, że jest już skazany i umrze, haniebnie rozplaszczony twarzą do ziemi - Stella jest już, na pewno, obecna w pokoju. Stoi tam, tak, spokojnie recytuje *Makbeta*. Nie ma momentu bardziej szalonego niż ten, nie ma nic mniej prawdopodobnego. Perdita widzi, jak włosy matki lecą w przód niczym naelektryzowane, że ma ona kamienne spojrzenie i determinację na twarzy. Jej głos jest donośny; występuje na prywatnej scenie.

*Slabeusz! Daj mi te sztylety. W śpiących
Czy w zmarłych - tyle grozy, co w obrazku;
Malowanego diabła tylko dzieci
Mogą się strachać. Jeśli on wciąż krwawi,
Gęby pacholków przyozdobię takim
Rumieńcem winy, że już to ich zgubi*.*

Cholerny Szekspir. Kto by uwierzył, że żona recytuje, gdy jej mąż wykrwawia się na

* W. Szekspir, *Makbet*, Akt II Scena II, przeł. S. Barańczak.

śmierć, że ona przerabia ten nieprzytomny moment, ten marnotrawny rozlew krwi, na wyszukany, pretensjonalny monolog? Ubarwia rzeczywistość, bo mord jest znany i swojski. Krwiożerczy Szekspir. Słowa barwy krwi. Jest jej więcej niż można by się spodziewać. Tryska z rany żywą fontanną. Rozlewa się jak to śmierć, złowieszcza i niepowstrzymana. Pies skomli cienko i drapie w drzwi. Dwie dziewczynki płaczą. Twarz Nicholasa jest ceglastoczerwona, potem robi się biała, potem w sine cętki. Umierając, nie wypowiada żadnych słów. Jego naczynie się wylało. Nie czuć jeszcze smutku, jest tylko szok i nieznośne pytania, które przyjdą później.

Perdita jest oślepią łzami i zdruzgotana. Nagle też czuje się śpiąca; jej członki stają się coraz cięższe; ma ochotę się gdzieś zapaść, powoli wyswobodzić, zasnąć, może nawet śnić. Czuje się tak, jakby przez oczy wpłynęła jej do głowy chmura zasnuwająca umysł, a ona usilnie stara się widzieć, myśleć i czuć. Stoi wyprostowana, może podtrzymuje Mary, może jest podtrzymywana, ale pragnie tylko zapaść się w nicość znużenia i zapomnienia. Perdita patrzy na matkę, a matka odpowiada jej spojrzeniem. Stella, nagle skrepowana, przerywa deklamację. Kończy i się kłania.

W tym zamglonym momencie Perdita widzi, jak matka zbiera fałdy spódnicy, z gracją krzyżuje nogi i pochyla się nisko, w błagalnym geście, przed swą maleńką widownią. Z tyłu za nią przez otwarte okno wpływa bryza, unosząc końce spłowiałych żółtych firanek. Mapa Europy, pokryta pajakami, także marszczy się i unosi.

W miasteczku Broome wszystko uległo spowolnieniu oprócz napływu wysiedleńców. Po internowaniu pięciuset japońskich poławiaczy perel i ich rodzin zrobiło się spokojnie; poławianie perel popadło w zapomnienie. Lugry zostały zniszczone lub odholowane na południe, w obliczu przewidywanej inwazji. Niektóre budynki stały porzucone lub ograbione. Ale gdy ludzie zaczęli wypływać z Broome, udając się do misji i obozów, wsiadając na statki płynące na południe, przez miasto przechodziła inna ludność.

Ponieważ Broome było punktem uzupełniania paliwa po drodze do bezpieczniejszych miejsc, można tu było spotkać amerykański personel usługowy z Filipin, bogatych biznesmenów z Azji, pojedyncze rodziny, jak Perdity, a także holenderskich uchodźców z Jawy. Mnóstwo Holendrów przybywało w hydroplanach każdej nocy. Cataliny, dornierki i empire'y spoczywały w Roebuck Bay, pół mili od brzegu, aby uniknąć kapryśnego odpływu, który mógłby je zostawić zaryte w błocie, przekrzywione i bezużyteczne.

Do Broome było stamtąd daleko, więc większość kobiet, dzieci i osób starszych została na pokładzie, czekając na zatankowanie i kontynuację podróży. Mężczyźni przyszedli do miasteczka, wałęsali się po ulicach, wyglądając na zagubionych, zastanawiali się, co to za miejsce, jednocześnie tak pełne i tak puste. W nocy niebo dudniło od samolotów wypełnionych po brzegi niespokojnymi ludźmi. Ich warkot przywodził na myśl przemijanie, zawieszenie, pragnienie bezpiecznej przystani.

Perdita zbudziła się, by popatrzeć, jak lecą; przypominały brzuchate ptaki, niemożliwie ciężkie, schodzące skosem w dół, aby wylądować z pluskiem na oceanie. Ich potężne śmigła błyszczały srebrzyście w świetle księżyca. Bez dwóch zdań, wyglądało na to, że cały świat się przemieszcza - nocne przemarsze wojsk, przymusowe deportacje, kolumny bezdomnych ludzi, pchających wózki ręczne, mężczyźni ciągnący dziecko, matkę. Nawet zakonnice z klasztoru planowały się rozproszyć: trzy kolejne odjeżdżały rano do misji w Beagle Bay, wśród nich siostra Perpetua.

Po obserwacji lądowania hydroplanów Perdita wracała do łóżka i leżała bezsennie, słuchając niespokojnego snu matki. W jej części świata było ciemno, więc w Niemczech

musiało być jasno. Być może Adolf Hitler w tej właśnie chwili spożywa jajko na miękko, siedząc na żelaznym stołku, ze srebrną łyżeczką w jednej ręce i solniczką w drugiej. Perdita uzmysłowiła sobie, że nie zna żadnego innego Niemca, ani jednego, ani jednej twarzy, ani nazwiska. Taka jest wojna, uznała. Są symboliczni przywódcy - wyniośli, apodyktyczni, dalecy - którzy muszą przecież jednak jeść i się wypróżniać, i kłaść się wieczorem, żeby się wyspać, i są też zwykli ludzie, zbiorowy wróg, szkopy, makaroniarze, i, o wiele bliżej, żółtki. To ta niekonkretność twarzy tak ułatwiała zabijanie.

Perdicie przyszło do głowy po raz pierwszy pytanie, czy ona i jej matka zginą na wojnie. Widziała w miasteczku niewielki kontyngent wojskowy: rozluźnieni żołnierze siedzieli leniwie na schodkach, dzielili się papierosami, niewprawnie grali w karty i nie wzbudzali ani trochę zaufania, a ona wiedziała, że kropki Wschodzących Słońc rozprzestrzeniają się coraz dalej na południe; teraz zapełniały na mapie Nową Gwineę, jak papierowa odra. Stella jęczała we śnie, obracała się i rzucała, kręciła głową, wolno poruszała kończynami, jakby brnęła w zbiorniku pełnym głębokiej wody. Perdicie zaczynało się udzielać katastroficzne usposobienie matki. Nadejdą kolejne ciężkie próby, tego była pewna. Z gardła matki wydobyło się coś na kształt szloch. Perdita przycisnęła twarz do poduszki i zastanawiała się, co jej się śni.

*

W ciągu tych kilku dni spędzonych w mieście, które nieproporcjonalnie rozciągnęły się w jej pamięci, podobnie jak większość dzieci pamięta jakąś niezwykłą wizytę albo przyjęcie urodzinowe, Perdita zobaczyła, jak słabe są więzi społeczne wśród ludzi zdjętych paniką. Była świadkiem przepychanki między dwoma żołnierzami przed sklepem Streetera i Male'a, ciśnięcia kamienia w szybę, którego trzask sprawił, że aż podskoczyła ze strachu, i nieuzasadnionego pobicia starego Chińczyka na ulicy.

Gdy włącząc się, przechodziła obok popiersia Williama Dampiera - pomnika ku czci angielskiego pirata, który przybił do zatoki na początku siedemnastego wieku - wiedziała z inteligencją osoby dorosłej, że bohaterowie historyczni, niegdyś w centrum zainteresowania, szybko popadają w zapomnienie. Miała świadomość, że decyzji, by upamiętnić tego jegomościa, mogła towarzyszyć zwykła głupota. Zobaczyła, że idzie za nią jakiś pies, zaniedbane, kulejące stworzenie, którego nędznym losem Perdita normalnie by się przejęła, jednak teraz zaczęła rzucać w niego kamieniami, żeby zawrócił, i poczuła małą niemoralną satysfakcję, gdy wreszcie chyłkiem się oddalił. Horatia trzeba było zostawić z panem Trevorem i Perdita uświadomiła sobie, jak bardzo tęskni za własnym psem, teraz, gdy

wszystko stopniowo się rozpada.

Wieczorem było cudowne pomarańczowe światło. W chwili wytchnienia Perdita i Stella usiadły na zewnątrz z dwiema pozostałymi zakonnice i matką przełożoną, popijając syrop owocowy. Nie rozmawiały o wojnie, ale o pogodzie i ogródku klasztornym. Jedna z sióstr była szczególnie dumna ze swego zagonu warzywnego. Potem matka przełożona zmieniła temat i zapytała Perditę o jej wiarę, a gdy ta odparła, że nie ma żadnej, zaczęła indagować matkę o zaniedbanie duszy córki. Stella spojrzała z ukosa na Perditę i na moment połączyło je uczucie irytacji. Perdita spojrzała w górę na niebo i ujrzała kłęby chmur, ciemniejące, pomarańczowoczerwone, błędzące długimi wstęgami, ciągnące się aż do Japonii.

Gdy jej uwaga powróciła do rozmowy, Stella właśnie oznajmiała:

- Moją religią jest Szekspir. U niego są odpowiedzi na wszystkie najważniejsze pytania.

Matka przełożona wyglądała na zgorszona. Jej niebieskie oczy zrobiły się wielkie.

- Tu nie chodzi o literaturę - zareplikowała. - Tylko o nieśmiertelność duszy.

- Właśnie - Stella nie była zbita z tropu.

Jednak matka przełożona nie ustępowała. Pochyliła swoje wielkie ciało w kierunku Perdity i zapytała:

- Ile masz lat, dziecko?

- Jedenaście - odpowiedziała za nią Stella.

Perdita wiedziała wtedy, że we wszystkich negocjacjach między nimi Stella zawsze będzie miała pierwszeństwo, jeśli chodzi o mowę. Już wcześniej często czuła się malutka w obecności matki - wprawiana w zakłopotanie jednym z jej szekspirowskich cytatów, udręczona przez jej zasady i nieustanne napomnienia („nie mrugaj tak oczami”, „siedź prosto”), zamykająca się w sobie w towarzystwie tak głośnej, tak werbalnie ekspresyjnej kobiety. Były jednak też długie godziny lekcji, podczas których omawiały świat i jego sprawy, kiedy każdy temat był wspaniały i nadawał się do dyskusji. Chociaż Perdita zawsze marzyła o tym, żeby chodzić do szkoły, uwielbiała też idiosynkratyczne lekcje swojej matki, sposób, w jaki wyjaśniała ona zawiłe szczegóły, jej niefrasobliwie rozwlekłe tłumaczenia, wulkaniczne wylewy nadmiaru osobliwej wiedzy.

Perdita zobaczyła, że Stella przysuwa do siebie mały stolik, wyciąga z kieszeni talię kart i, ignorując towarzystwo, zaczyna układać pasjansa. To był jej sposób kończenia rozmowy. Perdita patrzyła, jak matka tasuje i przekłada karty i rozdaje sama sobie; potem pojawiły się kolory, tworząc kolumny o niezrozumiałej, efemerycznej wartości. Dłonie Stelli poruszały się szybko; nie oderwała wzroku od kart, gdy matka przełożona odsunęła krzesło,

wymamrotała coś i odeszła. Potem oddaliły się także, uśmiechając się nieśmiało, dwie młode zakonnice. Perdita została, obserwując, jak matka cyzeluje układ scalony swojej gry. Uporządkowany wewnętrzny system pasjansa był poniekąd krzepiący.

Gdy został ułożony, Stella powiedziała:

- Proszę! - i podniosła głowę, by uśmiechnąć się do Perdity. Córka odwzajemniła uśmiech. Czowała się dumna z matki, mimo świadomości, że ta obraziła ich gospodynię, okazała się uparta i nieuprzejma.

*

Rankiem trzeciego marca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Perdita w tajemnicy poszła sama nad zatokę. Chciała sprawdzić, czy potrafi się włamać do sortowni i ukraść muszle z perłami, jedną dla siebie i jedną dla Mary. Skoro przemysł poławiania pereł został zlikwidowany, rozumowała, że nikt nie zauważy braku dwóch muszelek. Szczególnie pociągała ją macica perłowa. Miała w sobie piękno, które Perdicie kojarzyło się ze światłem: blaskiem chmur w świetle księżyca, mieniących się od spodu od jego promieni, dziwną opalizacją na brzuchu ryb, błyszczącą nicią wplecioną w obrąbek hiszpańskiej chusty matki.

Idąc przez uspione ulice, przeszła przez drogę prowadzącą na plażę i skierowała się ku wodzie. Jeśli odczuwała jakikolwiek niepokój, to nie z powodu planowanego przestępstwa, tylko zmartwienia, gdzie schować muszlę po powrocie, tak, żeby matka jej nie znalazła. Jakiś samolot przeleciał wysoko nad jej głową, zakręcił, a potem okrążył granice miasteczka. Gdyby Perdita spojrzała w górę, zobaczyłaby, że był obcy. Ten, który przeleciał jej nad głową o ósmej rano, to był japoński myśliwiec mitsubishi „Zero”. Trochę później, o dziewiątej piętnaście, dziewięć takich miało przeczesać niebo, spuszczając strumienie przeszywających kul.

Na razie jednak było spokojnie, a szopy stały opuszczone. Perdita obeszła dookoła zardzewiałe blaszane ścianki dwóch największych i zobaczyła, ku swemu zdumieniu, że do obu jest dostęp. Na jednej z nich wisiała kłódka i łańcuch, ale kłódka była otwarta; łańcuch na drugiej szopie był po prostu zaczepiony o haczyk. Najciszej jak umiała, Perdita zdjęła go i weszła do środka. Pachniało tam oceanem, słono i pikantnie. Światło poranka wlewało się przez wysokie okratowane okno. Większość muszli sprzątnięto, ale pozostał niewielki stosik zepchnięty pod ścianę. Z niego to Perdita wybrała dwa najbardziej imponujące okazy. Z zewnątrz były chropowate, ale wewnętrzna macica perłowa była piękna. Jedna muszla miała perłowy pęcherzyk: zatrzyma ją dla siebie. Perdita złożyła je razem, jakby były dwiema częściami jednej muszli. Prawie pasowały.

Myślała o Mary, myślała w niekonkretny, oparty na przypuszczeniach sposób o tym, co może powiedzieć, wręczając jej prezent, gdy nagle usłyszała za drzwiami słaby dźwięk innego intruza. Perdita natychmiast poczuła się winna i przestraszyła się, że ją nakryją. Nie odłożyła muszli na miejsce, ale podkraśla się do szpary w drzwiach i, uważając, żeby nie brzęknąć łańcuchem, pchnęła je delikatnie, by zobaczyć, kto to. To był ten zaniedbany pies, w którego wcześniej rzucała kamieniami. Popatrzył na nią bojaźliwie i błagalnie, machając ogonem lekko, pytająco. Perdita się zawahała, ale schyliła się, by go objąć. Jego sierść była tłusta i trochę śmierdziała, ale ona ścisnęła kurczowo jego wychudłe ciało, jakby to wrócił Horatio.

Nie umiałaby powiedzieć, jak długo została na plaży, ale była tam, gdy nadleciały japońskie samoloty. Najpierw usłyszała ich mechaniczne buczenie, głuche i złowieszcze, a potem nagle zobaczyła je ustawione w szyku na niebie. Przez moment miała wrażenie nierzeczywistości, widząc je, maleńkie i zawieszane w powietrzu, po chwili usłyszała strzelanie, gdy siedem myśliwców przeleciało wprost nad jej głową. Rozdzieliły się, dwa skierowały się na lotnisko, pozostałe krążyły z zamiarem zniszczenia hydroplanów osiadłych w zatoce. Rozległ się huk gęstego ostrzału i krzyk z oddali.

Hydroplany były niewidoczne z daleka, jednak Perdita była przekonana, że słyszy ludzkie głosy niesione wiatrem, pędzone przerażeniem. Doszedł do niej dźwięk eksplozji i zobaczyła dym unoszący się czarnymi kłęбами nad wodą. Z tyłu dobiegał krzyk mężczyzn, uruchamiających dzipy i biegnących po broń, a z oddali huk samolotów eksplodujących na płycie lotniska.

Nalot trwał godzinę. Szesnaście holenderskich samolotów z uchodźcami zostało zatopionych w zatoce, a sześć wojskowych zniszczono na lotnisku. Z japońskich myśliwców zestrzelony został jeden; poleciał w dal, w płomieniach, potem runął do oceanu.

Historia zapisała to, czego Perdita nie zdołała dostrzec z brzegu: że uchodźcy z hydroplanów zginęli, skacząc do wody, albo zostali spaleni żywcem w eksplodujących samolotach. Zarejestrowała bezładne, pozbawione godności przepychanki, pełen bólu chaos i potworne cierpienie. Zginęło około setki ludzi. Później wykopano masowy grób dla tych, których nazwiska i twarze tak szybko zostały zatarte, którzy teraz byli tylko zwęglonymi lub okaleczonymi ciałami, po prostu „Holendrami”.

Gdy Perdicie udało się wrócić do klasztoru, z muszlami ścisnianymi w garści, matka, widząc, że jest cała i zdrowa, zaczęła płakać. Bezpański pies uciekł, gdy na niebie zaryczyły samoloty, więc znowu były tylko ona i Stella, kurczowo uczeplone siebie, choć raz zadowolone, że mają siebie żywe, i zastanawiające się, co u licha będzie dalej. Perdita

spodziewała się bury, a otrzymała niezwykły prezent z matczynych łez. Ale Stella wydmuchiwała nos, ocierała oczy i już zaczynała się odwracać.

CZĘŚĆ CZWARTA

LADY MAKBET: Twoja twarz jest jak otwarta

Księga: najskrytszą myśl można z niej czytać.

Aby oszukać świat, naśladowuj świat...

W. Szekspir, *Makbet*

(Akt I Scena V, przeł. Stanisław Barańczak)

Z wielu wspomnień mego skomplikowanego dzieciństwa to wydarzenie wciąż mnie prześladowuje: rzeź holenderskich uchodźców tamtego dnia. Byłam na tyle daleko, że oglądałam to wszystko jak spektakl. Pewnie tak naprawdę nie słyszałam żadnych krzyków, tylko je sobie wyobraziłam, niejako po fakcie, kiedy poznałam drastyczne szczegóły. Było to z pewnością bezpośrednie spotkanie z wojną, ale jednocześnie z oddali, abstrakcyjne. Raczej impresje: pikowanie lśniących samolotów na kobaltowobłękitnym niebie, bezkresne mieniące się morze, kłęby charakterystycznego dymu, niż autentyczny kontakt z fizycznym cierpieniem. Poza tym byłam nie tylko przestraszona, ale też upojona seriami ognia i imponującymi eksplozjami. Mały świat kradzieży muszli z perłą i spotkania bezpańskiego psa nagle nabrał wymiaru publicznego i historycznego.

W moich prymitywnych i dość romantycznych wyobrazeniach oglądałam cień myśliwca „Zero” na wodzie, potem natychmiast wybuchający pod nim hydroplan. Nie widziałam oszalałych ludzi, w paroksyzmach desperacji ściskających się kurczowo nawzajem, rzucających się do wody, widzących, jak ścigają ich rzędy gwizdzących kul. Żadnego dziecka w moim wieku, żadnej tonącej staruszki. Pamiętam, że słyszałam też, że niektórych rannych atakowały rekiny, zwabione taką ilością krwi w wodzie. Nie widziałam rozdzieranych ciał ani ludzkiego mięsa. A więc byłam świadkiem i nie byłam, a tak czy inaczej, z powodu mojego jąkania, nie mogłabym o tym opowiedzieć.

Teraz wiem, że byłam samolubna i oportunistyczna. Uścisk matki, płaczącej, jakby naprawdę mnie kochała, był dla mnie ważniejszy niż trauma innych ludzi. Dopiero gdy zobaczyłyśmy pozbierane ciała i kilku Holendrów wałęsających się po plaży, zrozpaczonych i płaczących, z opuszczonymi bezwładnie ramionami, w poczuciu totalnej klęski, zrozumialiśmy naprawdę bliskość i skalę wydarzenia.

Dwa dni później zostaliśmy ewakuowani z Broome. Właściwie nie czuło się ulgi. Nie było wrażenia bezpiecznej ucieczki. Tylko odcumowanie, podniesienie kotwicy i powolne odpływanie od molo, milczące przygnębienie pasażerów, wśród których znajdowali się ocaleni Holendrzy, i łapanie przyływu, tej wielkiej naturalnej siły, która odciągnęła nas

stamtąd przez ocean, zostawiając Broome daleko z tyłu, ukryte, stłumione w pamięci.

*

Podczas podróży na południe Perdita zapełniała zeszyty niewprawnymi gryzmołami. Męczona chorobą morską przez większość tygodnia, którą zabrała podróż wzdłuż wybrzeża, została ogarnięta dławiającą melancholią, o wiele większą niż dyskomfort jej dziecięcego ciała. Żołądek podchodził jej do gardła, kończyny były ciężkie. Miała wrażenie, że kompletnie straciła zmysł równowagi. Ze swojej obskurnej koi zerkiała na krzywą linię zielonkawego morza w iluminatorze i przysięgała sobie, że nigdy w życiu nie wejdzie już na pokład statku. To było jak delirium. Wstając, zataczała się; leżąc, czuła sprężenie czasu i przestrzeni, i natłok obrazów, które starała się wypierać. Wszystko było przesyczone kwaśną, metaliczną wonią, a powietrze zatechłe i duszące. To był półmetek śmierci.

Aby zabić czas, aby walczyć z tym strasznym ograniczeniem, Perdita pisała. Nie miała żadnego planu ani historii do opowiedzenia; po prostu potrzebowała ułożyć w słowa pewne rzeczy, które w niej powstawały. W pewnej chwili dała się namówić na wyjście na pokład, żeby popatrzeć na bawiące się delfiny, płynące obok statku, i zachęcono ją, żeby przeszła się wzdłuż burty, aby przyzwyczać się do kołysania. Na rufie zobaczyła spieniony kilwater, zawijający ocean w szlak o kształcie litery V. Ten obraz podróży, tę surową abstrakcję Perdita zapamiętała najwyraźniej. To i jednego z Holendrów, którego widziała wcześniej na plaży w Broome. Teraz opierał się o barierkę, samotnie, i rozdzierająco szlochał.

Stellę natomiast, przeciwnie, ta podróż ożywiła. Choć wiele lat temu podczas rejsu z Nicholasem na północ chorowała, teraz jakby żyła w innym ciele. Podobało jej się wspinanie po stromych żelaznych schodkach na pokład i wdychanie morskiego powietrza, napawanie się doznaniem z jakiegoś najwcześniejszego, najciemniejszego okresu życia: dotyk ciepłego wiatru morskiego rozwiewający jej włosy, jego słony zapach, i atmosfera niewiarygodnej wolności. Gawędziła z pasażerami na pokładzie i była zapraszana do długich gier w karty. Kilka razy wieczorem zabawiała towarzystwo swoimi deklamacjami Szekspira. Oklaskiwali ją z zapalem; uważali za niezwykle mądrą. Stella kłaniała się przed widownią i nigdy wcześniej nie wyglądała na tak szczęśliwą. Na całe godziny zapominała, że gdzieś na dole, w ukryciu, leży plackiem na koi jej niedomagająca, kłopotliwa córka.

Perdicie wydawało się, że podróż trwa wiecznie. Ani razu nie widziała Billy'ego ani pani Trevor, którzy w jakiejś innej części statku, pogrążeni w melancholii własnego odjazdu, borykali się z przekonaniem, że ich dotychczasowe życie się rozpada. Może Billy też chorował. Może też leżał na koi, przepelniony mieszaniną wrażeń, obserwując z

przyprawiającym o mdłości strachem horyzont po drugiej stronie iluminatora, przechylonego i śliskiego, redukującego świat do niewielkiego koła.

Gdy przybili wreszcie do Perth, Perdita była ponura, blada i kompletnie wyleczona z uwielbienia dla oceanu. Na nabrzeżu mignął jej przez chwilę Billy. Nie patrzył na nią, zdenerwowany, obserwując matkę. Dłonie miał zwieszane spokojnie wzdłuż ciała. Uosabiał zdeorientowaną, oporną postawę nowo przybyłego. A potem zniknął.

Gdy wysiadły, podeszli do nich wolontariusze z organizacji charytatywnej. Stella w roztargnieniu podała im bagaż. Zawieziono je do pokoi wynajętych w pensjonacie w ubogiej części śródmieścia. Z dwiema walizkami i poczuciem, że ich życie się skurczyło, pomachały na pożegnanie swoim dobroczyńcom i, coraz bardziej upadając na duchu, weszły do solidnego budynku z czerwonej cegły, który miał chwilowo być ich domem.

Co Perdita będzie z tego pamiętać? Że Stella długo stała, wyglądając w milczeniu przez okno. Ręce miała wciśnięte w kieszenie swojej najlepszej lnianej spódnicy, znieruchomiła, sparaliżowana nie widokiem zwykłej miejskiej ulicy, z torami tramwajowymi, rzędami sklepów i elektrycznymi latarniami, ale chyba świadomością, że teraz musi kierować własnym życiem, że jest odpowiedzialna za siebie i za córkę, za ich wspólny los. Z zewnątrz dobiegł je brzęczący metaliczny dźwięk, jakby rozdierano arkusze blachy. Perdita podbiegła do okna, żeby zobaczyć jak z grzechotem przetacza się pod oknem tramwaj. To była jak na razie jedyna Miejska Rzecz, która ją autentycznie ekscytowała.

*

Świat nie był nowy i wspaniały, ale wyblakły i pusty. Ludzie w nim byli wymęczeni brakiem wszystkiego i nieszczerze życzliwi dla angielskiej wdowy i jej dziwacznej córki. Stella słała list za listem do teścia, prosząc w uprzejmych słowach o „wsparcie finansowe”, ale nie otrzymała odpowiedzi. Może nie żyje, myślała. Zostały opuszczone, pozostawione własnemu losowi. Gdy minęła przyjemność związana z podróżą i poczuciem wyzwolenia, Stella zaczęła czuć się znużona i zrozpaczona. O pracę było ciężko, a oszczędności się kurczyły. Dzień w dzień wychodziła z domu, w najlepszym ubraniu i z wąską kreską jasnoczerwonej szminki na ustach, deklarując intencję wstąpienia do świata ludzi pracy.

Wreszcie znalazła posadę w kwiaciarni. Codziennie o dziewiątej rano Stella pomagała wyładować górę różnych kwiatów z ciężarówki, potem sortowała je i układała w niewielkie zgrabne bukiety, które owijała celofanem i związywała wstążką. Inne kwiaty, te bardziej pretensjonalne lub drogie, tuberozy, gladiole, agapanty, odkładano na bok, do unikalnych aranżacji. To była łatwa praca. Właścicielka kwiaciarni, pani Brodie, pochodziła z

Manchesteru, i choć, prawdę mówiąc, nie potrzebowała pomocy, współczuła tej zabiedzonej kobiecie z wyższych sfer z nietypowym akcentem, która stanęła przed nią pewnego sobotniego poranka, prosząc, niemal błagając, o jakąkolwiek pracę. Powiedziała, że jej mąż zginął na wojnie. Porozumiały się co do niepełnego wymiaru godzin i skromnego wynagrodzenia.

Znalezienie zajęcia przyniosło Stelli ulgę. Praca była godna, kobieca i nawet poniekąd artystyczna. I cały dzień otaczały ją kwiatowe zapachy i głębsza zmysłowa woń mokrych liści i zieleni do przybrania. Po gorącej suchej północy Australii, cechującej się w jej pamięci brzydkimi baobabami i czerwoną spękaną ziemią, ta atmosfera była niemal angielska. Wspaniała zieleń. Paproć, łyszczec wiechowaty, liście wielkie jak dłonie. Szczególnie podziwiała bukiety róż, różowych i herbacianych, białych na śluby i pąsowych na randki. Całe życie pragnęła, by ktoś podarował jej bukiet róż. Za pierwszą wypłatę - mimo że była to rozrzutność - kupiła sześć łososiowych róż i z dumą ustawiła je w słoiku po dżemie w ich wynajmowanym pokoju. W miejscu kompletnie pozbawionym ozdób stanowiły zachwycające zjawisko. Stella dołożyła starań, by ułożyć je idealnie, w równych odstępach, identycznie przechylone. Słoik ustawiła na środku stołu.

Dla Perdity róże były objawieniem. Nigdy wcześniej nie widziała takich kwiatów ani nie wahała takiego słodkiego zapachu. Takie rzeczy istniały tylko w książkach. Uniosła się na palcach, żeby zbliżyć twarz do płatków. A więc to pewnie była między innymi rola miasta, urzeczywistnianie czegoś, co istniało wcześniej tylko niematerialnie, w słowach. Pokazywanie różnorodności rzeczy, wymyślnego bogactwa, zdumiewającej osobliwości czegoś, co pochodzi z innej bajki. Nie tylko jednej rzeczy zresztą, ale wielu, pomnożonych, wymyślonych i materialnych, realnych i absolutnych.

- Pod inną nazwą - odezwała się Stella - nie mniej by pachniała.*

Jej umalowane usta lekko zadrżały. Był to moment wspólnoty. Perdita kochała swoją matkę. Spojrzała na nią i w tej chwili wybaczyła jej wszystko. Stella wyciągnęła rękę i poprawiła kąt nachylenia różanych główek, ujmując je w garść, lekko unosząc, pozwalając opaść kołem.

*

Szkoła okazała się dla Perdity koszmarem. Był to ostatni rok podstawówki, a ona nie miała pojęcia o niczym, co rozgrywa się na dziedzińcu szkolnym, o szyfrach, hierarchiach, klikach i gierkach ani o związanych nieodłącznie z edukacją upokorzeniach, karach i

· W. Szekspir, *Romeo i Julia*, Akt II Scena II, przeł. S. Barańczak: To, co zwiemy różą / Pod inną nazwą nie mniej by pachniało.

złośliwościach. Dzieci, które przeżyły zbyt wiele nieszczęść, siłą rzeczy są pogardzane. Nie była ładna, nie miała ojca, nie potrafiła mówić bez zająknięcia. Jej ubrania były uszyte prymitywnie w domu, a jej pochodzenie niejasne. Jakby tego było mało, nosiła groteskowe imię, które inne dzieci skandowały, naśladując jąkanie: „P-P-P-ditta!”.

Nauczyciele czasem jej bronili (bez przekonania), jednak dla niej było jasne, że oni także uważają ją za niefortunnie beznadziejny przypadek.

Perdita dowiedziała się też, że lekcje w szkole w niczym nie przypominają lekcji z jej matką. Wyglądało na to, że wiedza jest podzielona na surowe kategorie. Trzeba było uczyć się różnych list na pamięć i odróżniać fakty błędne od prawidłowych. Stella nie nauczyła jej niczego o historii władców Anglii, a najwyraźniej to była podstawa australijskiej edukacji; podobnie zaniedbała matematykę i geografię, dwie z najbardziej prestiżowych dyscyplin. Szekspir nie był aż tak ważny, jak matka do znudzenia głosiła; Perdita zorientowała się jednak, że nauczyciele mimo to są pod wrażeniem jej znajomości jego dzieł - była to jedyna rzecz, jaką mogła im zaprezentować, gdy zapytali: no więc co ty wiesz? I odkryła przypadkiem i ku obustronnemu zdumieniu, że potrafi deklamować całe fragmenty Szekspira płynnie, nie myśląc o wystrzępionych słowach i deformującym jąkaniu.

Pod koniec semestru, gdy odbywało się przedstawienie dla rodziców, Perditę wybrano, aby stanęła na scenie i powiedziała słynny monolog Hamleta „Być albo nie być”. Stella siedziała na widowni, cała rozpromieniona. Miała na sobie najlepszą popielatą bluzkę z przypiętymi do kołnierzyka fiołkami, przedmiot z dawnych czasów, przechowywany na specjalną uroczystą okazję. Uwadze Perdity nie umknęło, że naśladowała matkę, że mimo że tyle rzeczy zginęło, zepsuło się i zniszczyło, zachowała talent swojej matki. N i e p o k o n a n y S z e k s p i r. Słyszała, jak jej głos wznosi się, swobodny jak latawiec, sprytnie skonstruowany jak inne zabawki, i tak samo prosty. Przez chwilę czuła się podniesiona na duchu; znajdowała się w środku snu o płynności. Z jej otwartych ust słowa wylatywały bez skrępowania. Język i gardło, wibrujące z rozkoszy, produkowały wypolerowane i idealne słowa, istniejące od setek lat. Jednak po przedstawieniu Perdita powróciła do krainy swego wygnania. Znowu była żalonym dzieckiem w źle skrojonym ubraniu, które nie potrafiło swobodnie skończyć żadnego zdania.

Gdy przybyły kufry z ich książkami, później niż się spodziewały, Stella i Perdita posortowały je, żeby zdecydować, co można sprzedać. To cały ich majątek, mówiła Stella, więc muszą wybierać mądrze. Perdita usiadła po turecku na podłodze, układając stosy książek na „tak”, „nie” i „może”. Stella tworzyła podobne. Potem porównały swoje sterty i w końcu zatrzymały więcej książek, niż były gotowe sprzedać. Obie czuły się pokrzepione. Pokój

wydawał się mniej pusty. Perdita odkryła *Życie kapitana Cooka* i wspomniała Mary; znalazła *Złotą gałąź: Studia z magii i religii*, z notatkami na marginesach, i pomyślała o ojcu.

- Kiedy p-p-p-pójdziemy do M-M-Mary? - zapytała matkę.

- Zobaczymy - odparła Stella wymijająco.

Tyle. Ani słowa więcej. Żadnego ustępstwa ani oferty.

Perdita nie cierpiała skrytości i ingerencji dorosłych. Postanowiła znaleźć własny sposób na odwiedzenie Mary. Tymczasem starała się stawić dzielnie czoło swemu nowemu życiu. Zrobiła się twardsza w szkole, walczyła z chłopakami na pięści. Raz rozkwasiała jednemu nos i poczuła, przez pełną skruchy chwilę, piekący przyływ satysfakcji. Tacy muszą być żołnierze, stwierdziła, bezwzględni i surowi, podniecający się strużką krwi i strachem wroga. Dziewczęta ignorowała, jako że w większości one ignorowały ją.

Perdita tęskniła za Billym. Tęskniła za Mary i za Horatim i za wszystkim, co znała. Przypomniała sobie, jak Billy tarzał się po ziemi, drapiąc Horatia po nakrapianym brzuchu, i jak wyglądali obaj, szczęśliwi, odpoczywając potem w słońcu. Mary była niedaleko, śmiała się. Napelniła blaszany kubek wodą ze zbiornika i zamaszystym ruchem oblała ich obu. Horatio skoczył na równe łapy i się otrząsnął; Billy udawał, że jest wściekły i że goni Mary, a potem zaczął chichotać. Ten moment wrócił do niej wyraźnie, kompletny i przejrzysty. Perdita tęskniła za nimi wszystkimi. Zastanawiała się często, jak można żyć dalej, tęskniąc za tyloma rzeczami?

Gdy pod koniec roku upłynął termin bezpłatnego wynajmowania pokoju, Stella i Perdita przeprowadziły się do starego domu-bliźniaka w podupadłej części śródmieścia, w Perth Wschodnim. Był to wąski budynek z cegły, z półkolistym okienkiem nad drzwiami wejściowymi, które obramowano długimi prostokątnymi płytami z mlecznego walcowanego szkła. Wejście to wyglądało solidnie, co spodobało się zarówno Stelli, jak i Perdicie. Z ofiarowanymi przez organizację charytatywną meblami i swoimi kuframi książek, objęły nowe gospodarstwo w duchu triumfalnym; wyglądało na to, że nareszcie mają własne miejsce.

Czynsz był niewielki, częściowo dlatego, że tył domu wychodził na tory, więc o każdej porze dnia i nocy słyszały pociągi jeżdżące niespokojnie w obie strony, ich krzepiące dudnienie, nęcący stukot, uspokajające wznoszenie się i opadanie dźwięku, gdy pociągi się zbliżały, mijały, potem cichły spokojnie w oddali. Przy każdym przejeździe szyby w domu drżały i brzęczały, ożywione, pobudzone, nadając budynkowi niemal ludzkiej trwożliwości.

Nieopodal znajdowały się elektrownia, cementownia i niewielka piekarnia, a za nimi obozowisko Aborygenów, zasadniczo na uboczu, nad rzeką Swan. Perdita widziała grupkę ludzi siedzących przy ognisku; rozpoznała strukturę zgromadzenia. Gdyby nie jąkanie, podeszłaby do tych ludzi i zaprzyjaźniła się z nimi. Wierzyła, że oni by ją zrozumieli; zostałaby zaakceptowana, nawet życzliwie przyjęta, jako obca z północy. Była przekonana, że zaprosiliby ją, żeby usiadła z nimi przy ogniu. Opowiedziałyby im o Mary, o tym wszystkim, co się wydarzyło.

Podczas długich wakacji letnich Stella nadal pracowała w kwiaciarni, a Perdita często zostawała sama, mając cały dom dla siebie. Założyła ogródek, chodziła na spacerzy nad rzekę, i z zapałem nad wiek rozwiniętego dziecka zaczęła czytać tomy wypakowane z kufrów. Na niektórych książkach widniał podpis jej ojca - „Nicholas Keene” - i znów, jak w przypadku „NK”, Perdita odczuła niejasną obecność czegoś nieprawdopodobnego. Czytała książki ojca uważnie, pomna zabobonnej teorii Mary, że między czytelnikami tych samych książek nawiązuje się tajemnicza i niezwykła bliskość duchowa. Były tam trzy powieści Josepha

Conrada, które pochłaniała namiętnie, zastanawiając się przy każdym przewróceniu kartki, co myślał jej ojciec, i czy, pogrążony w nieistnieniu, jest on mimo wszystko w jakiś sposób obecny, przenika upiorną zaporę, żeby odwiedzić czytającą tu córkę. Na początku *Jądra ciemności* natknęła się na taki fragment:

Pogrążyliśmy się w zadumie: każdy gapił się nieruchomo przed siebie. Dzień kończył się wśród krystalicznej ciszy, we wspaniałym blasku zachodzącego słońca. Wody niosły niezmacone lśnienie. Bezchmurne niebo było anielsko spokojnym bezkresem czystego światła. Nawet opary unoszące się nad trzęsawiskami Essexu wyglądały jak powiewna, rozjarzona tkanina zwieszająca się z zalesionych pagórków w głębi lądu, ścieląc się miękko nad brzegiem morza faldami prześwitującej materii. Jedyne mrok, wzbierający nad szczytami wzniesień na zachodzie, z każdą minutą stawał się coraz gęstszy - jakby w odwecie za słoneczną iluminację.*

Chociaż, prawdę powiedziawszy, Perdita nie rozumiała wcale tej książki, pokochała ten fragment. Wprawił ją w taką marzycielską rozkosz, że odłożyła książkę grzbietem do góry, zaznaczając tę stronę, i pozwoliła, by słowa powoli w nią wnikały. To była jedna z tych chwil, w których z pobłażliwym spokojem zastanawiała się, czy ojciec jest gdzieś obok, metafizycznie zawieszony w powietrzu.

Była wyczulona na widmowe interwencje i przejawy tamtego świata, przywoływała je siłą woli, wyczekiwała. Teraz wierzyła w duchy, mimo że nigdy żadnego nie widziała. Wierzyła w każdym razie, że nic się nie kończy, że to, czego b r a k u j e , jest uparcie kontynuowane gdzieś indziej. Mary nauczyła ją tej zasady niewidzialnej obecności, że zawsze trzeba liczyć się z tym, że jest więcej, niż człowiek widzi.

Perdita Keene miała wtedy zaledwie dwanaście lat. Jej filozofia życiowa sklecona była przez nią zgrabnie ze wszystkiego, co ją do tej pory spotkało, i uważała, że nie jest podobna do żadnej innej dziewczynki w swoim wieku pod względem skali ekscentryczności. To, że była tak wyjątkowo wyobcowana, nie było zaskoczeniem, ale jak większość prześladowanych, dręczonych i nieszczęśliwych, miała własne zasoby odporności i siły.

Na czterdziestej szóstej stronie *Jądra ciemności* widniał odcisk kciuka, bardzo słabo widoczny wzór wirowy, delikatna pieczętka tożsamości. Wstrząsnęło to Perditą, jako znak, że Nicholas bezspornie był t u a j.

Im więcej Perdita myślała o teorii Mary, tym mniej ją rozumiała. Skoro pierwszym

* J. Conrad, *Jądru ciemności*, przeł. Ireneusz Socha, Kraków 2003, s. 5-6.

czytelnikiem jest sam autor, czy może istnieć jakiś kanał porozumienia między autorem a czytelnikiem, jakaś nieuchwytna zażyłość, sekretny pakt? Przy czytaniu powieści zawsze zdarzają się chwile, w których człowiek rozpoznaje siebie albo natyka się na szczegół, który przywołuje osobiste przeżycia; czy w tym potajemnym świecie może istnieć jeszcze inna sfera połączeń?

Perditę bolała głowa od tego, że musi myśleć o takich rzeczach. Jak będzie dorosła, na pewno to zrozumie. Wtedy pojmie, czym jest czytanie. Na zewnątrz z nieodłącznym brzękiem przejechał pociąg. Szyby w jej oknie zareagowały. Istniał także ten świat, maszyn, przedmiotów i innych ludzi, funkcjonujący mimo wszystko, żyjący osobnym życiem. W tym momencie, we własnej sypialni, z otwartym przed sobą *Jądrem ciemności* Conrada i pięknym rozproszonym światłem wpadającym przez przetarte firanki, nie mogła zrozumieć, jak te elementy mogą w ogóle do siebie pasować. Zastanawiała się, czy to jest jedno z tych najważniejszych pytań, stawianych przez Szekspira: w jaki sposób życie zamknięte w słowach pasuje do wszelkiego innego życia?

*

W tym czasie Perdita już prawie w ogóle przestała mówić. Odzywała się możliwie najrzadziej, żeby uniknąć demonstrowania swego przekleństwa. Była zwinęta do wewnątrz. Myślała o sobie jak o skamielinie. W towarzystwie matki uważało się za coś naturalnego, że mówić będzie Stella. Nigdy o tym nie rozmawiały; po prostu ustalili się taki zwyczaj towarzyski. Rozumiały się, nieufne i wyrachowane. W szkole, niemal od samego początku, nauczyciele przyzwyczaili się nie zadawać jej pytań, a inne dzieci, kiedy jej nie dokuczały, zaczęły ją ignorować. Perdita zdała sobie sprawę, że ci, którzy nie mówią, ci przekleci, stopniowo znikają. Zauważyła z pewnym strachem, jak często się ją pomija, jak staje się niewyraźna i lekceważona przez innych. Znaczyła mniej niż postać z książki. Mniej niż fikcja literacka.

Po wielu tygodniach samotności, wałęsania się, czytania, rozwleczonych w czasie dni, Perdita postanowiła wreszcie odszukać Mary. Aby to zrobić, potrzebowała rady kogoś dorosłego, ale wiedziała, że nie może opowiedzieć o swych planach matce. Pewnego popołudnia zdecydowała się pójść do obozowiska na brzegu rzeki. Obserwowała swoje stopy posuwające się naprzód, lewa-prawa, lewa-prawa. Tym razem była tam tylko niewielka grupka, czworo dorosłych i dwoje małych dzieci. Gdy podeszła, czuła, że serce zaczyna jej nerwowo walić, a w ustach krzepną gęste przeszkody. Chyba tworzyli rodzinę. Siedzieli razem w granatowym cieniu figowca Moreton Bay. Jak widziała wcześniej z oddali, palili

ognisko, a tobołki z rzeczami osobistymi wcisnęli pod korzenie drzewa. Nad aromatycznym ogniem w kociołku naciągała herbata. Perdita podeszła wprost do tej grupki, a mężczyzna o szpakowatych włosach i pomarszczonej twarzy od razu zamachał do niej przyjaźnie.

- Ej! Kuzyneczko!

Perdita się odprężyła.

- Widzieliśmy cię już wcześniej - oznajmił. - Dużo razy, jakieś szła nad rzeką. Czemu nigdy żeś nie podeszła się przywitać?

Mężczyzna, który miał na imię Joey, mrugnął do Perdity komicznie. Wszyscy pozostali się przedstawili - Em, żona, Jack i Rose, syn i synowa Joeya. Dwoje sennych dzieci - Liz i Mac, wnuki. Joey zajmował się zbieraniem pijawek dla Królewskiego Szpitala w Perth. Miał pozwolenie, jak mówił, rządowy identyfikator, który dawał mu prawo obozować nad rzeką.

- Białe miasto - rzucił cierpko.

Em się uśmiechnęła i podała Perdicie kubek z herbatą.

Inni Aborygeni także nie mieli prawa przebywać w tej dzielnicy, więc przychodzili tylko na chwilę.

- Zwykle policja przymyka oko. Ale wiesz, lepiej, jak nas nie widać.

Perdita niespiesznie opowiedziała im swoją historię. Jej słuchacze życzliwie ignorowali jękanie, nie kończyli za nią zdań i cierpliwie czekali, aż opowie im o domu na północy i swojej czarnej siostrze, Mary. Powiedziała im, że jej ojciec zaatakował Mary, że został zabity nożem, że Mary się przyznała i zabrali ją daleko, na południe. Im dłużej mówiła, było jej coraz trudniej; jej umysł mętniał, jakby nie było jej dane dotrzeć do szczegółów tego, co się wydarzyło. Dlatego jej wersja była skąpa i coraz bardziej niejasna.

W końcu wyrwało jej się kompletne, nieprzerywane zdanie - Jak myślicie, gdzie ją trzymają?

Joeyowi wydawało się, że wie.

- Dużo czarnych ma kłopoty z prawem. A biali policjanci lubią nas wszystkich wsadzać do kicia.

Podał Perdicie nazwę domu poprawczego dla dziewcząt, gdzie kiedyś trzymano kuzynkę Rose. To było właśnie to, co Perdita chciała wiedzieć.

Dziewczynka wypila herbatę i rozmawiała z nimi jeszcze jakąś godzinę. Joey powiedział, że są Nyoongarami; to ich kraj.

- Tu wszędzie. - Machnął zamasyżuje ramieniem, obejmując gestem rzekę.

To było jej pierwsze doświadczenie towarzyskie w mieście. Tutaj, na wąskim pasie

nieużytku między elektrownią a rzeką, ukryta, chroniona, osłonięta chłodnym cieniem, przynajmniej odzyskała jakiś rodzaj głosu. Była wzruszona instynktowną życzliwością Joeya. Przypomniała sobie, że istnieje coś więcej niż bezlitosna szkoła, anonimowe ulice i poczucie - jakże dręczące - że wszystko dookoła niej rozpaczliwie zanika.

Po raz pierwszy także naprawdę dostrzegła rzekę. Późnym popołudniem woda nabierała już fioletowego rumieńca, i mimo wszystkich rozczarowań Perdita musiała przyznać, że jest wyjątkowo piękna. Słuchając członków rodziny Joeya, obserwowała powolny, nieuregulowany, konfluencyjny ruch rzeki. Na jej powierzchni zakwitały chmury, ciemniały, potem się rozplywały. Pod taflą też była dynamika, drobne, pełne życia ruchy, niewidoczna energia. Do domu wróciła z nowym opanowaniem. W jej postawie zagościł spokój, a nawet chwilowa wesołość.

*

Perdita zaczekała, aż matka wyjdzie do pracy, po czym pojechała tramwajem do miasta, a następnie autobusem na przedmieścia na południe od rzeki. Kierowca obiecał, że powie jej, gdzie ma wysiąść, i poradził, żeby dalej pytać o wskazówki w jednym ze sklepów przy głównej ulicy. Perdita ścisnęła muszlę z perłą i *Żywoty świętych* owinięte razem w pomarańczową bibułę, związaną wstążką do włosów. Była niebywale podniecona. Za szybą przepływały różowe domy z cegły, monotonna jednakowa, girlandy z róż i ozdobne skrzynki na listy. Nie miała wątpliwości: to było brzydkie miasto.

Po piętnastu minutach Perdita zaczęła się niepokoić, że kierowca o niej zapomniał i że wywiezie ją nie wiadomo dokąd, a ona zgubi się na tych pustych przedmieściach. Przeszła na przód telepiącego się autobusu i poklepała kierowcę po ramieniu.

- Na następnym, złotko - uprzedził jej pytanie.

Została wysadzona na poboczu szosy. Wciąż nieprzywykła do samochodów pędzących po betonowych drogach, Perdita przeszła ostrożnie do wąskiego pasa sklepów i w pierwszym z nich zapytała, gdzie znajdzie Greensleeves. Kobieta za kontuarem nie wiedziała, ale poradziła, aby zapytać w kiosku z gazetami. Tam dostała dokładne wskazówki. Myślała, że z powodu jąkania wygląda na upośledzoną. Kioskarz patrzył na nią podejrzliwie, jakby była z domu wariatów albo opóźniona w rozwoju. Perdita uświadomiła sobie, że Billy musiał się tak czuć cały czas.

Gdy skręciła w czwartą ulicę po lewej, zobaczyła izbę zatrzymań dla młodocianych przestępców o nazwie Greensleeves, imponujący budynek z czerwonej cegły, surowy i instytucjonalny. W ogrodzie od frontu pracował starszy człowiek w zwyczajnym ubraniu;

Perdita pomyślała z nadzieją, że wcale to nie wygląda jak więzienie.

Wizyta była druzgocącym rozczarowaniem. Gdy weszła do pokoju frontowego, powiedziano jej, że nieletni goście muszą być w towarzystwie dorosłego, samej jej nie wpuszczają, a w ogóle to są specjalne godziny odwiedzin. Perdita usiłowała protestować, ale język jej się plątał, więc, sfrustrowana, zaczęła płakać. Była tak przyzwyczajona do tłumienia łez, że zaskoczyły ją i upokorzyły. Kobieta na dyżurze powiedziała, że dopilnuje, by Mary dostała przywieziony prezent. Perdita niechętnie podała jej pomarańczową paczkę. Odwróciła się i powoli rozpoczęła przygnębiającą podróż z powrotem.

Ze wszystkich męczących form jąkania, na które cierpią dzieci (tak się składa, że głównie chłopcy, przynajmniej statystycznie rzecz biorąc), moje było jednym z rzadszych. Klasyfikowane jako psychogeniczne, jest konsekwencją szoku, zdenerwowania lub wypadku losowego. Występuje rzadko i nie bardzo wiadomo, jak je leczyć. Przeważnie zacinanie się jest rozwojowe i z czasem mija; nagłe pojawienie się wady wymowy jest rzeczą dziwną.

Uważamy mówienie za naturalne, prawda? Wdech i wydech, który napiera na struny głosowe, wpływ powietrza z tchawicy, wibracja krtani, wpływ - bezmyślny, automatyczny - powietrza do ust, gdzie, wymodelowane przez język i wargi, wychodzi na świat jako społecznie akceptowana mowa. Gdy jest nieudolna i poplątana, gdy zdania zgrzytają na początku i wyginają się w środku, do mowy wkrada się skrępowanie, które staje się nie do zniesienia. Spoglądając wstecz, po tych wszystkich latach, uświadamiam sobie, że wybrałam milczenie i niemy świat książek, żeby nie demonstrować nieudolności i porażki. A był to akt uległości ryzykowny, ponieważ im bardziej milczałam, im bardziej inni mnie ignorowali, tym bardziej przestawałam istnieć.

Moja matka, początkowo zażenowana, także się z tym pogodziła; łatwiej jej było wyobrazić sobie, że jestem zahamowana i niesprawna. Przewaga nade mną sprawiała jej przyjemność. Lubiła mówić za mnie i kończyć moje zdania. Podobało jej się, że jako wdowa obarczona najwyraźniej oniemiałą córką, wzbudza powszechną litość. Nie sędzę, żeby to była z jej strony zła wola; była po prostu przyzwyczajona do niezadowolenia i rozczarowana życiem. Dziecko z defektem w jakiś sposób do tego pasowało. Nie przyszło jej do głowy, żeby szukać pomocy, medycznej czy jakiegokolwiek innej. Była zdecydowaną fatalistką: bierną, niecierpliwą, wiecznie utyskującą i powodowaną uporczywym poczuciem żalu. A gdy wyleczyłam się z jąkania, nie wyraziła żadnego szczególnego zaskoczenia. Ani też radości, jeśli mam być szczerą.

*

Luty tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku, gdy Perdita zaczęła szkołę

średnią, zbiegł się z klęską Niemców pod Stalingradem. Bitwa, rozpoczęta we wrześniu poprzedniego roku, zakończyła się wreszcie klęską armii Hitlera, pierwszą z wielu, i zapowiadała dalsze wydarzenia. To był brutalny rok. Amerykanie zbombardowali Rzym. Brytyjczycy zbombardowali Hamburg. Niemcy ostatecznie zlikwidowali getto w Warszawie. W Auschwitz rozpoczęło się zagazowywanie na wielką skalę. W Azji Japończycy i alianci prowadzili wojnę w Birmie. Mapa Nicholasa, przez większość roku tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego zwinięta, pojawiła się znów i została przypięta w saloniku nad kominkiem. Stella odkryła ponownie wątpliwą satysfakcję ze śledzenia morderczych działań ludzkości i niewiarygodnej skali wojennego cierpienia. Okrucieństwo i bestialstwo były wszechobecne. Zerknięcie na mapę rano, zanim umalowała usta, przypięła kapelusz na bakier i poszła na kilka godzin do swego pachnącego kwiatowego azylu, uwalniało ją od przygnębienia.

Perdita złapała się na myśleniu, że może wojna będzie trwała wiecznie. Gdy rozmyślała o planecie, na której żyła, trudno jej było uwierzyć w szlachetny zamysł czy nawet jakąś ogólną dobrą wolę. Mury się waliły. Całe kraje znikwały z map. Teraz, gdy Perdita czytała gazety codziennie, widziała na własne oczy, że zwariowana machina wojny nie przestaje się kręcić, doprowadzając do coraz większych zniszczeń, działając jak w amoku. Zaczęła miewać nocne koszmary o holenderskich uchodźcach. Z przerażeniem budziła się w środku nocy, wierząc, że naprawdę widziała szamotaninę na pokładach hydroplanów i była bezpośrednim świadkiem masakry. Sen był zawsze taki sam. Nad głową dudnienie zniżających lot samolotów i ta-ta-ta-ta śmiertelnych kul. Niebo ciemniało, woda stawała się czarna. Krzyk i chaos. Ona trzymała płaczące dziecko. Dziecko dostawało postrzał w twarz, a potem rozpadało się w jej ramionach.

*

Wszystko przemawiało za tym, by ich wspólne życie było udane. W domku z okienkiem w kształcie wachlarza i płytami z walcowanego szkła obramowującymi drzwi frontowe, ustabilizowana i bezpieczniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, powinny były mieć spokój i szansę na wytchnienie. Nawet jeśli w świecie zewnętrznym panował chaos, one miały swoje schronienie i mapę, która zmieniała udrękę historii w łagodniejsze symbole. Matka miała pracę, ona szkołę; wszystko było uporządkowane. Noce i dni następowały regularnie i zgodnie z planem.

Jednak na stan Stelli nie miała wpływu gwarancja codziennego bezpieczeństwa. Jej tragizm i smutek polegał na tym, że poddawała się nawet wtedy, gdy rzeczywistość wydawała

się znośna lub pomyślna. Stella z czasem przestała jeść i spać. Nie można jej było rano zwlec z łóżka i wyglądało na to, że straciła zainteresowanie pracą. Perdita musiała dzwonić do jej pracodawczyni, pani Brodie, i zmyślać wykręty: grypa, migrena, kobieca niedyspozycja - temat tabu, oczywiście, i łatwa wymówka. Gdy Stella zwlekała się z łóżka, nie odpowiadała na pytania i nie potrafiła wyjaśnić córce poczucia żalu, które jej nie odstępowało, które spowijało ją jak dodatkowa warstwa naskórka.

Gdy jej ciężki stan zaczął odbijać się na nich obu, Perdita postanowiła nie iść do szkoły i dotrzymać towarzystwa matce. Zdecydowała, że będzie się nią opiekować. Nikt nie musi wiedzieć o chorobie Stelli, a ona minie, na pewno, jak to już się zdarzało wcześniej. Zwalczą ją razem.

Prawdziwym problemem była niechęć Stelli do jedzenia. W mniej niż dwa tygodnie stała się przerażająco chuda; twarz jej poszarzała, a ruchy uległy spowolnieniu, jak u starej kobiety. Nie działało na nią żadne przymilanie się ani podstępny. Perdita wpadła w rozpacz: a jeśli matka zagłodzi się na śmierć? Ugotowała jajka, obrała je, usiadła blisko Stelli i zaczęła jej wpychać palcami żółte i białe kawałki do ust.

- P-p-połknij - mówiła. - No p-p-połknij.

Stella wyrzucała fragmenty jajka językiem. Perdita zdała sobie sprawę, że ociera brodę matki ścierką, jak małemu dziecku. Spróbowała znowu, manipulując ostrożnie palcami. Pragnąc ją nakarmić, pochylała się bliżej niż kiedykolwiek wcześniej do tej pomiętej twarzy, absurdalnej i smutnej w swoim dziecięcym uporze.

- P-p-połknij.

Stella powtarzała jak echo z bezmyślnym okrucieństwem:

- P-p-połknij.

Ale nie połykała. Jej rysy pokryła jakaś obca obojętność. Perdita wpatrywała się w twarz matki i niemal nie mogła jej rozpoznać. Co za kamuflaż. Taka daleka i taka milcząca.

Martwiła się też ich sytuacją finansową. Wydała niemal wszystkie pieniądze, które znalazła w matczynej portmonetce z cielejącej skórki, i teraz nie miała pojęcia, gdzie mogą się znajdować inne rezerwy. Wszystkie kartki na mięso, herbata i masło zostały zużyte. Co dziwne, jej własny apetyt rósł w miarę, jak matki się zmniejszał, tak że często miała niepowstrzymaną ochotę, żeby coś przekąsić, i zjadała łapczywie i z wyrzutami sumienia mniejsze, ale nietknięte porcje Stelli. Perdita zaczęła kraść mleko przed drzwiami domów w ich dzielnicy. To było łatwe. Bieg przez nieoświetlone ulice, szybkie rozpoznanie - i chwytająca kanekę mleka w mroku przedświt. Czasem w ogóle wyprzedzała mleczarza i zamiast mleka brała monety, położone ufnie obok pustych naczyń. Gdy słyszała brzęk konnego wózka

mleczarza, chowała się z poczuciem winy, jak nieczemna złodziejka, którą się stała.

Lekceważąc otoczenie, pewnego dnia Stella weszła na drzwi, otwarte pod innym niż zwykle kątem. Wydała z siebie głośne syknięcie i chwyciła się za czoło, w które się skaleczyła. Dotknęła rany i obejrzała krew na dłoni. Zareagowała pokornym zdumieniem. Perdita umyła ranę matki, osuszyła ją, przylepiła na nią plaster, i pomyślała, jak łatwo i szybko ciało ludzkie poddaje się uszkodzeniu. Cierpiała za matkę. Dotknęła tylko jej przegubu i ogarnęło ją uczucie litości.

Pewnego ranka rozległo się pukanie do drzwi frontowych, które Perdita zignorowała. Jednak było ono tak natarczywe, że Stella z rozdrażnieniem kazała córce zobaczyć, kto to. Perdita pamięta, że szła specjalnie powoli, pragnąc, aby pukanie ustało, ale tam, w szaroniebieskim cieniu stała jakaś postać, która nie chciała przestać. Zapukała znowu, a potem zawołała:

- Jest tam kto?

To była kwiaciarka, pani Brodie. Stała w sukience w szkocką kratę między płytami z walcowanego szkła, emanując zarówno surowością, jak i troską. Najpierw zobaczyła nieszczęsne dziecko, którego dziwnego imienia nie mogła sobie przypomnieć. Potem ujrzała Stellę Keene, która sunęła korytarzem w jej kierunku jak zjawa, rozmemłana, w negliżu, z zimnym pustym spojrzeniem, ukazując siniak nad okiem rozmiaru i barwy śliwki. Pani Brodie szybkim gestem zakryła usta ręką - o mój Boże! - aby zdławić szloch, który mógłby tam powstać.

*

To, że dba o matkę, nie wystarczy, stwierdzono. Ona potrzebuje lekarstw i opieki. Jest u p o ś l e d z o n a u m y s ł o w o. Jakaś kobieta z wydziału spraw socjalnych zorganizowała karetkę, która zabrała Stellę do szpitala; Perdite umieszczono tymczasem w instytucji, która przypominała jej Greensleeves. Spała w jednym pomieszczeniu z siedmioma innymi dziewczynkami i przygnębiało ją, że dziewczynka na łóżku obok, która nawet chyba jeszcze nie chodziła do szkoły, płacze przez sen. Ale już po dwóch nocach Perdite przesunięto dalej. Decyzje dorosłych znów zdominowały i przemeblowały jej życie.

Perdita dowiedziała się, że dostała rodziców zastępczych. Flora i Ted Ramsayowie byli po sześćdziesiątce i mieli własne dorosłe dzieci. Patrzyli na Perdite życzliwie przez identyczne okulary w drucianych oprawkach. Ted był stolarzem, a Flora dbała o kwiaty w lokalnym kościele. Byli to wrażliwi, troskliwi ludzie, którzy przed obiadem odmawiali modlitwę dziękczynną i nie kończyli zdań za Perdite.

Pierwszego dnia Flora dała Perdicie mały ołówek i notesik, żeby, jeśli nie będzie miała ochoty mówić, pisała wiadomości dla nich. Perdicie strasznie podobały się szeleszczące sztywne okładki, liniowane niebiesko, zszyte w środku stroniczki i możliwość zamiany milczenia w kolejny rodzaj tekstu. Dlaczego nigdy nie używała notesu przy Stelli? Flora wsadziła Perdite do łóżka, potem usiadła na pościeli i opisywała wydarzenia swojego dnia. Wyprawa po sprawunki, trochę pracy w ogródku, wizyta u sąsiadki, która się źle czuła. Gdy nadeszła pora, by zgasić światło, odgarnęła Perdicie włosy z twarzy, pochyliła się nad nią czule i pocałowała w czoło. Był to gest tak instynktowny i swobodny, że Perdita rozkoszowała się tą sympatią i jeszcze leżąc w ciemności, czuła chłodny dotyk warg Flory. Słyszała brzęk filiżanek, gdy Flora parzyła herbatę, i cichy gwar małżeńskich pogaduszek na koniec dnia. Krzesło zaszurało po podłodze. Ktoś zamknął szufladę ze sztućcami.

Myślała o schematach, w które wchodzi ludzie i które mogą uczynić życie domowe tak troskliwym i szczerym. Potem przyszedł jej do głowy podarunek owinięty w pomarańczową bibułę i zastanawiała się, czy Mary, leżąca samotnie w tym samym mieście (być może nie śpiąc i myśląc o niej), w końcu go dostała. Tu, u Ramsayów, było tak cicho, bez hałasu pociągów, do którego już się przyzwyczaiła. A w ciszy jej myśli mnożyły się i przemierzały noc; matka może tym razem umrzeć z głodu, i Perdita będzie dorastać u serdecznych, życzliwych Ramsayów, mimo wszystko rozpaczliwie samotna.

Perdita zastanawiała się, gdzie jest matka, czy je i czy odzyskuje siły. Nie dawało jej spokoju wspomnienie fioletowego siniaka. On może zostać na zawsze. Może demonstrować światu nieporadność i oplakany stan matki, tak samo jak jej własny splełany głos oznajmiał wewnętrzny zamęt.

Wyrozumiałość Ramsayów, ich niewymuszona troska, były niemal jak wyzwolenie. Zarówno Flora, jak i Ted bardzo się starali, żeby Perdita czuła się u nich jak u siebie. Umieścili ją w pokoju własnej córki i oprowadzili po domu. Ted pokazał Perdicie, jak zrobić małe drewniane pudełko; pokazał jej, jak piłować, przybijać gwoździe, wycinać zachodzące na siebie krawędzie. Jego ulubionym słowem była „zagwozdka”.

- Ten kawałek to dopiero zagwozdka - mówił i uśmiechał się nieśmiało, a Perdita miała poczucie sukcesu, gdy udało jej się rozwiązać jakąś zagwozdkę, gdy przetarła swoje pudełko papierem ściernym, wyczyściła i polakierowała, żeby błyszczało.

W niewielkim warsztacie na tyłach domu Perdita zobaczyła, jak ręce mogą ukształtować użyteczny przedmiot, jak stary człowiek o palcach poźółkłych od nikotyny potrafi wydobyć piękno drewna i nadać godność zwykłej pracy. Wdychała zapach wiórów i widziała troskę, z jaką on, miło marszcząc czoło, używał narzędzi. Ted pochwalił Perdite, gdy

skończyła swoje pudełko.

- Wieko pasuje - stwierdził. - A to największa zagwozodka.

A potem przyłożył stolarski kątownik do krawędzi, żeby zmierzyć kąty proste pudełka.

Od Flory Perdita nauczyła się podstaw gotowania. Stały obok siebie przy kuchennym stole, niemal stykając się biodrami, przesiewając mąkę, zagniatając ciasto, wyciskając kwiatowe kształty babeczek, wszystko w milczącym porozumieniu. Gdy Flora wyciągała ich wspólne dzieła z piekarnika, zachowywała się, jakby odkryła nowy świat.

- Coś podobnego! - wołała.

To było prawie nowe życie. Prawie wyzwolenie.

Niecały miesiąc po tym, jak Perdita u nich zamieszkała, Flora Ramsay oświadczyła jej, że musi pójść do doktora. Perdita poczuła napływ krwi do twarzy i cień niewytłumaczalnego wstydu.

- Do doktora od głosu - wyjaśniła Flora. - Tak trzeba.

Ponieważ Perdita miała z tego powodu nie pójść do szkoły, zgodziła się, jednak przerażała ją myśl, że jej zepsuta i głupia mowa będzie badana przez nieznanego. Całkiem nieznanego.

- To tylko badanie, skarbie - uspokajała Flora, nie dodając żadnych szczegółów.

I tak się stało, że Perdita, dopiero niedawno wzięta pod opiekę rodziny zastępczej, zjawiała się w przychodni przy szpitalu dziecięcym. Flora miała na sobie kapelusz i rękawiczki. Wydawała się zdenerwowana, gdy pchnęła ciężkie wahadłowe drzwi i poprowadziła Perditę do recepcji, gdzie za kontuarem siedziała pielęgniarka w fartuchu. Na ścianach wisiały tablice pokazujące pracę narządów mowy; były tam też przekroje anatomiczne i drastyczne obrazki wnętrza jamy ustnej. Na kontuarze spoczywała różowoliliowa połowa głowy z plastiku. Miała jedno wylupiane oko i budziła przerażające skojarzenia. Błękitne żyły i czerwone tętnice oplatały pajęczyną twarz i szyję, groteskowo napęczniałe i brzydkie. Perdita postanowiła, że będzie dzielna. Ale choć pielęgniarka uśmiechnęła się do niej, prosząc, żeby przeliterowała swoje imię, nie tak łatwo było zdobyć się na dzielność. Znowu nie potrafiła przeliterować imienia bez ujawniania swojej przypadłości. Rozsądna Flora prowadziła całą rozmowę. Pogrzebała w torebce, znalazła pióro i podpisała jakieś papiery.

Tutaj, w małym gabinecie za przychodnią, w której Perdita poczuła strach, spotkała swojego doktora, doktora Wiktora Obłowa. Urodzony w Nowosybirsku, w Rosji, przyплыł do Australii na statku handlowym pod koniec pierwszej wojny światowej, podczas której

służył jako lekarz. Leczył nerwicę frontową, powiedział, i histerię u mężczyzn. Chociaż zwracał się do Flory, Perdita słuchała uważnie: historia brzmiała zajmująco, jak życiorys postaci z powieści Conrada. Miał rzadzące siwe włosy, niemodnie długie, i nosił szafirową muszkę, podkreconą lekko na końcach. Rękawy koszuli miał podwinięte, jakby miał zamiar brać się do pracy fizycznej. Był mniej więcej w tym samym wieku co Flora, ale bardziej dziarski i bystry. Perditę natychmiast oczarował. Głos miał miękki i niski, co jest wspaniałe u lekarza, a jego akcent był na tyle wyrazisty, że od razu zyskiwał profesjonalny autorytet.

- Bardzo mi miło cię poznać - w jego ustach zabrzmiało to szczerze. Gabinet okazał się zabałaganiony i całkiem nielekarski, zachowanie doktora - miłą niespodzianką.

Doktor Obłow miał na biurku przyciski do papieru, które podnosił od czasu do czasu, obracał w szczupłych dłoniach, chyba wymanikiurowanych, i odstawiał z powrotem. Jednym z przedmiotów była szklana kopułka zawierająca kwiat o wielu płatkach, barwy zdumiewająco turkusowej, jaki nie mógł chyba istnieć w naturze. Inna kopułka zawierała maleńki okręciak, unoszący się niepewnie na skłębionych falach, a trzecia kryła motyla barwy opalizującego fioletu. Jako dziecko, które rzadko otrzymywało prezenty, którego jedynym skarbem był kawałek perłowej muszli, Perdita uznała te przedmioty za zachwycające.

Podczas ich pierwszego spotkania padło tylko kilka pytań, więc Perdicie trudno było uwierzyć, że doktor Obłow w ogóle jest lekarzem. Zobaczył, że ona patrzy na trzy kopułki, którymi się bawił, i poprosił ją, żeby wybrała sobie jedną i trzymała ją, gdy on zada jej kilka pytań. Tak będzie łatwiej rozmawiać, wyjaśnił. Perdita uznała to za dziecinny pomysł, ale zgodziła się, żeby zrobić przyjemność staremu doktorowi, i ponieważ, szczerze mówiąc, miała nadzieję, że będzie mogła wziąć do ręki jeden z tych przycisków. Wybrała kopułkę z nienaturalnym kwiatem.

- Gdy mówisz do mnie - powiedział doktor Obłow - wyobraź sobie, że twój głos przenosi się poza ciebie, na kopułkę, i wydobywa się magicznie ze środka niebieskiego kwiatka.

Perdita znów uznała to za głupie - traktuje mnie jak małą dziewczynkę, pomyślała z niesmakiem - ale przedmiot był taki śliczny, że mogła to jakoś znieść. Wzięła przycisk, który był chłodny i doskonały i który był, musiała to przyznać, jedną z najpiękniejszych rzeczy, jakie kiedykolwiek widziała, i odpowiadała na proste pytania doktora, zadawane głosem tak cichym, że ledwo słyszalnym.

Tak, zaczęła się jąkać około dwóch lat temu, po tym jak była świadkiem śmierci ojca. Tak, pogarszało się, mówiła coraz mniej. Tak, zdarzało się, że mówiła bez jąkania; potrafiła deklamować całe ustępy z Szekspira, których nauczyła się od matki.

Tu doktor Obłow odchylił się w krześle, splatając palce.

- Z Szekspira?

- Tak mówi - wtrąciła prostodusznie Flora.

Perdita podniosła na nią wzrok i się uśmiechnęła, a potem wróciła do wpatrywania się w misterną strukturę kopułki.

- Mogłabyś? - zapytał doktor. - Choć parę wersów?

To było całkiem proste: Perdita zadeklamowała monolog Hamleta, który był dla niej najłatwiejszy. Słyszała, jak płynnie mówi, i czuła dumę. Pomyślała przelotnie o matce, szalonej jak księżkę Hamlet, pomstującej, zbuntowanej przeciw procom i strzałom.

Umrzeć - usnąć -

Spać - i śnić może? Ha, tu się pojawia

Przeszkoda: jakie mogą nas nawiedzić

Sny w drzemce śmierci, gdy ścieknie za nami

Doczesny zamęt? Niepewni, wolimy

Wstrzymać się na chwilę.*

Doktor Obłow był wyraźnie pod wrażeniem. Flora promieniała i ścisnęła mocno torebkę, jak podekscytowana dziewczynka w tramwaju.

- Rozumiem - rzekł doktor.

Wyciągnął rozpostartą dłoń, pokazując, że Perdita powinna zwrócić przycisk. Położyła go ostrożnie w zagłębieniu jego dłoni. Odbiło się w nim światło i zaświecił jak drogocenny klejnot.

- Pewnego dnia - rzekł doktor - gdy już przestaniesz się jąkać, będziesz mogła ją sobie zabrać.

Perdita była przez moment uszczęśliwiona, ale zaraz dopadł ją sceptycyzm. Doktor raczej nie będzie musiał spełnić tej obietnicy. Ale doktor Obłow uśmiechnął się do niej i wyciągnął dłoń do uścisku, jakby mimo wszystko nie uważał jej za dziecko, ale dorosłą osobę. Poważnie ujęła jego dłoń, uścisnęła ją jak dorosła i poczuła zadowolenie, że tu przysłała.

Gdy wychodziły z budynku, Perdita mimowolnie otworzyła usta, zaskoczona nagłym porywem wiatru. Florze zleciał kapelusz z głowy. Gdy Perdita walczyła, żeby go odzyskać, poczuła komfort psychiczny. Miło było schwycić kapelusz, oddać go, ujrzeć radość na

* W. Szekspir, *Hamlet*, Akt III Scena I, przeł. S. Barańczak.

obliczu właścicielki.

- Boże święty! - zawołała Flora.

Nawet najbardziej zdeformowane życie w końcu się dostosowuje, znajduje równowagę w nowej sytuacji, którą zaoferowały mu okoliczności. Przez pierwsze miesiące u Ramsayów Perdita czuła się niemal szczęśliwa. Chociaż by się do tego nie przyznała, towarzystwo matki było dla niej uciążliwe, prawie atmosferyczne w swej nieuchronności, jak mrok i lepka wilgoć zapowiadająca monsun, więc gdy zabrano ją do szpitala, córka odczuła pewną ulgę. Flora co tydzień wozila ją w odwiedziny do matki, ale nad tymi spotkaniami ciążył niemożliwy egotyzm pacjentki. Nawet podczas choroby, cierpiąc na odpływ energii i załamanie ducha, Stella wciąż panowała nad sytuacją. Odzywała się szorstko do Perdity:

- Po coś tu przyszła? Co tu robisz?

Gdy Perdita odpowiadała, że nie wie, co ma powiedzieć, Stella burczała:

- Z niczego wyjdzie nic.

Flora powiedziała później do Teda, że Stella wyglądała na „zadowoloną z siebie jak kanibal. Jakby właśnie pożarła i połknęła własną córkę”. (Perdita usłyszała to, leżąc w łóżku, przygnębiona). Flora siedziała w milczeniu, zirytowana. Bardzo nie chciała nikogo oceniać, ale widziała, jak nieszczęśliwa jest Perdita pod osobliwą tyranią, którą narzucała jej matka. Gdy Stella nie była agresywna, była całkowicie nieobecna myślami, ignorując lub ledwo rejestrując obecność Perdity. Odwracała głowę i sprawiała wrażenie, jakby brudna szyba i nudny widok za nią były o wiele bardziej fascynujące.

- To dlatego, że ona jest chora, rybko - tłumaczyła Flora.

„Wiem” - napisała Perdita w swoim notesie, podkreślając to słowo.

- Może powinniśmy ją po prostu zostawić w spokoju.

Flora poklepała Perdite po ręce. Dwie pielęgniarki obserwowały, jak ta dziwna para próbuje wciąż od nowa nawiązać kontakt z panią Keene.

- Cholerna tragedia, i tyle - powiedziała jedna z pielęgniarek, gdy usłyszała, jak nieszczęsna córka się jąka.

Gdy wychodziły, Perdita zobaczyła, że Stella sięga po puszkę po herbatnikach ze starymi guzikami, którą wciąż wytrwale hołubiła. Rozległ się grzechot, potem wszystko

ucichło i kolejny rozdział został zamknięty.

*

Podczas drugiej wizyty u doktora Obłowa Perdita znów pomyślała, jak bardzo nieprofesjonalnie to wszystko wygląda. Tym razem Flora została poproszona o pozostanie w poczekalni. Doktor znowu przywitał Perditę uściskiem dłoni. Posadził ją w za dużym dla niej fotelu z brązowej skóry i wręczył kopułkę z kwiatem do potrzymania podczas rozmowy.

- Opowiem ci - odezwał się doktor Obłow, tym swoim zaskakująco cichym głosem - o swoim życiu. Potem ty opowiesz mi o swoim. Ja będę trzymał ten statek - uniósł do góry kopułkę ze statkiem na falach - bo to mi pomaga mówić. Lubię, jak spoczywa tak swobodnie w moich dłoniach, i wiem, że może zanieść moją historię do ciebie.

Tu doktor Obłow przerwał i się uśmiechnął. Perdita pomyślała, że przypomina jej to mrugnięcia Mary podczas oszukiwania w kartach; jakby mieli jakieś wspólne tajemne porozumienie.

- Urodziłem się prawie sześćdziesiąt dwa lata temu w małym mieście pod Nowosybirskiem w Rosji. Pochodziłem z rodziny, którą tutaj nazywa się klasą średnią: mój ojciec był prawnikiem, matka odziedziczyła niewielki majątek; słowem żyliśmy wygodnie i zamożnie. Mieliśmy służbę: Maszę, która gotowała i sprzątała, i starego Iwana, który pomagał w domu. Nie traktowaliśmy ich jak służących. I miałem dwie wspaniałe siostry, Olgę i Ilenę, obie trochę starsze ode mnie. Uwielbiałem moje siostry, a one uwielbiały mnie. Przebierały mnie i czyniły obiektem swoich zabaw, a ja bardzo chętnie się na to zgadzałem. Czytały mi książki i pomagały w odrabianiu lekcji. Obie miały długie blond loki, były śliczne jak z obrazka. Moje włosy były ciemne.

Gdy miałem dziesięć lat, a Olga i Ilena dwanaście i czternaście, wszyscy zachorowaliśmy na gripę hiszpankę. Wielu ludzi w naszym mieście zachorowało, epidemia postępowała bardzo szybko, przerażało mnie to. Olga i Ilena zmarły, i zostałem sam. Też chciałem umrzeć, ale tylko wypadły mi wszystkie włosy. Pamiętam siebie z tego okresu jako małego, łysego chłopca zdjętego bólem; czułem się zagubiony i jakby nierealny. Matka kupiła mi czapkę, którą nosiłem w dzień i w nocy. Dopiero po mniej więcej roku włosy zaczęły mi odrastać.

Tu doktor Obłow przerwał. Perdita wpatrywała się nieruchomym wzrokiem w szklany kwiat.

- Chyba właśnie wtedy postanowiłem, że gdy dorosnę, zostanę lekarzem. Potem studiowałem w szkole medycznej w Nowosybirsku, a później w Moskwie. Studiowałem

długo i z przerwami - to był w Rosji szalony czas, czas rewolucji, a niedługo po ukończeniu przeze mnie studiów wybuchła wojna. W tysiąc dziewięćset czternastym roku miałem trzydzieści cztery lata. Podczas wojny widziałem rzeczy, które kazały mi wątpić w ludzkość, ale, wybacz mi, nie będę o tym tutaj mówił. Po wojnie wyjechałem do Wielkiej Brytanii i zostałem obywatelem brytyjskim. Pokochałem język angielski. Uwielbiam Szekspira - dodał, znowu się uśmiechając. - On jest taki rosyjski, ten Mr Szekspir.

Przerwał, żeby zobaczyć, jak Perdita zareaguje na ten żart.

- W Londynie zakochałem się w młodej Angielce, pielęgniarce, która jak ja lubiła książki, była pracowita i spokojna, a jej rodzina zdecydowała się wyemigrować do Australii. Więc przyjechałem za nią tutaj, podążyłem za moją miłością, w tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim.

Doktor Obłow umilkł i zapatrzył się w swoje kolana.

To było staroświeckie podejście, całe to gadanie o miłości. Perdita nigdy wcześniej nie słyszała, żeby ktoś w ten sposób opowiadał.

- Ma pan żonę? - zapytała wprost, bez śladu jąkania.

Doktor Obłow zawahał się, szukając odpowiednich słów.

- Nie - odparł - ale mam towarzyszkę życia. Jestem tutaj szczęśliwy - kontynuował. - Lubię ten kraj. Pracuję głównie w szpitalu dziecięcym i jeden dzień w tygodniu w tej przychodni. No. A ty, co chciałabyś mi opowiedzieć o sobie?

Perdita poczuła, że przepelnia ją tysiąc różnych historii. Obracając w dłoni kopułkę, zauważyła wypukłe zniekształcenia płatków. Wszystko zależało od kąta patrzenia.

Perdita opowiedziała doktorowi Obłowowi (jąkając się) o swoich ekscentrycznych rodzicach, o dzieciństwie w izolacji, o wojnie przypinanej do ściany. Potem, gdy już się ośmieliła, opowiedziała mu o Mary i Billym, że byli złączeni jak zachodzące na siebie krawędzie drewnianego pudełka. Są inne rodziny, stwierdziła, nie tylko ta, w której człowiek się urodził.

Wreszcie zaczęła opowiadać o śmierci ojca, ale gdy zbliżyła się do tego tematu, poraziła ją jak obuchem świadomość, że wcale nie jest pewna, kto go zabił. Mary tam była, ale też matka, Billy, i ona sama. Cztery osoby. Tylko ich czworo. Do narracji wkradła się jakaś dziwna aura niedomówienia, wyraźny brak precyzji. Język zaczął się jej plątać; nie mogła mówić dalej.

Przeraziło ją uświadomienie sobie, że nie wie, co zaszło. Że nie myślała o tym aż do teraz, ani nie zdawała sobie sprawy ze swej niewiedzy. Czowała się, jakby doznała nagłego ataku choroby morskiej, doświadczanej po omacku, w wilgotnej ciemności, gdy podłoga

ucieka spod stóp, a wszystkie płaszczyzny niebezpiecznie się przechylają. Coś brzydko pachnie. Człowiek czuje się jak na huśtawce, a w dole fale kołyszają się nad czymś dawno zatopionym.

Chodziło przecież o zbrodnię, a jej przyszło do głowy, że winna może być matka! Rozmawiała z doktorem Obłowem jak z nikim innym wcześniej - ujawniając kłopotliwy sekret - miłość do Mary i Billy'ego - jednak pod spodem jej opowieści kryła się jakaś nieznośna komplikacja. Gdy dochodziła do jądra sprawy, pamięć się rozmywała, natykała się na lukę i jej własna historia traciła kształt.

- Na dzisiaj wystarczy - rzekł doktor Obłow, wyczuwając udrękę Perdity. - Jeszcze porozmawiamy. I może, jeśli będziesz tak miła, zechcesz mi coś wyrecytować.

Perdita była zdenerwowana i w rozterce. Zobaczyła, że ręka doktora wyciąga się po kopolkę. Położyła ją na jego dłoni i poczuła, z niezrozumiałego powodu, że chce położyć głowę miękko na boku brązowego skózanego fotela i płakać, płakać.

Gdy wyszły na zewnątrz, Flora zapytała tylko:

- I co?

Perdita napisała w swoim notesiku: „Opowiedział mi o swoim życiu, że miał dwie siostry, które umarły. A on wyłysiał”.

Flora zrobiła wielkie oczy.

„Nie ma żony - dodała Perdita, gryzmołami - ale ma towarzyszkę życia”.

- O mój Boże - rzekła Flora.

Jednak Flora w jakiś sposób wciąż ufała doktorowi Obłowowi. Zauważyła, jak cicho mówi ten cudzoziemski doktor, tak bardzo nie po australijsku. Stwierdziła, że musi być wrażliwy, skoro odzywa się z taką nieśmiałością.

„Umarły na grypę hiszpankę” - napisała Perdita.

- O?

- „Siostry. Obie siostry umarły na hiszpankę”.

Perdita starała się wyobrazić sobie doktora Obłowa jako małego łysego chłopca, osłabłego, zgiętego wpół, pogrążonego w żałobie. Jego oczy były wilgotne i podpuchnięte, głowa lśniła brakiem włosów. Z samotnością było mu do twarzy. Widziała, jak nakłada nową czapkę, obleka twarz w maskę dzielności i odchodzi, dawno temu, w dalekim zaśniewanym kraju. Stawał się coraz mniejszy, ten opuszczony mały chłopiec, aż w końcu zniknął. Spowił go aksamitny mrok, ciemny jak śmierć. Tak wyobrażała sobie rosyjską ciemność, sięgającą pustkowi i najodleglejszych dali. To była ciemność szekspirowska, pełna udręczonych postaci, samotnych, monologujących, przywodzonych do aktów desperacji i przeznaczonych

do niepospolitych losów.

*

Jakby opuszczenie całego dnia w szkole nie było wystarczającą gratką, Flora miała w zanadrzu drugą niespodziankę dla Perdity. Po wyjściu z przychodni poszły spacerkiem do centrum miasta. Perdita zobaczyła przed sobą świat zakupów i handlu, biznesu i transportu, i śpieszących się ludzi, którego właściwie nie znała z bezpośredniego doświadczenia. To była prawdziwa euforia, stanąć w środku miasta, widzieć przemykające wte i wewte tramwaje z brzuchami pełnymi wyglądających przez okna pasażerów, z zakrzywionymi pantografami, poruszające się po bezpiecznie wyznaczonych torach; patrzeć na lśniące wystawy domów handlowych, upozowane manekiny w drogiej odzieży, szeroki asortyment towarów, szyldy i kuszące reklamy. Tyle rzeczy błyszczało, odbijało się jedne w drugich, powtarzało bez końca. I chociaż wokół budynków publicznych w wysokich stosach ułożone były worki z piaskiem, niepokojące napisy wskazywały usytuowanie schronów, a do szyb okiennych poprzyklejane były paski papieru - skromny środek przeciw eksplozjom roztrzaskiwanych bomb - wojna wydawała się bardzo odległa i trudno było w nią uwierzyć.

Flora poprowadziła Perdite wzdłuż jednego z pasaży handlowych. Dziewczynka odkryła, że świat wyrobów fabrycznych dzieli się na działy i kategorie. Był tam osobny sklep z biżuterią i zegarkami na rękę, inny z książkami; obok znajdowała się kawiarnia, a dalej sklep z kapeluszami, setkami nakryć głowy o cudacznej różnorodności i bezsensownej ornamentacji. Ze sklepu wyszła kobieta w kanarkowożółtej sukience i ciemnych, łukowato wygiętych okularach przeciwsłonecznych. Mijając Perdite, uśmiechnęła się do niej. Na płytach chodnika rozbrzmiała melodia jej wysokich obcasów. Dalej widać było pasiaste błękitne markizy, limonkowitzelone neony i obrusy w czerwonej kratkę. Nad przedmiotami w kryształowym świetle gablot pochylały się ufryzowane panie i panowie w zgrabnie skrojonych czarnych garniturach.

Perdita czuła tępe oszołomienie wiejskiej dziewczyny, ale też ekscytację i sekretne podniecenie; wszystkim artykułom towarzyszyła tak wymyślna ekspozycja, pełna tyłu sztuczek. Flora oświadczyła, że dzisiaj będą tylko oglądać wystawy. Perdita jeszcze nie pojmowała prawdziwej wagi pieniądza, dlatego nie odczuwała braku czegokolwiek ani też ochoty na nic konkretnego. Słuchała ochów i achów Flory obojętnie, pogrążona w swoich myślach.

Po jakiejś godzinie usiadły w parku przed gmachem sądu i zjadły kanapki z pomidorem, które Flora miała ze sobą. Choć był to skromny posiłek, Perdita czuła się całkiem

usatysfakcjonowana. Myśli uciekły jej do doktora Obłowa i łysego chłopczyka, którego sobie tak plastycznie wyobraziła. Potem pomyślała o własnej niejednoznacznej, niedopowiedzianej roli w scenariuszu pełnym mętnych i niekompletnych szczegółów. Gryząc gąbczasty chleb, rozmiękczony przez ciepłe pomidory, Perdita tylko jednym uchem słuchała trajkotania Flory o towarach do kupienia i rzeczach, których się pragnie. Dla niej kwestia posiadania rzeczy była zdumiewająca. Tyle się musiała jeszcze nauczyć. Nie mogła się doczekać, kiedy będzie dorosła.

Po drodze do domu tramwajem, nadmiernie pobudzona od wizji i wyobrażeń, Perdita była teraz jedną z tych twarzy za szybą, zagapionych w przesuwały się na zewnątrz rozedrgany obraz miasta. Latarnie, sklepy, efektowne samochody. Zaczynała jej się ujawniać topografia miasta. Jakiś pomnik na rogu ulicy, jakiś charakterystyczny punkt orientacyjny. Niezamierzone piękno tego czy tamtego widoku.

I wtedy nagle, kompletnie niespodziewanie, Perdita ujrzała Billy'ego Trevora, jej Billy'ego.

Stał przed stacją benzynową w brązowym kombinezonie roboczym. Odwrócił się i pomaszerował energicznie do otwartych na oścież drzwi warsztatu. Perdita zerwała się z siedzenia, oznajmiając:

- M-m-muszę się z kimś spotkać. Do z-z-zobaczenia w domu - i dzielnie znosiła pytania Flory, podczas gdy tramwaj powoli przetaczał się przez następny kwartał, do kolejnego wyznaczonego przystanku. Obiecała, że nie zajmie jej to dłużej niż pół godziny. Gdy się zatrzymali, Perdita zbiegła po schodkach tramwaju i popędziła z powrotem do stacji benzynowej.

Oto był tam, Billy, z głową w samochodzie. Miał dwadzieścia jeden lat, oficjalnie był mężczyzną, ale wciąż po chłopięcemu niezgrabnym i o niemądrym wyglądzie. Perdita stanęła zasapana w szerokich drzwiach, czekając, aż on podniesie wzrok. Najpierw tylko zerknął. Może to światło z tyłu, redukujące ją do ciemnego kształtu, a może upływ czasu uczynił ją mniej rozpoznawalną. Ale zaraz Billy uśmiechnął się szeroko, ukazując krzywe zęby, i ruszył, żeby ją objąć.

Perdita czuła olej, benzynę i kwaśną woń samochodów. Uwalany smarem świat silników samochodowych. Srebrny połysk twardych przedmiotów. Billy był teraz wysoki i usmarowany, ale bardzo swojski. Z kieszeni wyjął usmolony bloczek i zaczął pisać pytania. Perdita była zaskoczona, bo nie wiedziała wcześniej, że Billy potrafi pisać i czytać.

„Jak się masz?”.

„Gdzie mieszkasz?”.

„Potrzebuję twojej pomocy” - napisała Perdita na bloczku.

„Jakiej?”.

„Żeby zobaczyć się z Mary. Nie pozwolą mi się z nią zobaczyć bez kogoś dorosłego”.

Billy kiwnął głową. Perdicie wydawało się, że od razu zrozumiał.

„Kiedy?”.

Cały miniony czas przestał się liczyć. Odnaleźli się w tym wielkim hałaśliwym mieście, dwoje odmieńców, jednakowo samotnych, niosących ze sobą chaotyczny ładunek cennych wspólnych wspomnień. Mimo wszystkich błędów i problemów, jakie może przynieść życie, istniały między nimi więzi niepozostawiające żadnych wątpliwości. To dawało im siłę.

*

Pewnego deszczowego wtorku oboje poszli na wagary. Znali już godziny odwiedzin. W autobusie wymieniali karteczki, jak niesforne dzieci na lekcji, żeby poznać szczegóły czasu, jaki upłynął od ich ewakuacji. Dzięki znajomemu ojca Billy'emu zaproponowano terminowanie w warsztacie u mechanika. Okazało się, że ma smykałkę do maszyn. „Smykałkę”. Napisał to i podkreślił. Perdita odpisała, że nienawidzi szkoły. Że jej jąkanie się pogorszyło. Że chodzi do doktora. „Obłow” - napisała na bloczku. „Obłow?” - powtórzył Billy. „Rosjanin” - napisała Perdita.

Kobieta w recepcji Greensleeves pamiętała Perdite. Billy Trevor jest osobą dorosłą, oświadczyła Perdita łamiącym się głosem. I też znajomym Mary.

Później uświadomiła sobie, jak osobliwą musieli stanowić parę - tyczkowaty i nieśmiały głuchoniemy młodzieniec, wciskający niespokojne dłonie w głąb kieszeni, i prowadząca go podekscytowana dziewczynka.

Kazano im usiąść w ostentacyjnie surowej poczekalni. Były tam szare ściany, elektryczne żarówki w osłonkach ze stalowej siatki, brakowało jakichkolwiek dekoracji. Wreszcie otworzyły się drzwi i weszła ona. Mary zawahała się w drzwiach. Miała niespełna dziewiętnaście lat; była kobietą.

Jej wargi rozchyliły się w zdumieniu, dotknęła szyi, wstrzymując coś, okrzyk czy szept, a potem opanowała się i rzuciła:

- Hej, Dita, kopę lat. Hej, Billy, bracie.

Była spokojna i piękna. Jej twarz okalały ciemne kędziory. Perdicie wydawało się, że Mary zachowuje się z nieoczekiwaną rezerwą; może pozbawienie wolności uczyniło ją skrytą, wymusiło rygorystyczne panowanie nad sobą.

Nie wolno im było się uściskać, w ogóle dotykać. Kobieta, która przyszła ich pilnować, ujrzała milczący trójkąt: Aborygenkę morderczynię, głupkowatą dziewczynkę, rudego dziwoląga, i niewątpliwie po cichu dziękowała Bogu, że sama jest normalna.

Mary usiadła po drugiej stronie stołu. Billy uśmiechnął się szeroko i nabazgrał coś w swoim bloczku, ale kobieta stojąca za nimi pochyliła się i wyrwała mu zapisek.

- Żadnych karteczek! - powiedziała ostro.

Jak więc wyglądała wizyta? Mówiła głównie Mary. Zmartwił ją stan Perdity: pełna werwy dziewczynka, którą kiedyś знаła, dukająca porwane, sękate słowa, z twarzą skrzywioną od wysiłku, po jej łobuzerskim zachowaniu nie zostało śladu.

Perdita opowiedziała jej o Joeyu nad rzeką, i o Florze i Tedzie. Powiedziała o matce w szpitalu i dramacie chodzenia do szkoły. Potem przypomniała sobie prezent i zapytała Mary, czy go dostała.

- Prezent? Dziękuję. Muszę trzymać pod poduszką. Dobrze mieć z powrotem wszystkich tych szalonych świętych, co?

Mary przestała mówić na chwilę, żeby zobaczyć, czy Perdita chce coś powiedzieć. Potem przystąpiła do ataku.

- A więc czemu nie odpowiadałaś na moje listy, Dita?

- L-l-listy?

- Przez cały cholerny rok wysyłałam ci listy, aż w końcu dałam sobie spokój.

Perdita poczuła, że oczy wypełniają jej się łzami. Jeszcze i to? Pozbawienie listów od Mary? Perdita wyjąkała, że nigdy nie dostała żadnego listu. Tyle czasu czuła się zaniedbana, opuszczona, w pewien sposób okaleczona, znalazłaby pociechę nawet w kilku słowach od Mary. I sama też by ją pocieszyła. I - naturalnie - z wielką ochotą by odpowiedziała. Billy z trudem odczytywał z ruchu warg jej jękane wyznania, ale wydawał się rozumieć wszystko, co mówiła Mary.

Siostry spojrzały na siebie. Mary pochyliła się i poklepała Perdite po rękę.

- Nie szkodzi - powiedziała. - Pewnie jakaś pomyłka.

- Żadnego dotykania! - zabrzmiał rozkaz.

Ich dwudziestominutowa wizyta upłynęła zdecydowanie za szybko. Dowiedzieli się, że Mary, gdy nie była zamknięta w odosobnieniu, uczyła inne więźniarki czytać i pisała do instytucji charytatywnych prośby o dary książek.

- Następnym razem przynieście jakąś książkę. I zostawcie w biurze adresy.

Teraz brzmiała chłodno, jak obca. Już przygotowywała się na rozstanie z nimi. Perdita zawsze sobie wyobrażała, że gdy w końcu zobaczy Mary, wybuchnie ogromna radość, poleją

się łączy szczęścia, i że wreszcie obie przestanie determinować mroczna przeszłość. A tu spędzili czas, porozumiewając się z trudem, skrepowani i pod presją otoczenia.

Perdita i Billy wyszli zniechęceni. Na dworze zaczęło padać, więc szybko oboje przemokli. Poszli na przystanek autobusowy, niebieskimi od deszczu ulicami przedmieścia, w ociekającej, pełnej smutku ciszy. Białe strugi spowiły ich i ochłodziły. Mijały ich ślizgające się na szosie auta, wzbudzając fontanny wody. Wszystko ciemniało, stawało się nocą, jakby żywioł wyrażał ich niewysłowioną żal.

Terapia, którą opracował doktor Obłow, opierała się na pentametrze jambicznym, rytmie i akcencie wersów, które stosował Szekspir. Prosił Perdite, żeby przeczytała sonet - co robiła bez zająknięcia - a potem dawał jej zwykłe zdania specjalnie ułożone w wersy tej samej długości i z tym samym systemem akcentów. W ten sposób Perdita zaczęła w wersach pytać o cenę bananów, przeproszać, że spóźniła się do szkoły, robić banalne acz płynne uwagi o stanie pogody. Doktor Obłow miał przygotowane dla niej całe strony takich ćwiczeń. Najpierw był to tylko Szekspir, którego słowa pojawiały się w jej ustach nieokaleczone, ale stopniowo pojedyncze linijki napisane przez doktora zaczęły działać w ten sam sposób, tak że Perdita odkryła, że w śpiewnej i przesadnej szekspirowskiej manierze może kontrolować całe zdanie. Zaczęła modelować własne dziesięciozłogowce, z akcentem na co drugiej jednostce metrycznej.

- Myśl o słowach - mówił jej doktor Obłow. - Na wprost, przez most, przez las, na czas. Myśl o zdaniach - dodawał. - Pa-Pam, pa-Pam, pa-Pam, pa-Pam, pa-Pam.

Więc Perdita zaczęła powtarzać słowa doktora, jakby czytała dźwięczne stare wersy:

*Jak fala mknąca ku piaskom na brzegu,
Każda z chwil naszych ku kresowi płynie,
Miejsce poprzednich zajmując w swym biegu;
I wraz z innym naprzód prąc zaginie*.*

Rym był wspaniały. Rytm o wiele trudniejszy. Gdy nie skandowała specjalnie ułożonych wersów - czasem krzywiąc się, gdy wracało jąkanie, tak że postęp był nierówny, a frustracja nieuchronna - doktor Obłow pytał Perdite o więcej szczegółów z jej życia. W tych opowieściach jej mowa była wyboista i niezdana: nie potrafiła znaleźć jambicznego rytmu, który uczyniłby jej własne życie prawdopodobnym. Doktor Obłow powiedział, że to jest ich cel: aby pewnego dnia opowiedziała swoją własną historię z prostotą i klarownością.

* W. Szekspir, *Sonet LX*, przeł. M. Słomczyński.

- Dlaczego pan wyłysiał? - zapytała go raz Perdita.

- Ach - odrzekł smutno. - Miałem zwyczaj wieczorem czesać włosy moim siostram, po sto pociągnięć szczotką dla Olgi i Ileny. To był nasz wspólny rytuał, znak naszej miłości. Gdy one odeszły, moje ciało pokazało symbolicznie, co straciłem.

Tutaj doktor Obłow poczekał, aby ocenić reakcję Perdity.

- Nie mamy kontroli nad pojawianiem się takich symboli - rzekł ostrożnie. - Dopiero później możemy spróbować je zrozumieć lub naprawić.

Perdita obracała w małych dłoniach kopułkę z kwiatem. To był ładny wiosenny poranek: szaroniebieskie światło wlewało się do środka przez wysokie okno gabinetu; na regałach stały książki, na parapecie aspidistra, panowała atmosfera swobodnego zaufania i cichych wyznań, i nagle uświadomiła sobie, że zaczyna mieć nadzieję. Wcześniej była jej pozbawiona, zrezygnowana. Była zamknięta jak muszla z perłą, ukryta w ciemnej głębi, obmywana przez fale sił, których nie rozumiała. A teraz ten mężczyzna w gabinecie nie wstydził się mówić o miłości do swoich sióstr, okazywał zaufanie, był autentycznie zainteresowany jej historią. Wtedy wierzyła, że tu właśnie, w tym pokoju, stopniowo znów nauczy się mówić.

*

Gdy nadeszły jej trzynaste urodziny, Perdita musiała się przyznać Florze Ramsay, że nie ma ani jednej szkolnej koleżanki, którą Flora mogłaby zaprosić na herbatę i ciasto. Jej przyjaciółmi, wyznała, są Billy i Mary, ale żadne nie może przyjść na uroczystość zaplanowaną przez Florę. Więc w końcu poszły razem do kina, na sobotni seans, o drugiej po południu, w Piccadilly Theatre. Flora włożyła swój wyjściowy letni kapelusz, kopułkę z ciemnobrązowej słomy ozdobioną szklaną szpilką, a Perdita nową sukienkę, którą kupili jej na urodziny Flora i Ted. Perdita uznała ją za bajeczną. Była zrobiona ze sztywnej czerwonej bawełny, a jej gors ozdabiałały cztery wielkie guziki.

Ponieważ Perdita jeszcze nigdy nie była w kinie, nie wiedziała, czego ma się spodziewać. Do miasta poszły na piechotę, żeby zaoszczędzić na bilecie w jedną stronę. Gdy dotarły na miejsce, dziewczynka była tak zziębnięta, że jej uroczysty nastrój nieco osłabł. Stwierdziła, że jest spocona pod pachami i ma mokre czoło. Ale potem rozejrzała się po foyer i - och - cóż to było za miejsce! Luksusowe, wyściełane poduszkami wnętrze, jakiego nie widziała w żadnym innym budynku, które, jak później się zorientowała, było wystrojem typowym dla kina. Pod stopami miała gruby dywan w barwach jesieni, a dookoła wisiły kotary z bursztynowego aksamitu, rozdzielone jedwabistymi sznurami, aby ukazać oprawione

w szkło plakaty nieludzko pięknych gwiazd filmowych. Pod ścianami stały sofy w tym samym bursztynowym kolorze; miały poręcze z frędzlami i potężne nogi. W oświetlonej budce stała kobieta z niesamowitym hełmem włosów koloru blond („z butelki”, szepnęła Flora), która oddzierała niedbale bilety z wielkiej różowej rolki i przyjmowała pieniądze widzów ze wzgardliwym znudzeniem. Była to najbardziej olśniewająca kobieta, jaką Perdita kiedykolwiek widziała. Miała szkarłatne paznokcie, tego samego koloru co wygięte w kształcie łuku Amora usta; na powiekach czarne cienie, a na każdym policzku koła różu. Dekolt jej był tak głęboki, że później przy kolacji Flora nazwała go „bezwstydnym”. Ale wtedy, przy pierwszym spotkaniu, podczas jej pierwszej wizyty w kinie, ta kobieta była lśniącem i oślepiającym zwiastunem przyszłych widoków. Perdita nie mogła się przestać gapić. Flora musiała ją odciągać.

Gdy weszły na widownię, było prawie całkiem ciemno. Bileterzy - chłopcy w mundurach w wojskowym stylu, w małych czapczkach bez ronda, świecili latarkami, żeby pokazać im drogę do ich miejsc. Perdita zastanawiała się, dlaczego nikt nie włączy światła. Słychać było przyjemny szmer ściszonych głosów i czuło się atmosferę oczekiwania. Flora była niespokojna i oznajmiła, że nie może się rozluźnić. Nagle skądś odezwała się orkiestra, grająca *Boże, chroń króla*, więc wszyscy wstali; była to ceremonia, która nappełniła Perditę bierną powagą. Ale zaraz usłyszała za sobą cichy terkot i odwróciła się zdziwiona. Z kwadratowego otworu w ścianie wystrzelił snop białego światła, i wtedy zaczął się pokaz. Poły ciężkiej kurtyny rozchyliły się z tajemniczą synchronicznością i przy akompaniamencie triumfalnej, grzmiącej muzyki rozpoczęła się kronika filmowa Cinesound.

Serce Perdity waliło szybko pod nową czerwoną sukienką. Wyciągnęła rękę i szybkim, serdecznym ruchem uściśnęła dłoń Flory. W stalowej szarości i bieli wojska maszerowały na ekranie po przekątnej, myśliwce wznosiły się w górę, politycy gestykulowali. Głos spikera miał w sobie ton surowego nawoływania, całkiem podobny do wysokiego tonu Stelli, gdy recytowała Szekspira. Spiker wręcz wykrzykiwał wiadomości o wydarzeniach wojennych. Wojna działa się szybciej i była mniej przygnębiająca, niż Perdita sobie to wyobrażała. Na tle zwawej ścieżki dźwiękowej wojska aliantów wydawały się całkiem radosne i wesołe. Jeden żołnierz salutował wprost do kamery i pozował jak bohater, inny machał entuzjastycznie, pędząc w swoim dzipie.

Perdicie kręciło się w głowie od prędkich, migających obrazów, liczby ludzi pojawiających się na ekranie i zaraz znikających, od przerażenia, że nie wie nic o świecie. Pograżone w mroku kino kołysało się i przesuwało dookoła niej, tak że chwyciła mocno poręcze swego fotela.

Potem, równie nagle, obrazy znowu się zmieniły. Zaryczał lew w kole, zabrzmiała muzyka orkiestrowa crescendo i na całej szerokości ekranu pojawiły się gigantyczne ozdobne litery *Rebeka*. Z jakiegoś miejsca wewnątrz ekranu kobiecy głos rozpoczął narrację:

Śniło mi się tej nocy, że znowu byłam w Manderley. Wydawało mi się, że stoję przed bramą z kutego żelaza, prowadzącą do alei wjazdowej, nie mogę jednak wejść, gdyż brama jest zamknięta... Nagle, jak to bywa we śnie, zostałam obdarzona nadprzyrodzoną mocą i przeniknęłam jak duch przez bramę zagrządzającą mi drogę.*

Perdita patrzyła, jak widmowa mgła słabnie i się rozwiewa, potem doświadczyła nadprzyrodzonej zdolności, ruszając z senną posuwistością w górę wijącej się drogi. Manderley było zniszczoną rezydencją; widać było sylwetkę jej spalonego kształtu. Obraz utrzymywał się przez chwilę, potem zasnęła go chmura i ukazał się kolejny.

Gdy w końcu zapalono światła, Perdita nie była pewna, gdzie jest. Rozejrzała się i zobaczyła, że ludzie biorą swoje torebki i wstają, żeby wyjść. Usłyszała, że Flora mówi: - No! - przyjemnym, pełnym samozadowolenia tonem. Uświadomiła sobie, że przez cały film ścisnęła dwa guziki swojej nowej sukienki, jakby musiała trzymać się swojego ja, które tak łatwo dało się porwać, tak łatwo przenieść do błyszczącego świata historii opowiedzianych światłem. Wyglądała, jakby udzieliła jej się szlachetna bladeść bohaterki, której twarz i głos nie chciały całkiem zniknąć z jej głowy. Perdita nie ruszała się ze swego fotela. Flora lekko ją szturchnęła i powoli, wciąż w połowicznym - a może podwójnym - życiu, wstała, jak w transie, i pozwoliła się wyprowadzić na zewnątrz, z powrotem w gorący letni dzień, teraz o barwie złota, oślepiający i o wiele za bardzo materialny. Przypomniała sobie później, że zegar na ratuszu wybił godzinę dokładnie wtedy, gdy wyszły na ulicę. Ogłosił jej urodziny, pomyślała. Ogłosił narodziny tej nowej dziewczynki, którą się stała po swojej pierwszej wizycie w kinie.

*

Gdyby Perdita była w stanie mówić swobodnie, opisałaby szalonym strumieniem słów każdemu, kto by tylko chciał słuchać, zagadkowe przeistoczenie, którego właśnie doznała, rozkołysany zamęt w ciele i umyśle, oszołomione poddanie się w ciemności alternatywnemu światu. Ale przywykła do skrytości i milczenia, więc zamiast tego napisała rozwlekły list do Mary, relacjonując jej, dość drętwo, akcję *Rebeki* „Kino jest - pisała - zarówno podobne, jak i

· Daphne du Maurier, *Rebeka*, przeł. E. Romanowicz-Podoska.

niepodobne do czytania”, ale z jakiegoś powodu nie potrafiła wyjaśnić precyzyjnie dlaczego. Jak w mowie, tak i w piśmie słowa zdawały się ją zawodzić.

To, co pisała do Mary, było takie gładkie i płaskie. Nie umiała sobie poradzić z wyrażeniem tego, co widziała i czuła. Podświadomie docierało do niej, że to jest kolejne zadanie, którego będzie się musiała nauczyć od nowa; jak kojarzyć ze sobą słowa i uczucia.

Dzień po *Rebecce* (wizyta w kinie służyła teraz jako punkt odniesienia) Flora zabrała Perdite do matki. Flora mylnie uważała, że Stella będzie chciała zobaczyć się z córką, żeby uczcić jej urodziny, ale zastała nie tylko tradycyjną wyniosłość, ale też izolację wywołaną chorobą. Z nosem czerwonym od grypy, z oczyma zażawionymi od kichania Stella była tak zaabsorbowana sobą, że nie mogła znieść gości. Mimo wszystko Flora i Perdita zostały. Usiadły na krzesłach obok jej łóżka i usiłowały posłusznie nawiązać lekką konwersację. Nie wiedzieć czemu, włosy Stelli były wciśnięte pod srebrzystą siateczkę, która, jak pomyślała Perdita, wzdrygając się odruchowo, przypominała pajęczynę. Perdita włożyła swoją nową sukienkę - prezent urodzinowy - i miała nadzieję, że Stella ją zauważy, ale wiedziała już, że jednym z symptomów choroby matki jest obojętność.

Miały już odchodzić, gdy Perdita postanowiła zadeklamować matce sonet, ten, którego się nauczyła tydzień wcześniej u doktora Obłowa. Zaczęła więc:

*Jak fala mknąca ku piaskom na brzegu,
Każda z chwil naszych ku kresowi płynie,
Miejsce poprzednich zajmując w swym biegu;
I wraz z innym naprzód prąc zaginie.*

Stella odwróciła się, wzięła głęboki oddech, jakby zbudzona ze snu, i przyłożyła palec wskazujący do ust:

- Ćśśś.

Potem, gestem niezwyklej, właściwie bezprecedensowej, czułości, wyciągnęła rękę i dotknęła policzka Perdity wierzchem dłoni.

- *I wraz z innym naprzód prąc zaginie* - powtórzyła. - Idźcie już.

Bez słowa Flora i Perdita wstały i wyszły. Gdy Perdita się obejrzała, zobaczyła, że jej matka, ta rozmemłana kobieta na łóżku, lat pięćdziesiąt jeden, nakryta pajęczyną i zniszczona życiem, zapadła się w siebie i chyba natychmiast zasnęła.

Lato tego roku wydawało się ciągnąć bez końca.

Stella wciąż była w szpitalu, gdzie jej stan nieco się poprawił. Perdicie i Billy'emu udało się kilkakrotnie odwiedzić Mary. Za każdym razem przynosili jakąś książkę z rodzinnej kolekcji. Perdita ukradła też *Rebeke* Daphne du Maurier z biblioteki publicznej i po przeczytaniu i starannym usunięciu wszelkich pieczętek, ofiarowała ją jako dodatkowy prezent. Mary przyjęła ją łaskawie i wyznała dopiero jakiś czas później, że wydała jej się nudna.

Między nimi wciąż utrzymywał się pewien dystans, ale stopniowo też coś zaczęło nawiązywać się na nowo; istniał jakiś korytarz porozumienia, w którym się ostrożnie spotkały. Gdy Perdita pierwszy raz zaprezentowała jedno ze swoich zdań w pentametrze jambicznym, Mary się śmiała - wydało jej się to zbyt pretensjonalne i brzmiące jak piosenka. Niemniej zdanie wyszło kompletne, więc w końcu zaczęły się śmiać razem, obie świadome realnej możliwości powrotu do normy. Billy zobaczył, że się śmieją i przyłączył się, niepewny powodu, ale zadowolony, że znowu widzi dawne uśmiechy dziewcząt. Z każdą wizytą Perdita stawiała się trochę bardziej pewna siebie, swojej przyjaźni, swojej mowy, znalezienia ciągłości. Kochała Mary. I tyle. Po prostu.

Szkoła też robiła się powoli bardziej znośna. Perdita zjednała sobie szacunek nauczycieli, którzy przekonali się, że jest ona mimo wszystko nieprzeciętnie inteligentna, tylko po prostu woli, żeby jej nie zadawać pytań i nie wzywać do odpowiedzi. Gdy już przestali ją nękać, została wzorową uczennicą. Pisała wypracowania zaskakująco dojrzałe i z zacięciem stylistycznym. Wciąż nie bardzo radziła sobie z matematyką, która jej nie interesowała, ale poza tym była wysoko ceniona jako utalentowana uczennica. Gdy rozeszła się wieść o jej niefortunnej przeszłości, obrosła dodatkowo w swoistą legendę; nauczyciele powtarzali sobie jej historię; stanowiła przykład nieszczęsnego losu; sprawiała, że sami czuli się lepiej.

Została przeniesiona do „najlepszej” klasy i tym osobliwym gestem jeszcze bardziej wyróżniona i odseparowana od rówieśników. Ale Perdita, rozumiejąc już trudności związane ze szkołą, pogodziła się ze swoją samotnością. Nikt nie chciał rozmawiać z jękającą się dziewczynką, a teraz, gdy została uznana za „uzdolnioną”, oswoić się z nią było jeszcze trudniej. Rówieśnicy nazywali ją M-M-Marsjanką, a gdy ona to usłyszała, pomyślała: *tak, tak jest, czuję się jak istota z innej planety.*

Dwa razy w tygodniu wszyscy uczniowie mieli ćwiczenia z obrony przeciwlotniczej. Rozlegał się przenikliwy gwizd, oni szybko ustawiali się w szeregu i byli przydzielani do rowów wykopanych wzdłuż krawędzi boiska. Uczniowie z Młodzieżowego Czerwonego

Krzyża albo ci, którzy mieli najlepsze oceny z rozpoznawania chmur albo samolotów, prowadzili pozostałych. Na jakiś czas Perdicie przydzielono rolę noszowej, ale ona nie wierzyła w tę sztuczną, udawaną wojnę, w której dziewczęta chwytaly jedna drugą i straszyły się szeptem, a chłopcy, świetnie się bawiąc, upajali się poczuciem kontroli nad sytuacją. Coś w tym narzuceniu ról i reakcji wydawało się o wiele za bardzo nieprawdopodobne. Perdita zaczęła marzyć, żeby na niebie pojawił się myśliwiec „Zero”, aby jej klasa mogła zobaczyć na własne oczy koszmar, który ona już poznała.

To dziwne, w jaki sposób dzieci dochodzą do zrozumienia różnych rzeczy. Powtarzałam w myślach w kółko słowa *Sonetu LX*, zwłaszcza początek, który uwielbiałam:

*Jak fala mknąca ku piaskom na brzegu,
Każda z chwil naszych ku kresowi płynie,
Miejsce poprzednich zajmując w swym biegu;
I wraz z innym naprzód prąc zaginie.*

Utkwiły we mnie, pracując na zwolnionych obrotach, jak bezlitosne minuty, które opisywały, zapewniając mi jasną płynną przestrzeń, gdzie mogłam ćwiczyć głos. I nagle zdałam sobie sprawę, że Szekspir nie miał racji. Nie ma bezustannego parcia do przodu, jak w przypadku morskich fal, tylko retrospekcja, zagięcie czasu, powtarzalność. Narratorka *Rebeki* powracała do Manderley w snach i wspomnieniach; ja również doświadczałam splątanej sieci przeszłości, zebranych doświadczeń, do których w jakiś sposób byłam zmuszona powracać, można by je nazwać upartym echem chwil dramatycznie błędnych.

Sny, koszmary, opisy w listach do Mary; miałam wrażenie, że poznaję swoje życie wstecz. Rozpoznawałam momenty zahamowania i wyparcia, kłopotliwe luki. Rozpoznawałam - z ponurym zrozumieniem - że chociaż moje ciało się przemieszcza, części umysłu tkwią wciąż całkiem gdzie indziej, pozostają w tyle, napięte i źle dopasowane. Dorośli lubią sobie wyobrażać, że dzieciństwo jest bez troskie i dobrze chronione, jednak dzieci także znają, lub przynajmniej od czasu do czasu wyczuwają intuicyjnie, potworne pęknięcia, których doświadcza każda myśląca istota.

*

Był początek tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, czas bitwy pod Monte Cassino. Szkolna rutyna ma tendencję do zamazywania wspomnień. Godziny nauki zlewają się w bezbarwną płaszczyznę i pamięta się tylko rzadkie chwile dramatyizmu lub triumfu. Perdita na całe życie zapamiętała swojego nauczyciela historii, pana Gravesa, nie z powodu

jego lekcji, które były rozwlekłe, surowe i poważne, ale z jednej okazji, przy której (co za skandal!) wybuchnął płaczem.

Musiał mieć jakieś sześćdziesiąt lat, więc był zdecydowanie za stary, żeby się zaciągnąć, ale mógł jak jej ojciec brać udział w pierwszej wojnie. W każdym razie miał trochę wojskową postawę i sprzeczne z nią zaczerwienione oczy krótkowidza, a na głowie gęstą czuprynę siwych włosów. Jego zachowanie w stosunku do nauczycielek sugerowało, że uważał się za bawidamka.

To była środa rano. Pan Graves stał przed klasą, zachęcając, nakazując, żeby zapamiętali ten czas, czas „koszmarnych zniszczeń wojennych”. Jest taki klasztor Benedyktynów, powiedział, wysoko na wzgórzu, osiemdziesiąt mil na południe od Rzymu, o który walczą alianci i faszyci. Ta piękna budowla - on sam widział ją na własne oczy podczas pielgrzymki w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym pierwszym - zawiera zarówno świeckie, jak i religijne dzieła sztuki i intelektu od wczesnej starożytności. Pobierał tam nauki sam wielki filozof Tomasz z Akwinu. Napisał na tablicy: *Tomasz z Akwinu*. Alianci zbombardowali klasztor w styczniu, a teraz, tydzień po tym jak szkoła zaczęła się na nowo, zbombardowali go powtórnie, tym razem zamieniając tysiącletnią budowlę w zwykłe gruzy. Już po nim, powiedział. Monte Cassino zostało zniszczone.

- Po nim - powtórzył.

Nastąpiła chwila ciszy, po której uczniowie spodziewali się wykładu lub daty do zapisania, ale pan Graves wydał z siebie szorstki głęboki szloch. To nie była chwilowa utrata kontroli, ale kompletne załamanie. Łkał głośno i rozpaczliwie. Wyglądało, jakby rozpad klasztoru ogarnął i jego. - Monte Cassino - szlochał. Niektórzy uczniowie chichotali nerwowo. Inni wymieniali drwiące uwagi, zakrywając usta. Nie było współczucia dla dorosłego mężczyzny, który płacze za jakąś budowlą gdzieś tam; stary wariat. Niektórzy chłopcy niemal spluwali z męską pogardą.

Siedząca na samym końcu klasy Perdita była poruszona teatralnym wystąpieniem pana Gravesa. Siedziała bez ruchu, świadoma różnorodnych reakcji dookoła, rozumiejąc wagę tych łez, po których pan Graves już nigdy nie odzyska swego autorytetu. Wiedziała, że całe miasta uległy zniszczeniu, że miliony zmasakrowanych ludzi leżały twarzą w dół na czarnych szosach, w błocie albo w otwartych rowach, lśniąca od deszczu pomieszanego z zastygłą krwią. Ci, co ocalili, wyglądali ze szkieletów zbombardowanych budynków lub przestraszeni chowali się, bo właśnie przejeżdżały pojazdy wojskowe, rozgrzane od niedawnej agresji, miażdżąc wszystko na swojej drodze. A tu człowiek żałował jednego klasztoru. Być może to właśnie robiła wojna - całkiem niweczyła skalę. Żeby w ogóle coś poczuć, musiało zaistnieć

jakieś przywiązanie, naruszenie prywatnego terenu, zniszczenie osobistego wspomnienia. Dla Perdity ta chwila była podobna do tej, gdy podniosła wzrok znad gry w karty i zobaczyła gazetową fotografię znużonego żołnierza. Błąd w ocenie rzeczywistości wydawał się tak ogromny, a rozbieżności w ludzkim doświadczeniu tak nieistotne.

Pan Graves osunął się na krzesło. Położył głowę na biurku i nakrył ją ramionami, jakby gdzieś w górze trwał nalot. Klasa się uciszyła. Uczniowie chyba wiedzieli już, że została przekroczona jakaś granica. Nikt się nie ruszał. Wtedy Perdita wyszła z ławki i powoli, och, tak bardzo zwracając na siebie uwagę, ruszyła przed siebie. Delikatnie uniosła swojego nauczyciela, pana Gravesa, pod pachy, wzięła na siebie część jego ciężaru, i wyprowadziła go z klasy, z budynku szkolnego, na oślepiające i bezlitosne światło.

Gdy pisała później o tym wydarzeniu do Mary, czuła nowy szacunek dla swego nauczyciela. To nie jego załamanie podziwiała, tylko jego budujące łzy. W jej małym świecie nastąpiło pewnego rodzaju zablokowanie emocji: Stella, Mary, ona sama - żadna z nich teraz nie płakała. Mimo wszystkich niefortunnych i smutnych wydarzeń, co więcej, mimo całej potworności wojny i kataklizmu historii, wypracowały własne surowe formy powściągliwości. Co dla szkoły było oburzające, Perdicie wydało się przełomem. Pan Graves zareagował stosownym bólem na wojnę notorycznie łagodzoną w gazetach, streszczaną na mapach, przedstawianą jako lekka rozrywka. Słowa „koszmarne zniszczenia” zostały w niej i prześladowały ją. Brzmiały szekspirowsko. Miały wymiar płomiennej deklaracji, i czuła, że je rozumie.

*

Perdita spędzała dużo czasu w łazience, przed lustrem Flory. Obserwowała siebie podczas ćwiczenia zdań w pentametrze jambicznym.

Gdy powiedziała doktorowi Obłowowi, że dzieci w szkole nazywają ją M-M-Marsjanką, uniósł palec wskazujący, jeszcze zanim skończyła, i przerwał jej: - Zrób z tego jamb. Myśl o akcencie, rytmie, jakby to słowo było częścią sonetu. Nie twoim słowem, ale istniejącym w zdaniu już znanym. Akcent na drugą sylabę.

Perdita myślała, że może on nie rozumie, jak to jest być wyśmiewanym. Dzieci są okrutne w swojej gwałtowności, ze swoim pogardliwym odrzuceniem.

- Gdy byłem łysym chłopcem - dodał - inne dzieci nazywały mnie „jajem”. Podchodziły do mnie z tyłu, zrywały mi czapkę i stukały w głowę knykciami. Byłem słabeuszem, płakałem, więc one stawały się coraz okrutniejsze.

Perdita powtarzała sobie w głowie: „Byłem słabeuszem, więc one stawały się coraz

okrutniejsze”. Chciała o tym porozmawiać z doktorem. Obróciła w dłoniach kopolkę z kwiatem i próbowała, z udręczonym oczekiwaniem porażki, sformułować pytanie.

Zamiast tego jednak, instynktownie, powiedziała po prostu: - Mars-JAN-ka! Udało jej się wypowiedzieć słowo „Marsjanka” jako jamb.

- Brawo! - zawołał doktor Obłow. Uśmiechnął się niezwykle szeroko, odchylił w swoim fotelu i splatał i rozplatał palce.

Perdita patrzyła teraz na siebie w lustrze, powtarzając: - Mars-JAN-ka. - Bez jąkania, bez zacinania się na M. Spojrzała na siebie krytycznie. Wolałyby mieć bardziej kędzierzawe włosy i pełniejsze usta. A jeszcze bardziej wolałyby być kobietą z budki w kinie, tak cudownie syntetyczną, że wzbudzającą respekt.

- Mars-JAN-ka!

Zza drzwi dobiegł płaczliwy głos Flory:

- Cały dzień tam będziesz siedzieć?

Dziewczynka spojrzała na siebie ostatni raz. W ciemnej łazience jej twarz falowała, błada i jakby nie z tej ziemi. Plastikowa zasłonka z prymitywnymi rysunkami ryb otaczała jej głowę. Nagle zaczęła się niemal dusić. Było jej słabo. Ukształtowała wargi do rytmicznego zdania, którego jednak nie próbowała wypowiedzieć. Brzmiało ono: - Idę, Floro, jeszcze tylko minutkę.

*

W upalny dzień na początku marca odebrali Stellę ze szpitala. Ustalono, że zostanie ona jakiś czas z córką u Flory i Teda, żeby się „przyzwyczaiła”, jak powiedziała Flora.

Stała biernie przed elektrycznym wentylatorem w holu budynku szpitalnego, w bladoniebieskiej sukience, której Perdita nigdy wcześniej nie widziała. Miała pasek z materiału, podkreślający jej straszliwą chudość, i schludną wąską spódnicę. U jej stóp stała wzruszająco mała winylowa torba z rzeczami osobistymi. Chociaż Perdita przywykła już do nieobecności Stelli, była zadowolona, że znowu będą razem. Poczła przyływ czułości - zaskoczona, że wciąż tyle jej posiada - i postąpiła do przodu, żeby uściskać matkę. Perdita urosła, a być może i Stella się skurczyła: były niedopasowane, córka teraz nieco wyższa od matki. Perdita objęła matkę ramieniem, jak czasem obejmował ją samą Billy, gdy szli ponurą drogą między przystankiem autobusowym a Greensleeves. Ted niósł winylową torbę, Flora skakała wokół nich, popędziła naprzód, by otworzyć okna samochodu, żeby wszyscy nie oblali się od razu potem.

Początkowo Stella zdecydowanie milczała, nie odpowiadając na pytania, nie

nawiązując konwersacji. Ale stopniowo chyba wyczuła życzliwość Ramsayów; to nadskakiwanie było dla niej, powodowała nimi wielkoduszność. Perdita obserwowała wysiłek matki, która starała się być towarzyska.

- Nie nadaję się prawie do niczego - usłyszała słowa Stelli - ale chyba mogę spróbować znowu poszukać pracy.

Ted przypomniał Stelli, że ma rentę wdowią. Była zadowolona i zaskoczona.

- Możemy wam pomóc znaleźć jakieś mieszkanie - oznajmił, skracając za róg. - Ale dopiero wtedy, gdy będzie pani gotowa. Mamy mnóstwo czasu.

- Mnóstwo czasu - powtórzyła Flora.

Siedząc z matką na tylnym siedzeniu, lepka od wściekłego upału, na który nie mogło pomóc żadne otwarte okno, Perdita była świadoma bezinteresownej dobroci Ramsayów. Pomagali, ponieważ mieli ku temu naturalne predyspozycje; nie było w tym kalkulacji ani wahania czy chęci zysku. Na zewnątrz przesunął się bezosobowy świat, tajemnicze energie wszystkich tych niezależnych żywotów, mozolnych albo swawolnych, szczęśliwych lub zrozpaczonych, ludzi takich jak pan Graves, których wykończyła jedna konfiskata wojenna, czy Mary, uwięziona, doświadczająca codziennych upokorzeń i ciężkiego losu.

- Czy wciąż jest wojna? - zapytała Stella. Patrzyła prosto przed siebie. Twarz miała zaczerwienioną z gorąca. Ani razu nie spojrzała wprost na Perdite.

- Tak - odparł Ted zdecydowanie. - Wciąż ta cholerna wojna. Ale już niedługo. Zaczynamy być górą.

To wyrażenie zabrzmiało dziwnie w uszach Perdity, ale poczuła ulgę, słysząc, że wreszcie widać koniec wojny. Nigdy wcześniej nie rozważała tego na poważnie. Naprawdę nie potrafiła myśleć o przyszłości, o innym życiu pełnym nowych możliwości. Niejasno wyobrażała sobie łopot skrzydeł i uniesienie, horyzont, który obniża się i oddala w różowawoszarym świetle, rozległe widoki, przestrzeń. Przyszłość jawiła jej się nieprecyzyjna, jak z lotu ptaka.

- Wiecie, państwo, mój mąż zginął na wojnie - oświadczyła Stella. - We Francji.

Perdita wpatrywała się w czerwony kark Teda prowadzącego samochód.

- Jakie to straszne - odezwała się Flora. - Współczujemy pani takiej tragedii.

W rozgrzanym samochodzie zapadła pełna skrzepowania cisza. Czy Stella nie pamięta, zastanawiała się Perdita, czy przerobiła swoją historię? Czy Flora i Ted wiedzą? Poczuła nagłą pustkę, jakby wszystko, co miały wspólnego, zostało odrzucone.

- To była bomba - ciągnęła uparcie Stella. - Bomba wybuchła za jego plecami i rozdarła go na strzępy.

- Ojej - odezwała się Flora słabo.

Perdita wpatrywała się w swoje kolana. Klosz jej cienkiej bawełnianej sukienki drżał przy ruchu samochodu. Czuła pustkę i napięcie.

- Ted?

- Tak?

- Chyba będę wymiotować.

Ted zerknął na twarz Perdity w lusterku wstecznym i zjechał gwałtownie na pobocze. Perdita wygramoliła się z samochodu i upadła na kolana; zobaczyła, jak sucha żółta trawa faluje i zapada się przed nią, czuła, że wszystkie mięśnie ma skurczone, miała odruch wymiotny, ale tylko odruch. Czując jednak mdłości, zacisnęła powieki, żeby odgrodzić się od świata. To dłoń Flory, nie matki, spoczęła na jej czole, w milczącym współczuciu.

Był początek listopada tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku. Perdita przysłała na sesję u doktora Obłowa. Wtedy chodziła do niego już od ponad roku i widać było zdecydowany postęp w kontroli nad jękaniem. Było ono mniej wyraźne i mniej uporczywe; potrafiła nawet od czasu do czasu wypowiedzieć kompletne przemyślane zdania, na zasadzie narzuconej struktury pentametru jambicznego. Perdita wciąż analizowała milczenie, które tak jej ciążyło, wymyślała, jakich środków użyć, by je wyeliminować.

W duchu wierzyła - teraz to wiedziała - że matka zamordowała ojca. Szekspirowska retoryka Stelli doprowadziła Perditę do przypuszczenia, że już wcześniej ułożyła sobie ona plany rodem z epoki elżbietańskiej, triumfalne i nieustraszone, i że recytacje narzuciły jej przebieg dramatycznej akcji. Choć Stella była zdystansowana, ograniczona własną niemocą, jej słowa mimo wszystko zawierały zmysłową agresję. Tak jak inne kobiety upajały się plotkami, tak ona dokonywała wirtualnych morderstw. Pociągały ją nie komedie, ale okropieństwo tragedii; z sonetów - nie te miłosne, melodyjne i słodkie, ale te, które traktowały o przerażającym, niszczącym działaniu czasu. Miała obsesję na punkcie cofania czasu i stwarzania nieistniejących bytów.

Perdita pamięta, że to był dzień jak każdy inny, ani trochę niezwykły. Doktor Obłow miał na sobie Wykrochmalona białą koszulę i szarą kamizelkę w prążki. Na jego szyi tkwiła zawadiacko czarna muszka. Gdy Perdita weszła do gabinetu, wstał i uśmiechnął się ciepło. Za każdym razem sprawiał, że wierzyła, iż należy do jego ulubionych pacjentów.

- Kochana Perdita - wyciągnął do niej rękę.

Zawsze bardzo lubiła rytuał ich powitania; nadawał on spotkaniu aurę uroczystości, obdarzał ją dojrzałością, wprowadzał atmosferę uprzejmego dialogu. Żaden inny dorosły na świecie nigdy nie uścisnął jej dłoni. Doktor Obłow podał Perdicie turkusową kopułkę z kwiatem i wziął swoją ze statkiem, obracając ją z czułością w szczupłych dłoniach.

Ich spotkania często zaczynały się od czytania Szekspira; to „rozwiązywało język”, jak mówił doktor Obłow; dzięki temu Perdita zaczynała z pewnością siebie, wiedząc, że naśladowanie matki zaskakująco jej pomaga, dzięki niemu wróciła do swobodnego rytmu

zdania. Jak zwykle to Perdita wybrała fragment. Otworzyła na chybił trafił należący do doktora Obłowa egzemplarz *Dzieł zebranych* i natknęła się na tragedię *Makbet*. Gdy kartkowała bibułkowane strony koloru kości słoniowej, jej wzrok padł, jakby to było z góry przesądzone, na coś bardzo znajomego:

*Słabeusz! Daj mi te sztylety. W śpiących
Czy w zmarłych - tyle grozy, co w obrazku;
Malowanego diabła tylko dzieci
Mogą się strachać* ...*

Słowa te przeniosły ją nagle do chwili, gdy ostatnio recytowała je matka nad ojcem, z którego uchodziło życie. Prerażona tym, co zaczynało w niej wzbierać - jakiś ciemny napierający kształt, jakieś złowieszcze pęcznienie - odwróciła kartkę, uczepiła się skwapliwie innego swojsko wyglądającego monologu, i żeby się uspokoić, zaczęła wolno czytać na głos:

*Cóż to majaczy przede mną? To sztylet?
Sam niemal wkłada mi się w dłoń... uchwycę... –
Nie da się złapać - a przecież widoczny*.*

Perdita przerwała i spojrzała na doktora Obłowa. Opierał brodę na dłoni. Skinął głową, więc kontynuowała.

*Zjawo złowieszcza, czy tylko wzrok może
Objąć cię, a już dotyk dłoni - nie?
A może jesteś sztyletem wykutym
W mózgu, ułudnym tworem owej kuźni,
W której gorączka - to żar paleniska?
Widzę cię nadal, wciąż tak namacalny
Jak ten, którego dobywam w tej chwili**.*

Jak żelazna brama rozplywająca się w czołówce *Rebeki* zniknęła jakaś wykuta w umyśle przeszkoda w pamięci. Czy to było wtargnięcie na cudzy teren, czy odebranie swojej

· W. Szekspir, *Makbet*, Akt II Scena I, przeł. S. Barańczak.

* *Ibidem*.

** *Ibidem*.

własności? Nagły przyływ lęku, iluminacja, i Perdita ujrzała przed sobą kompletną filmową sekwencję, rekonstrukcję śmierci swojego ojca.

- Co się stało? - zapytał doktor Obłow. Jego głos dochodził jak echo, z bardzo daleka.

*

Tamtego dnia powietrze było ciężkie i rozpalone, niebo kruche, złote. Stella i Perdita wracały z wizyty u Trevorów; Perdita biegła przodem, a Stella szła trochę z tyłu, z Billym, który pomagał jej coś nieść. Z oddali dobiegło skrzypięcie zardzewiałego wiatraka, który przekręcił się pod wpływem pojedynczego podmuchu wiatru. Horatio leżał na boku w cieniu pod zbiornikiem wody; zastrzygł uszami i uderzył raz ogonem o ziemię, ale było mu za gorąco i był zbyt senny, żeby się ruszać. Gdy Perdita zbliżała się do domu, wszystko wydawało się normalne. Ale przy drzwiach się zatrzymała. Usłyszała zza drzwi sapanie i stękanie Nicholasa, i cichszy, dziecięcy, płytki jęk.

Perdita pchnęła drzwi, tak cicho, jak tylko potrafiła, i zobaczyła Nicholasa na podłodze, wciskającego się brutalnie w Mary. Spodnie miał opuszczone do kostek, a brązowe uda Mary były rozłożone szeroko pod nim. Perdita nie postanowiła wtedy zabić swojego ojca; nie zastanawiała się ani nie podjęła decyzji. Po prostu schwyciła nóż do krojenia mięsa leżący na stole i podeszła do niego równym krokiem, oślepią zamętem w umyśle, przerażeniem, być może tępym impulsem zemsty, ogłuszona szumem krwi cisnącej się jej do głowy, pobudzającej ją do czynu, tak że porwała ze stołu nóż i sama porwana jakąś siłą, widziała przed sobą jeden cel i miała jedną intencję.

Mary spotkała jej wzrok i zdecydowanie potrząsnęła głową, a Perdita zauważyła wtedy, że jej oczy błyszczą strachem. Patrzyła, jak plecy Nicholasa wznoszą się i opadają w spazmatycznym wysiłku, a pośladki drgają rytmicznie. Nie było odrazy ani niesmaku, tylko wszechogarniająca nicość. Perdita ujęła nóż w obie ręce i zatopiła go w plecach Nicholasa. Uderzył w coś metalicznego i nie przeniknął głęboko. Gdy ojciec odwrócił głowę, wyjęła nóż i, wzmocniona uczuciem paniki, zatopiła go jeszcze raz, w karku. Nicholas spojrział na córkę z wyrazem niemego zaskoczenia. Potem skrzywił się i sięgnął niepewnie, żeby dotknąć noża, ale upadł na wznak na Mary, z wyciągniętym prawym ramieniem.

To, co się stało, wydawało się tak naturalne, tak kategoryczne i jednoznaczne. Wszystko było oderwane i bezosobowe. Ale wtedy skądś pojawił się Billy, klęknął i wyciągnął nóż, i krew zaczęła tryskać pulsującą strugą. Mary wygramoliła się niezgrabnie spod Nicholasa, odrzuciła ciężkie ciało, które właśnie umierało na niej, a gdy wstała - o Boże - była zachlapaną krwią. Jej niebieska sukienka zmieniła barwę na fioletową.

To był ten nieusuwalny straszny obraz: Mary trze gorączkowo klatkę piersiową, jakby skalana mogła usunąć koszarne piętno tego, co się stało. Obok Billy buczy do siebie i trzepocze rękami. Rzuca na ziemię nóż, który leży, połyskując obok ciała. Horatio drapie w drzwi, wali w nie głową i skowyczy.

I wtedy nagle usłyszeli Stellę deklamującą *Makbeta*. Był to tak pompatyczny zwycięski monolog, że Perdite ogarnęło przerażenie. Wydawało się, że Stella triumfuje. Była bezwzględna, okrutna. Stała przy drzwiach z oficjalną powagą, jak aktorka na środku sceny. Perdita przestąpiła ciało ojca i objęła ciasno Mary.

- Nie mów im - szepnęła Mary. Tylko tyle. - Nie mów im. - Trzymały się w uścisku i zaczęły płakać.

Ich rodzina uległa zniszczeniu. Duch wspólnoty ulotnił się z tego pokoju elektrycznie naładowanego śmiercią. Powietrze zdawało się syczeć i skwierczeć. Perdita wyobraziła sobie śmiertelne prądy uwolnione przez jej czyn, bąbelki zdradliwego zła rozlewające się w powietrzu. Nie milcząca świadomość, że oto zgasło ludzkie życie, nie zbulwersowana czy oniemiała cisza, tylko poruszenie, słowa, zdenerwowanie. Pies, chłopiec, dwie płaczące cicho dziewczynki. Donośny głos Stelli cedzący bez ustanku Szekspira, Nicholas łapiący ostatni oddech, zaczerwieniony w agonii i milcząco błagalny. Gdy Perdita spojrzała w dół, zobaczyła wywrócone oczy ojca, które zaczynały ciemnieć i tracić widzenie.

- Co się stało? - powtórzył doktor Obłow.

Powrócił gabinet w przychodni, a z nim rosyjski doktor, życzliwy i zatroskany, pochylający się nad Perditą, z przekrzywioną nieco czarną muszką. Perdita popatrzyła na kopułkę z kwiatem, spoczywającą w jej dłoniach. Poczowała się chora od ogromu tego wszystkiego, co dotąd błędnie interpretowała. Kompletna ruina, gruzy ich życia. Bez zająknięcia opowiedziała doktorowi Obłowowi o swoim objawieniu.

Odzyskanie głosu było jak cud biblijny. Tak działo się w filmach, albo w bajkach, czytało się o tym w szmirowatym powieściu lub bulwarowym pisemku. Perdita słyszała, ku swemu zdumieniu, własne werbalne ozdrowienie. Koślawe jąkanie niemal całkiem minęło, słowa wylewały się z jej ust, jasne i równe jak strumień wody. Pękła jakaś tama.

- Nie bój się - powiedział doktor Obłow cicho. - Czasem tak się dzieje. Że głos się nagle sam naprawia. Wiem, że to dziwne, ale się zdarza, wierz mi. I daj sobie czas, żeby pomyśleć o tym, co odkryłaś. Daj sobie czas...

Perdita spojrzała na przybliżoną twarz doktora Obłowa. Pocił się, był pełen napięcia. Zobaczyła, że ma mały lśniący pęcherzyk z boku szyi.

- Przypuszczałem - kontynuował ostrożnie - że to twoja matka popełniła tę zbrodnię.

I wtedy Perdita się załamała i zaczęła szlochać. Łkała spazmatycznie, oplakując to, co uważała za swoje bezduszne zapomnienie. Oplakiwała oszustwo matki i własne okłamywanie samej siebie, i pojęła, że Stella nie tylko nie wyprowadzała jej z błędu, ale w pewien sposób ją w nim utwierdzała. Oplakiwała nadzwyczajne poświęcenie Mary i nieme, samotne świadectwo Billy'ego Trevora. Wreszcie oplakiwała swego ojca, który zmarł, hańbiący i zhańbiony, zabity z powodu impulsu, w bezmyślnym, przypadkowym momencie.

Doktor Obłow objął ramiona Perdity gestem pociechy. Wreszcie nadeszło uspokojenie. Ciałem dziewczynki przestały wstrząsać spazmy i poczuła intensywność swojego wspomnienia, tak gwałtowną, tak mocną, a jednak łagodzoną przez ten cichy pokój, w którym się znajdowała, przez miłego doktora Obłowa mruczącego słowa otuchy, przez wysokie rozświetlone okno z nieodłączną rośliną, przez książki na regałach, drobne przedmioty na biurku. Odzyskane poczucie materialności rzeczy. Uczciwość przedmiotów. Realność doskonała.

Doktor Obłow wstał i wyciągnął rękę po kopułkę, by zaznaczyć, że sesja skończona.

- Porozmawiamy o tym - powiedział łagodnie. - Znajdziemy wytłumaczenie. Teraz potrzebujesz spokoju. Teraz powinnaś pomilczeć.

Gdy Perdita wyszła z przychodni, miała przekrwione oczy i płynną wymowę. Flora zobaczyła jej zapłakaną twarz i ogólny nieład i się przeraziła. Był to bardzo osobliwy moment. Flora wyciągnęła rękę z chusteczką, żeby dotknąć jej twarzy. Słyszac, jak Perdita mówi - z taką niespodziewaną łatwością - Flora nie potrafiła ukryć wylewnego entuzjazmu.

- Jezu Chryste - zachłysnęła się. - Cholera jasna! - Nagle się zawstydziła. - Wybacz mi mój język - dodała.

A w drodze do domu obie przypomniały sobie w tej samej chwili: doktor Obłow, kochany Obłow, zapomniał, co kiedyś obiecał. Podarować Perdicie kopułkę.

Pewien japoński żołnierz, Hiroo Onada, ukrywał się w dżungli Lubang Island na Filipinach przez prawie trzydzieści lat po zakończeniu drugiej wojny światowej. Nie chciał uwierzyć, że wojna się skończyła, i nie chciał się poddać. Jego wyzwolenie nadeszło w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym czwartym, gdy spotkał japońskiego studenta obozującego w dżungli, który opowiedział mu o nowym świecie. Wtedy zaczął swój proces repatriacji.

Gdy usłyszałam tę historię jako dorosła, poczułam, że rozumiem Hiroo Onadę. Rozumiałam, że ktoś może nosić w sobie wojnę i że ta izolacja może trwać bez końca. Możliwe też było, że ponieważ osiemdziesiąt procent jego dwunastotysięcznego batalionu zginęło, Hiroo Onada uległ deformacji lub gruntownej przemianie w wyniku tej traumy. Wyobrażałam sobie, że żył przez trzydzieści lat w milczeniu. Chciałam do niego napisać, wyrazić międzynarodową solidarność. Później usłyszałam, że uznał współczesną Japonię za nie do zniesienia, i przeprowadził się, jako stary człowiek, wytrącony z równowagi i rozbity, wciąż bezdomny i tułający się, do brazylijskiej dżungli.

*

W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, roku, w którym Perdita skończyła szkołę, Billy się ożenił. Pearl była tak gładka i okrągła jak sugerowało jej imię, i tak jak Billy była głucha. Poznali się w szkole, do której zapisał się Billy, żeby nauczyć się sztuki języka migowego. Pearl Underwood była jego nauczycielką, dwa lata starszą od niego, i gdy tylko zobaczył jej zdecydowane, wymowne gesty, jej pewne spojrzenie, ten szczególny ruch, jakim poprawiała grzebienie we włosach, trójkąt piegowatego dekoltu, jej figurę gdy szła, pochylała się i stała, krótko mówiąc, ją całą, jedyną i niepowtarzalną, kompletnie stracił głowę. I było coś w prędkich ruchach jej palców, w charakterystycznych gestach dłoni rzeźbiących słowa, co Billy uznał za porażające. Patrzył, jak palce wskazują litery alfabetu, chłonał zwinne wygięcia dłoni i zataczanie łuków, i po raz pierwszy uświadomił sobie własne możliwości ekspresji. Pearl zauważyła, że on, migając, mocno ściąga wargi, jakby zmuszając słowa, żeby

zmieniały trasę od jego ust do palców. Żartowała z nim, ale traktowała go jak mężczyznę.

To były powolne zaloty, postępujące litera po literze, sylaba po sylabie, a potem za pomocą ostrożnej fizycznej korespondencji. Gdy wreszcie Pearl wyciągnęła rękę i dotknęła jego dłoni, Billy zaczerwienił się tak bardzo, że uznał, że stracił swoją szansę, że Pearl na pewno zniechęci jego niemęski brak kontroli. Ale ona była wzruszona, zauważywszy jego delikatność i brak tupetu. Wyprostowała mu palce, żeby poprawić jakiś znak.

Billy napisał, że nigdy wcześniej nie był tak świadomy swoich braków, a zarazem nigdy nie był bardziej zdeterminowany, żeby je ignorować. „Spodobałaby ci się, Dita, jest ciepła i zabawna”.

Na pierwszej randce - co zaproponowała im Perdita, gdy Billy zwierzył jej się ze swego zauroczenia - wybrali się do Piccadilly Theatre. Grano *Sokoła maltańskiego*, którego Perdita widziała z Florą tydzień wcześniej. Wyobrażała sobie, jak zakochani czytają z ust i mowy ciała Sama Spade'a i Brigid O'Shaughnessy, odnotowując cierpkie uniesienie kącika ust i wyniosłe szydercze uśmiezki, odczytując pożądanie seksualne i intrygę kryminalną z niemych i subtelnych ruchów. Strasznie jej się podobała postać wylupiastookiego Cairo, przebiegłego i żałosnego, i końcowa, dziwacznie przemieszczona w czasie, szekspirowska kwestia:

DETEKTYW TOM POLHAUS: - Co to jest?

SAM SPADE: - Ech, od tego powstają marzenia*.

Billy napisał, że film obojgu im się podobał i że wracali do domu w świetle księżyca, trzymając się za ręce. Podkreślił to: t r z y m a j ą c s i ę z a r ę c e.

Gdy Perdita poznała Pearl, natychmiast ją pokochała. Lata jąkania sprawiły, że była świadoma, jak wyczerpujące są starania, by zaznaczyć swoją obecność pomimo milczenia, jednak Pearl w jakiś sposób się to udawało, przez całe życie, z energicznym hartem ducha. Pearl uparła się, że nauczy Perditę języka migowego. „To konieczne - napisała - żeby nasza przyjaźń mogła się rozwijać”. Perdita odkryła we własnych dłoniach przyjemne narzędzie brawurowych popisów. Język migowy wydawał jej się formą poezji; było tam dosłowne literowanie, ale też zamaszyste elizje i pretensjonalne metafory; wzruszanie ramionami, gesty angażujące całe ciało, ale też ledwie dostrzegalne uniesienie brwi i wydymanie warg. Gdy się jąkała, prawie nie potrafiła się wysłowić, a teraz czuła się niemal mistycznie

* W oryginale: *[We are] such stuff/As dreams are made on* - W. Szekspir, *Burza*, Akt IV Scena I, przeł. Stanisław Barańczak: Jesteśmy surowcem, z którego sny się wyrabia.

ponadekspresyjna. W towarzystwie Billy'ego i Pearl odkryła nowy wymiar komunikacji. Niektóre znaczenia mogły zaistnieć tylko w gestach, dla pewnych konotacji wystarczyło pomysłowe ciało i repertuar znaków. Uwielbiała ich spotkania we trójkę, gdy obserwowali nawzajem swoje twarze i ręce, jak gdyby ciało było rodzajem książki. I pokochała Billy'ego na nowo. W języku migowym utwierdziła się w tym, co przeczuwała intuicyjnie jako dziecko. Że ma on bogatsze wnętrze niż wielu ludzi zdaje sobie sprawę; jest mądrzejszy, bardziej głęboki, bardziej podatny na magię świata.

*

Billy i Pearl pobrali się w czerwcu, pewnej deszczowej soboty, w urzędzie stanu cywilnego. Zjawili się państwo Trevorowie z falangą synów. Perdita przysłała ze Stellą. To było niezręczne spotkanie. Panią Trevor, która miała na głowie wybitnie brzydki kapelusz z zielonych piór w kształcie gniazda, wyraźnie zaskoczył postarzały i wymizerowany wygląd Stelli, jak również odzyskana mowa Perdity. A ponieważ Perdita nie potrafiła wyjaśnić rozsądnie, jak się wyleczyła z jąkania, pani Trevor wyraziła głośno przypuszczenie, że pewnie ona w ten sposób chciała zwrócić na siebie uwagę.

- Nie - wtrąciła się Stella. - To nieprawda.

Między nimi był chłód, otwarta wrogość.

- Nic pani nie wie - oświadczyła Stella. - Zupełnie nic.

Po tych słowach konwersacja się urwała. Perdita tak często była pytana o swoje wyzdrowienie, że sama nie mogła w nie uwierzyć. Tylko uspokajające wyjaśnienia doktora Obłowa, jego wiara w złożoność kaprysów ludzkiej natury pozwalały jej czuć jaką taką pewność siebie, czuć, że ma w końcu prawo do własnego głosu.

- Istnieje margines tajemnicy - zapewnił ją - który dopuszcza każdy lekarz.

To na razie musiało wystarczyć. *Margines tajemnicy*. W ten mokry dzień ślubu, otoczona entuzjastami i sceptykami, Perdita pełniła rolę tłumacza między Billym i Pearl a pozostałymi. Billy się cieszył, że przyszli wszyscy jego bracia, dziękował im, wspominał o pogodzie, żartował, że zaraz będzie piwo. Pearl przeproszała za nieobecność swojej matki i siostry, które mieszkały na wsi i nie stać ich było na bilety kolejowe, ale miały nadzieję, że pewnego dnia poznają jej powiększoną rodzinę. Pearl pokazała na migi, że ona i Billy są - *przepelnieni szczęściem jak okrągły marmurowy księżyc* - że się nawzajem odnaleźli.

- Zachwyceni - przetłumaczyła Perdita, świadoma fałszu.

Zachowała się fotografia grupy weselników na schodach urzędu. W centrum stoją państwo młodzi, jak nakazuje konwencja, promieniejący i radośni jak nikt inny. Oboje

uśmiechają się szeroko. Trzymają się za ręce. Ten gest jest zdecydowany, bezsporny. Uwagę państwa Trevorów rozprasza coś na prawo od ramki zdjęcia, a ich czterej pozostali synowie, wszyscy z wyglądu niemal identyczni, stoją w rzędzie za nimi, pragnąc zapaść się pod ziemię.

Na tym zdjęciu, jedynym, na którym Perdita i jej matka są razem, obie stoją w cieniu. Stella jest słabo widoczna i zamazana, jej rysy niebieskawe i jakby poplamione tuszem. Perdita stoi przy niej, nachylona blisko, jak kazał fotograf. Później będzie odczuwać ból na widok tak niewielkiego podobieństwa między nimi, że nawet na takim najbardziej konwencjonalnym akcie dokumentacji wciąż są odległe, mimo wszystko obce.

*

Wiedząc, że Perdita jest niepełnoletnia i że po tak długim czasie nie może już być oskarżona ani skazana, doktor Obłow zgodził się jej pomóc przyznać się do winy i próbować uwolnić Mary. Zgodził się pośredniczyć w rozmowie ze Stellą. Wszyscy troje usiedli przy kuchennym stole, między nimi stał dzbanek z herbatą i talerz z lukrowanymi ciasteczkami. Doktor Obłow mówił, jak zwykle, cichym, delikatnym głosem, wyjaśniając, co można zrobić, jakie petycje wystosować, dodawał, że sam mógłby zeznawać na temat stłumionych i opóźnionych emocji, które wypierają ze świadomości pamięć o trudnych wydarzeniach.

Ale Stella była nieporuszona i nie miała zamiaru niczego oficjalnie potwierdzać. Wpatrywała się w herbatę w swojej filiżance, ponura i spięta.

Postawiona twarzą w twarz z otwartym przyznaniem się swojej córki, Stella oświadczyła tylko:

- Co się stało, to się nie odstanie.

Jej bierna postawa wstrząsnęła Perditą i wprawiła ją w rozpacz. Żeby wydobyć Mary z więzienia, potrzebne było zeznanie nie jej własne, tylko Stelli. A ta nie chciała o tym słyszeć.

Postawiła mocno filiżankę, plamiąc obrus, i powtórzyła:

- Co się stało, to się nie odstanie.

Jakby ktoś zatrzasnął drzwi. Jej twarz była zamknięta, zła. Stella odmawiała interwencji, a przecież kilka jej słów mogłoby uwolnić Mary. Doktor Obłow i Perdita argumentowali i prosili, aż w końcu Stella podniosła się wolno i wyszła z pokoju bez wyjaśnienia, okrutna w swoim zachowaniu, zatwardziała jak szalona monarchini, uparta tak, że aż budząca zgrozę.

Doktor Obłow wstał i dość oficjalnie uściśnął Perdicie dłoń.

- Pisz do mnie - powiedział. - Bądźmy w kontakcie.

Chwilę milczeli, oboje świadomi powagi tego, co istniało między nimi.

Perdita przypomniała sobie mechaniczny model układu słonecznego, który widziała w szkole, i moment, kiedy uświadomiła sobie, że planet nie podtrzymuje żaden metalowy szkielet. Wirowały jedynie za pomocą tajemnicy; utrzymywały szyk dzięki misternej koronce sił pola magnetycznego i przyciągań. Teraz miała wrażenie, że coś wylatuje na zewnątrz. Coś uległo działaniu siły odśrodkowej, zniknęło, zapomniane przez Boga i ludzi, ciśnięte poza horyzont. Nic nie było wystarczająco duże, żeby pasować do tego porównania. Nic na tyle silne, żeby je wymazać.

Patrzyła, jak doktor Obłow otwiera furtkę i kieruje się na lewo. Trzymał się prosto i szedł z młodzieńczą dziarskością. Jego ciało było dobrze wyposażone na życie, pomyślała. A całe życie, jakie znał, poświęcił służbie leczenia.

*

Niedługo po dziwnym odzyskaniu pamięci i mowy Perdita udała się z Billym do Greensleeves. Odczuwała lęk; zaczynała rozumieć prawdziwy wymiar spraw. Mary, zachwycona odzyskanym głosem Perdity, odchyliła się na krześle i zaklaskała. Ale potem Perdita opowiedziała swoją historię, a Mary słuchała, teraz bardziej poważnie, chłonąc każde słowo. Nie wyglądała na zaskoczoną.

- Dobra historia, prawie „czarna”.

Perdita spojrzała na nią pałającym wzrokiem.

- Tak - przyznała Mary. - Tak było.

Splotła ręce jakby do modlitwy. Perdita czekała, obserwując ją, ale Mary nie powiedziała nic więcej.

- Więc dlaczego mnie chroniłaś, Mary?

Mary zamknęła oczy, westchnęła, i nie spieszyła się z odpowiedzią. Wydobywanie słów, które Perdita wyobrażała sobie jako swobodny strumień, bywało jednak trudne i ryzykowne.

- Może byłam głupia, co? Wtedy chciałam być świętą. Albo jak Annie McCaughie, czystą i powszechnie uwielbianą. Ale wiedziałam też, że jestem o wiele silniejsza od ciebie, Dita. I od Stelli. Tak, byłam silniejsza niż Stella. Ona by nie przeżyła, gdyby ciebie odesłali do poprawczaka.

- Nie wierzę - zawołała Perdita. - Była zacięta, twarda.

- Potrzebowała cię.

- Nie, nigdy nie byliśmy sobie bliskie.

- Ale tak jest - upierała się Mary. - Matki i córki potrzebują siebie nawzajem.

Tu przerwała, czekała. Billy wpatrywał się w swoje kolana, niepewny swojej roli. Pomieszczenie było duszne i przegrzane i wszyscy czuli, jak ich przytłacza.

- A poza tym - dodała Mary - minęło za dużo czasu. Jestem tu użyteczna. Uczę czytania i pisania. Mam przyjaciół, mam swoje miejsce.

W jej tonie był spokój, dla Perdity przerażający. Z przyległego pokoju dobiegał jakiś brzęk, głośnie irytacja.

- Mary?

- Dita, ja dokonałam wyboru. Zdecydowałam się ci pomóc, tak? A teraz nie mam wyboru. Nikt nie uwierzy słowom czarnej z buszu. Chyba że przyzna się do winy.

Mary urwała. Odwróciła wzrok. Brzęczący dźwięk - jakby ładowano i przesuwano coś metalowego - ucichł, żeby towarzyszyć jej milczeniu.

- Rozumiałam to przez długi czas. - To był jej dawny aborygeński głos. - Że Stella, ta Stella, nigdy nie będzie chciała pomóc.

- Ale ja mogę - upierała się Perdita. - Mogę napisać listy, pójść do adwokatów. Mogę im powiedzieć prawdę.

- Nie będą chcieli jej znać.

- Ale to przecież ja...

- Tak, Dita, ty. I byłaś dzieckiem. D z i e c k i e m, Dita.

- Wiedziałam, co robię.

Takie proste słowa. I taka świadomość, że czegoś brakuje.

- Byłaś dzieckiem. Skąd miałaś wiedzieć? Chciałaś mi tylko pomóc. Byłyśmy siostrami, tak?

Perdita spuściła wzrok, zawstydzona wspaniałomyślnością Mary. Dźwigała brzemię tak ogromnego przestępstwa. To było straszne, wiedzieć, że Mary jest bez winy i siedzi w więzieniu przez coś, czego się nie wyznało.

- Wciąż jesteśmy? - zapytała Perdita.

- Taaa - odparła Mary. - Jasne, ta cholerna przysięga.

Ale chociaż padły słowa, nie było pokuty. Nie było zadośćuczynienia.

Znacznie później Perdita uświadomiła sobie, że to był moment, kiedy powinna była z pokorą powiedzieć „przepraszam”. Powinna sobie była wyobrazić, jakie to uwięzienie, być pozbawioną szelestu liści, powiewu wiatru i dotyku deszczu, być zabraną ze swojego miejsca, własnego miejsca, gdzie umarła jej matka, żyć w izolacji, bo ktoś zapomniał o swojej zbrodni. Nie tak powinna postąpić Perdita. Powinna była powiedzieć „przepraszam”.

Znowu odezwał się ten brzęk. Mary zmieniła temat.

Teraz, tyle czasu później, wciąż siedziała na tym samym krześle, wciąż w jakiś sposób zaklinowana. Czas zepsuł jej dobre intencje, pokrzyżował szyki i zdeformował to, czego nie miała odwagi powiedzieć.

Jak długi czas zawiera się w jednym małym słówku?

Billy siedział obok niej, jak zwykle, odchylony na lewo. Gestykulował z zadowoleniem. Perdita właśnie powiedziała Mary o jego miłości.

- Muszę poznać Pearl - powiedziała Mary do Billy'ego, bezgłośnie, wyraźnie poruszając ustami.

- Ona będzie zachwycona - zamigał Billy, a Perdita przetłumaczyła.

- W sprawie języka migowego - wyjaśniła Mary. - Jest tutaj głucha dziewczyna, Noongah z Mogumber Mission. Mogłabym się nauczyć języka migowego i nauczyć ją. A potem też z wami rozmawiać.

I tak też się stało. Stworzyli nową grupę czworga, odrzucili niezgrabny instrument mowy ludzkiej i zastąpili go mową ciała. Mary nauczyła się migać bardzo szybko, o wiele szybciej niż Perdita, i miała górnolotny, opisowy styl. Jej ręce okazały się niezwykle zręczne, sama Mary się bardzo ożywiła. Pearl żartowała, że Mary miga z aborygeńskim akcentem, a Mary ogromnie spodobał się ten ekscentryczny, a kto wie, może i trafny, opis.

Przetwarzali słowa na symbole; obserwowali się nawzajem uważnie, jakby widzieli swoje głosy; stworzyli własną mowę, idiolekt. Znosili drwiny personelu Greensleeves i komunikowali się z elokwentną rozkoszą.

Tajemniczość ich rozmów stanowiła kłopot dla instytucji, ale najwyraźniej żaden regulamin nie przewidywał sankcji za spotkania bez użycia mowy. Słowa były zrozumiałe, tłumaczenie pozbawione pułapek, język gęsty bogactwem ukrytym w ludzkim ciele, i równie smutny jak, na swój sposób, każde z nich.

W towarzystwie Pearl Mary odkryła na nowo swoje poczucie humoru. Perdita patrzyła na drobne gesty symbolizujące śmiech; widziała, że to dar, ta rzeźba z analogii, aluzji i pantomimy; jak wiele zawierało się w nim potencjału komicznego, jak wiele treści ujmowanej w nawias przez ręce pozostało jeszcze do wyrażenia. Mary ćwiczyła pilnie: Ma naturalny talent, zamigała kiedyś Pearl. Spotykali się trzy razy w tygodniu, każde wyczekiwało tej osobliwej rozrywki, nowych znaczeń, jakie może uda im się wyrazić.

Pięć miesięcy później, w swoje dwudzieste drugie urodziny, Mary została przeniesiona z izby zatrzymań dla młodocianych przestępców do więzienia kobiecego. Poinformowano ich, że mogą ją odwiedzać tylko krewni. To było kolejne załamanie. Kolejny rozbity kształt. Chociaż Perdita, Billy i Pearl pisali do Mary, każde rozpaczało nad

zmarnowanymi znakami, które ich ręce gotowe były jej zaoferować, i nad rozpadem nowej rodziny, którą razem stworzyli.

*

Jako osoba dorosła, ile razy wciągnęła ją jakaś książka, Perdita przypominała sobie, jak czytały razem z Mary. Nic nie mogło się równać z tą szczerą łagodną intymnością. W życiu szalonym, głośnym, poszatkowanym banalnymi spotkaniami towarzyskimi i zbytnim realizmem banalnej codzienności, zagłębienie się w jakąś powieść - z jej ciągłością wątku, kompletnym światem, równoległym wszechświatem - pociesza i krzepi. Czym? Chociażby ustalonym porządkiem. Schematem i znaczeniem, choćby nawet abstrakcyjnym.

I jeszcze coś. Będzie pamiętać, jak dawno temu dłonie Mary konstruowały „kocią kołyskę” ze sznurka. Była staranna i skomplikowana. Mary uniosła w górę rozpostarte palce z rozpiętym na nich wzorem, i przyglądała się im z zadowoleniem. Splecione sznurki, pajęczyna, sieć. Bez początku ani końca. Mógł to być wzór wszechświata.

- Jak to się nazywa? - zapytała Perdita. - Co to znaczy?

- Moja tajemnica - odparła Mary. - Moja sekretna tajemnica.

Była uparta i niewzruszona. Nie chciała powiedzieć. Perdita nauczyła się wtedy, że Mary nie jest jej lustrzanym odbiciem, że ma autonomię, która nie podda się żadnej prostej kategorii. I własne sekrety, niezwykle jak wzory wyobrażone w gwiazdach, skomplikowane jak ślady, które znaczą pustynię.

*

W fiolecie późnej nocy Perdita usłyszała, jak matka recytuje:

*Czas marnowałem, dziś on mnie marnuje,
Zegarem, który wybija godziny,
Czas mnie uczynił. I tak moje myśli
Są minutami, a westchnienia znaczą
Ich wolny upływ. Oczy moje tarczą,
Po której palec jak wskazówka krąży,
Łzy ocierając. A godziny biją
Rozdzierającym jękiem w moje serce*...*

Stella podniosła wzrok i zobaczyła, że Perdita stoi w drzwiach.

· W. Szekspir, *Król Ryszard II*, Akt V Scena V, przeł. Krystyna Berwińska.

- Król Ryszard - wyjaśniła potulnie. - Jest w więzieniu, czuje się nieszczęśliwy.

- Aha - rzuciła Perdita. W w i ę z i e n i u, n i e s z c z ę ś l i w y.

Obecnie matka coraz rzadziej wyrażała się spójnie. Rozwijała się u niej demencja. Po takim udręczonym życiu wewnętrznym, wibrującym od okropnych szczegółów i elżbietańskiego cierpienia, Stella zaczęła słabnąć i blednąć. Po stacji kolejowej z jej osaczającym tłumem, po obciążającym brzemieniu szekspirowskiego filtru świata, tak wymownym i metaforycznym, tak brutalnym i zdeterminowanym przez czas, Stella niepostrzeżenie gasnąc, znajdowała własny azyl.

W wieku sześćdziesięciu pięciu lat była już niema i zagubiona. Niechlujna, spędzała całe godziny na zapinaniu i odpinaniu guzików. Nie poznawała swojej córki i nie była już świadoma swoich grzechów, popełnionych i zaniechanych.

Ostatecznie, myślała Perdita, tragizm jej życia był niewysłowiony. Żaden znak nie mógł go wyrazić. Żadna dłoń nie zdołałaby go narysować w powietrzu. Perdita leżała bezsennie w nocy, zastanawiając się, dlaczego stała się nimfą Echo dla Narcyza w Stelli, dlaczego ich życie dostroiło się do tonu melodramatu. Zastanawiała się - właściwie będzie się zastanawiać przez wszystkie dni swojego życia - dlaczego z a p o m n i a ł a. I dlaczego teraz musi pamiętać o swoim zapomnieniu.

W ciemności Perdita była bezbronna wobec słów Szekspira. Wpływały w nią, insynuując, jak nieproszone wspomnienia. Pragnęła *snu, co potrafi rozwikłać spletaną nić każdej troski*^{*}. Pragnęła ciszy. Nade wszystko bała się stać swoją matką. W ciemności również szukała przebaczenia. Leżąc na boku, wpatrując się w prywatnej zadumie w grafitowy zarys lampki nocnej, celowo wyłączonej, pochłonięta wspomnieniami, których nie potrafiła uporządkować ani rozproszyć, zastanawiała się, co powiedziałyby do Mary, gdyby były teraz razem same, gdyby leżały obok siebie jak wtedy, gdy były dziećmi. I co by powiedziała, gdyby zmaterializował się tu jej ojciec, jak ojciec Hamleta, żeby zaświadczyć o morderstwie i niesprawiedliwości. Czy jakiegokolwiek słowa mogłyby wyrazić zawartość tak zagubionego serca?

Powracał do niej obraz drogi w kształcie litery V, rozwijał się, kipiąc bielą, za płynącym statkiem, naznaczając ocean tymczasowym przejściem z jednego życia do drugiego, znak niezmiennej rozbieżności. Patrząc w dół znad barierki na statku, widziało się coś pięknego. Zawijające się fale. Śnieżnobiałą kipieli. Marzycielski es-flores podróży. Teraz Perdita nie potrafiła wymazać czegoś, co powracało tylko jako symbol.

Wreszcie nadszedł koniec wojny. Pojawił się najpierw jako pogłoska, potem

* W. Szekspir, *Makbet*, Akt II Scena II, przeł. S. Barańczak.

wiadomość potwierdzona, wreszcie oficjalne święto. Ale po początkowym drżącym zadziwieniu, nawet euforii, przyszło poczucie pustki, braku sensu. Jak na spłóviałym przezroczu zmienił się wygląd świata. Było coś zastałego, jakieś znużenie, we wchodzeniu do tramwaju, w obserwowaniu, jak obok przetacza się miasto, w widoku żołnierzy, którzy wrócili, włączających się wciąż w mundurach po mieście z nieobecnyim spojrzeniem na sepiowych twarzach.

Ale nic nigdy nie kończy się całkowicie; Perdita to wiedziała. Więc wojny przeniosły się gdzie indziej - nigdy nie przestanie o nich słyszeć - a ona usychała jak jakieś cofające się w ewolucji stworzenie, czekając, wydawało się, że zawsze w jakiś sposób czekając.

Jakie życie znalazła poza milczeniem i wściekłością, poza swym idiotycznym, jękającym się i irytującym „ja”? Nie miały ze Stellą pieniędzy, więc nawet gdy przyszedł odpowiedni czas, i mimo przyznanego stypendium, Perdita nie mogła pójść na studia. Dostała zajęcie praktykantki w bibliotece. To jej odpowiadało. W bibliotekach czuło się jakąś godność; to była honorowa praca. Upajała się atmosferą powściągliwości i beżowym, zakurzonym światłem. Podziwiała sposób, w jaki regały tworzyły miniaturowe miasteczko, labirynty milczących, uporządkowanych słów. Widok grzbietów ustawionych w szeregu książek, z tytułem, autorem i numerem porządkowym, był szczególną pociechą. Gdy patrzyła na główkę dziecka schyloną w skupieniu nad książką, miała ochotę pocałować je w kark. Gdy podawała jakiś tom starszej pani, czuła, całą sobą, powinowactwo dusz rodziny czytelników.

Ale było także osamotnienie i słabnąca nadzieja na odnalezienie sensu istnienia. Perdita ukradkiem otwierała książki na chybił trafił, żeby szukać nagłych olśnień. Widziała: „przeniesienie”, „liść”, „jutro”, „twarz”. Jej umysł obracał w kółko możliwości: j u t r o, j u t r o, j u t r o. Tam wszystkie te zebrane słowa, oprawione w okładki, a tu ona, tkwiąca w atomistycznej, przypadkowej grze. Słowa opuszczały swe logiczne zbitki i rozlatywały się na różne strony. Każda książka, którą wzięła z miejsca, wślizgując się w jej dłonie, bardziej utrudniała zrozumienie.

W statycznej przestrzeni, otoczona nieruchomymi regałami, czytelnikami w okularach i metalowymi wózkami, Perdita męczyła się z wewnętrznym chaosem, który nie dawał się całkiem uporządkować. Miała dziewiętnaście lat. Snuła się wśród książek, chodziła do kina z Florą, opiekowała się matką i pisała listy do Mary. Miała poczucie, że to puste życie.

Rok później Perdita została matką chrzestną bliźniaczek Billy'ego i Perdity. Dzieci czasu pokoju, tak o nich myślała. Żadna z dziewczynek nie była głucha; Perdita dostała zadanie rozmawiania z nimi i czytania im bajek. W miarę dorastania Alison i Catherine widziała, jak poruszają się swobodnie między światem przekazu werbalnego i znaków. Z

rodzicami ćwiczyły mowę ciała, unosząc palce, powiększając swoje fizyczne słowniki; z nią uwielbiały śpiewanie, gry słowne, opowiadania i wierszyki. Jakże ich usteczka paplały! Huśtała je na kolanach, dawała i dostawała pocałunki. Czytała bajki o wozach strażackich, trollach, księżniczkach, żabkach. Stopniowo, przemawiając do dzieci, uważając na słowa, stała się „ciocią Ditą”, szczupłą, atrakcyjną kobietą, prawie gotową na prawdziwe życie. Jej porządek świata ustabilizował się tak, że osiągnęła niemal równowagę: Perdita zebrała w niepewną całość swoje nowe ja, na które składała się ciotka, bibliotekarka, troskliwa córka. Egzystując, starała się utrzymać balans. Bo tak trzeba.

Następna rzecz, która nazaczyła jej życie, wydarzyła się niespodziewanie. Perdita dostała list od kobiety, która niegdyś była siostrą Perpetuą. Wystąpiła z zakonu i teraz pracowała jako pielęgniarka w mieście. Perpetua doniosła Perdicie o śmierci w więzieniu. Mary umarła na zapalenie wyrostka robaczkowego. M a r y u m a r ł a.

Nie było mowy o samobójstwie ani domniemania przestępstwa. „Tragiczna strata... w rękach Boga”. Wiedziała o długiej korespondencji Mary z Perditą i uznała, że powinna się dowiedzieć o smutnym końcu przyjaciółki. „Zwracam książkę - napisała Perpetua - która była waszą wspólną własnością, osobisty egzemplarz Mary *Żywotów świętych*”.

List był wstrząsająco bezpośredni i rzeczowy, jakby Mary była tylko imieniem czy przypadkową znajomą. Perditę coś ścisnęło w piersi i świat jej się zawalił. Czowała się zamroczone, chora. Splamione niebo. Unieważniona miłość. O Boże. M a r y.

To była skromna paczuszka, owinięta w brązowy papier, i zawiązana na krzyż sznurkiem. Perdita trzymała ją przez chwilę w ręce, niezdolna do działania. Ciężar tego, co leżało pomiędzy kartkami, w każdym życiu. Dramatycznej historii, w której wzięły udział wiele lat temu. W ciepłym, żółtym świetle, Perdita odwinęła książkę, złożyła starannie papier, starannie go wygładziła. Ręce jej drżały. Powoli przebiegła koniuszkami palców po zagięciach papieru. Zwinęła sznurek w kuleczkę. Położyła delikatnie dłoń na okładce i tam ją zatrzymała.

Siedziała nieruchomo, wpatrując się w nicość przestrzeni, a potem w jeszcze więcej nicości. Nic, jeszcze więcej niczego. Światło padało na stół kuchenny równym jasnym kwadratem. Gdy Perdita odwinęła książkę, na spotkanie wyszła jej przeszłość.

I dopiero wtedy, przewracając kartki, patrząc na to, co czytała Mary, zaczęła rozumieć, zaczęła się otwierać na smutek. Napłynęły gorące łzy, i pękło serce.

Powinnam była powiedzieć mojej siostrze, Mary, „przepraszam”. Przepraszam, siostrzo moja, och, siostrzyczko, przepraszam.

To, co pozostaje, jest tak samo postrzępione jak kiedyś moja mowa. Ale teraz widzę to, czego moje oniemiałe nieszczęście zobaczyć nie mogło: wartość uczuć, miłość, która stoi wiernie na straży w obliczu jakiegokolwiek katastrofy. To nie sentymenty przeze mnie przemawiają, ale potrzeba - być może wyrachowana - żeby wśród gruzów i zgłiszczy dostrzec coś godnego i wspaniałego.

Nieustannie odtwarzam w pamięci obraz naszego domu, widzianego z zewnątrz, pod osłoną nocy, jakbym przemieniła moją historię w czołówkę podrzędnego filmu. Chodzi o tę noc, gdy wróciliśmy ze Stellą po morderstwie. Pan Trevor był w naszym domu wcześniej i pozapalał lampy naftowe. Kiedy w świetle trzyćwierciowego księżyca znalazłyśmy się przed domem, zobaczyłam symbolicznie kształt, w którym miałam zamknąć mój sekret. Już wtedy dławiłam się słowami i nie mogłam się wysłowić, już miałam skurczoną i okaleczoną mowę; ten kształt miał zamknąć w sobie klęskę.

Domy widziane w nocy z zewnątrz przedstawiają sobą osobliwe piękno. Ich okna są rozjarzonymi latarniami morskimi, a ich fioletowe zarysy wytrawione niewyraźnie na tle ciemnego gwiazdnego nieba, niosą cokolwiek mityczną konotację schronienia i azylu. Nasz dom wydawał się mniejszy w ciemności, ale bardziej tajemniczy. Cienie od księżyca padały na drzwi i pochyłe powierzchnie, blaszany dach połyskiwał - pofałdowania były niczym drobne fale - a w tle zionął ciemny kwadrat pustki.

Bałam się tam wejść ponownie, ale teraz myślę, że ten powrót przyczynił się do mojej kuriozalnej amnezji. Gdy pchnęłam drzwi i przekroczyłam próg, zobaczyłam kolorowy dywanik z gałganków, jakby pokój przywdział kostium, odcinając się od wcześniejszych wypadków, i już nie wiedziałam dokładnie, co się tam wydarzyło.

Stella była nienormalnie głośna i asertywna, natomiast ja zapadłam w bezwład zaprzeczenia i wyparcia. Trzy lampy, z których każda rzucała miękkie, miedziane refleksy, obejmowały moją matkę trójkątem światła, gdy krzątała się po pokoju, dotykając mapy, wycinków prasowych, grzbietów naszych książek, jakby zabezpieczała je w ich miejscach albo nadawała im nowe znaczenie. Pamiętam swoje uniki, swoje zawieszenie. Pamiętam, że

stałam bez ruchu, obserwując ją, zastanawiając się, co u licha wydarzy się za chwilę.

Pamięta się szczegóły: Stelli brakowało guzika przy bluzce. Jej palce bawiły się dziurką od guzika i manipulowały przy pustym miejscu. W środku był Horatio, węszył niespokojnie po kątach, rozglądał się z psim niezrozumieniem. Zawołałam go, przytrzymałam jego głowę i podrapałam za uszami; potem Stella zarządziła, żeby go zostawić na noc na dworze. Do szyb dobijały się ćmy, brązowe, oproszone pyłem kształty, i dobiegały nocne krzyki zwinnych ptaków drapieżnych. Śmierdziało proszkiem do szorowania i dymem. Pamiętam ruchomy cień matki, bulwiasty imbryk na stole i obce blaszane kubki, pozostawione przez panią Trevor, która robiła herbatę dla policjantów.

Co się zagubiło i co pozostało. Co zostało wchłonięte przez ponadczasowy mrok śmierci mojego ojca, i co uparcie trwało, widoczne, obecne, bezwstydnie żywe. Wiedziałam, że istnieją przegródki w pamięci i uczuciach, które już zaczęłam zamykać; i chociaż wbrew swojej woli, już decydowałam, co zapomnieć. Wydarzenia wślizgiwały się w fałdy jaźni. Cienie nocy zaczynały atakować.

Stella wygasiała wszystkie lampy oprócz jednej, którą zabrała do sypialni. Kolejny szczegół - ostra woń nafty, bardziej gryząca tamtej nocy niż kiedykolwiek w ciągu całego dzieciństwa. Stella nie powiedziała mi dobranoc, po prostu się wycofała, zaaferowana. Słychać było otwieranie szuflady, szelest ubrań, stuk spadających na podłogę butów. Nie chciałam zostać sama i leżeć bezsennie w miejscu, gdzie wydarzyła się przemoc, więc wymknęłam się na zewnątrz. Pod lśniącem nocnym niebem położyłam się na ziemi z Horatiem. Ukryłam twarz na jego brzuchu i słuchałam rytmu jego serca.

Bojąc się niespokojnych snów i wizyt duchów, nakazałam sobie siłą woli myśleć o śnieżnym śnie Stelli. Pole opadających płatków, powolna transformacja kształtów świata, powolne - daremne - zacieranie linii. Zobaczyłam odległe miejsce, całe utkane z białego zapomnienia, zmieniające rysy obecnych tam postaci. Widziałam Mary i Billy'ego, pokrytych płatkami śniegu. I bose stopy mojej matki pod rąbkiem koszuli nocnej. Wszystko traciło ostrość i zarysy. Wszystko znikало stopniowo pod śniegiem. Ukojona, spojrzałam w niebo i zobaczyłam pustkę. Miękko opadła kurtyna. Biel. Spokój.

O słowie „sorry”

Słowo „sorry” (przepraszam) jest w Australii niejednoznaczne.

W kwietniu 1997 roku w australijskim parlamencie został złożony raport Komisji Praw Człowieka i Równouprawnienia zatytułowany „Zwrócić ich rodzinom: raport z dochodzenia w sprawie separacji dzieci Aborygenów i mieszkańców Wysp w Cieśninie Torresa od ich rodzin”. Jest oparty na 777 wnioskach (w tym 500 poufnych), badających sprawy oderwania przemocą tysięcy dzieci od rodzin. Jest to poruszające i przygnębiające świadectwo emocjonalnego i fizycznego cierpienia ludzi, których nazywa się „skradzionymi pokoleniami”. Polityka federalna „usuwania” dzieci kontynuowana była aż do wczesnych lat siedemdziesiątych XX wieku.

Na Australijskiej Konferencji Pojednania zorganizowanej w Melbourne w maju 1997 roku premier John Howard odmówił przeprosin Aborygenom australijskim za dawną rządową politykę złego traktowania. Uczestnicy wstali i odwrócili się plecami do premiera, aby zawstydzić go tym milczącym protestem. Premier Howard jednak jeszcze przy wielu okazjach odmówił powiedzenia słowa „przepraszam”.

W raporcie „Zwrócić ich rodzinom” znalazła się sugestia, aby ustanowić Narodowy Dzień Przeprosiny (National Sorry Day). 26 maja 1998 roku, w rok po złożeniu raportu w parlamencie, obchodzono ten dzień po raz pierwszy. Dał on obywatelom szansę na zaangażowanie się w działania mające na celu zaakceptowanie wpływu polityki przymusowego usuwania rdzenną ludność Australii. W pierwszym Dniu Przeprosiny w 1998 roku bardzo wiele działo się w całym kraju, na przykład przez wszystkie główne miasta przeszły marsze pojednania. Wystawiono publicznie tzw. Sorry Books, w których reprezentanci rdzennej ludności mogli zapisywać swoje osobiste odczucia. W księgach tych pojawiły się setki tysięcy wpisów. 26 maja 2000 roku głównym wydarzeniem dnia było przejście przez Sydney Harbour Bridge: około 250 000 osób zjawilo się na moście, aby wspomóc proces pojednania.

Dzień Przeprosiny był wydarzeniem dorocznym w latach 1998-2004, a w roku 2005 został przemianowany na National Day of Healing (dosł. Narodowy Dzień Gojenia Ran) dla

wszystkich Australijczyków.

Dla Aborygenów „sorry business” to termin oznaczający zasadniczo sprawy śmierci i żałoby. Obejmuje rytuały i emocje po śmierci osoby ze społeczności Aborygenów. Dzień Przeprasin miał kojarzyć się z odrodzeniem nadziei wśród rdzennej ludności.

Podziękowania

Pragnę niniejszym oficjalnie potwierdzić, iż australijscy Aborygeni są odwiecznymi strażnikami ziemi, o której piszę, i że ich duchowy i materialny związek z tą ziemią jest stały i cenny. Ten tekst został napisany z nadzieją, że w duchu pojednania i wdzięczności za to, co kraj zawdzięcza rdzennym Australijczykom, zostanie utrzymana i rozszerzona legislacyjna gwarancja ich prawa do ziemi.

Istnieje wiele form pisarskiej solidarności. Niniejsza powieść powstała w czasie pobytu w McDowell Artists' Colony w stanie New Hampshire w USA oraz w siedzibie Camargo Foundation w Cassis we Francji. Chcę wyrazić głęboką wdzięczność dla obu instytucji za zapewnienie mi spokojnego miejsca do pracy oraz inspirującego towarzystwa. Wspaniałymi towarzyszkami były Anne McClintock i Alice Attie - artystki o wielkiej przenikliwości, wrażliwości i intelekcie. Poeci: Sue Standing, Glorie Simmons i Francis Richards, kompozytor Andrea Clearfield oraz malarka Dore Bowen stanowili dla mnie kopalnię faktów i źródło natchnienia. Doktor David Green z Bostonu cierpliwie i klarownie wyjaśniał mi zagadnienia psychiatryczne dotyczące traumy dziecięcej. Wyrażam też wielką wdzięczność wielu oddanym przyjaciółom, szczególnie Susan Midalii i Victorii Burrows, które przeczytały pierwszą wersję tekstu i udzieliły mi wspaniałych, cennych rad, podobnie jak Jane Palfreyman i James Gurbutt. Catherine Hill pospieszyła z wnikliwym komentarzem redakcyjnym dosłownie „za pięć dwunasta”, co spowodowało spore zmiany w tekście. Sue Abbey, której pracę cenię od lat, również dodała swoje rozważne i powściągliwe porady. Dziękuję także Amandzie Nettlebeck za pouczającą rozmowę o etyce pisarza, oraz Hilary Rumley, która hojnie służyła informacjami z dziedziny antropologii. Zarówno Michelle de Kretser, jak i Elizabeth Smither są dla mnie wzorem mądrych, zrównoważonych i pełnych poświęcenia autorek; dziękuję im obu za nasze krzepiące rozmowy o literaturze.

Mam dług wdzięczności u Carlosa Fergusona, który ostrożnie, i w duchu artystycznej współpracy, pokazał mi piękno języka migowego w Annamaking. Dziękuję Danielowi Brownowi za wspaniałomyślne zaoferowanie mi specjalnego miejsca, w którym mogłam zacząć ostateczne czytanie tekstu. Profesor John Norman był tak miły, że podzielił się ze mną

szczegółowymi wspomnieniami z Broome z okresu wojny. Wszelkie błędy, natury historycznej czy innej, są oczywiście moje.

Moi koledzy z University of Western Australia byli, powtórzę to, ogromnie pomocni. Zoë Waldie jest od wielu lat cudowną agentką literacką.

Niektórzy członkowie mojej rodziny potwierdzają moje własne wczesne wspomnienia z Broome, niektórzy nie; w obu przypadkach stanowili dla mnie źródło wspaniałych rozmów oraz przemiłej nostalgii.